• Trudne sprawy załogi „Próchnika”

• Niespodziewane skutki rewolucji seksualnej

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 15 (1306) ROK XXVI 9 KWIETNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

„Perfect” na płytach i koncertach

Foto: Jacek Jakub Marczewski

Szał...

JACEK BINKOWSKI

Był koncert. Ostatni, ponoć, występ grupy „Perfect”. Pierwszy o siedemnastej, drugi o dwudziestej. W Hali Sportowej.

Na pół godziny przed 10.00 przed halą już tłumy. Dziedziniec oblężony przez sympatyków muzyki młodej generacji. Z boku równiutko ustawione wozy MO.

Gwarno.

Przed głównym wejściem długa kolejka, gdzieś sto osób. Rządek uniemożliwia napór na wejście, bramkarze” spokojnie mogą sprawdzać bilety i wpuszczać pojedynczo.

Ktoś protestuje i próbuje ominąć kolejkę. Reakcja bardzo szybka — za klapy i na koniec. Poza tym słów kilka, umoralniających. Porządek musi być. Inaczej do domu.

Są jeszcze chętni do wejścia bez biletu, ci, którym nie udało się kupić wcześniej albo tacy, którym szkoda było wydać 260 złotych. Usiłują przemycić się między wchodzącymi. Czasem się udaje. Jeszcze inni za sto pięćdziesiąt, bezpośrednio do rąk „bramkarza”. To zawsze taniej.

Tuż przed koncertem można kupić bilet od „konika”. Za cztery stówy. Atmosfera prawie przedmeczowa, albo jeszcze lepiej.

W ŚRODKU

w hallu, w foyer, czy jak się to zwie, tuż przed dwudziestą raczej pusto. Ostatni klienci” szybko podążają w kierunku wejść do sektorów. Akcja toczy się wewnątrz. Za kilka minut „Perfectu” na estradzie.

Już są. Jeden wielki ryk publiczności i skandowanie:: Peeerfekt, Peeerfekt, Perfekt!!!

Ileś tam setek watów z olbrzymich, ustawionych na estradzie kolumn daje o sobie znać. Huczy w uszach.

Wszystkie sektory dokładnie zapełnione. Komplet. Co prawda organizatorzy, ze względu na bezpieczeństwo, zostawili gdzieś dwa tysiące rezerwy, ale ilu weszło poza oficjalną ewidencją trudno teraz zliczyć.

Na płycie amatorzy tańca. Bujają się, kiwają, skaczą — niekoniecznie z rytmem muzyki. Sama młodzież, nastolatki.

Po drugim utworze solista oznajmia:

— *Teraz ostatnia piosenka — „Paryż”!*

Niesamowity ryk wydobywający się z sektorów i z tafli. Gwizdy, prawie wycie. Dezaprobata.

— *Tylko trzy piosenki, niech oddają pieniądze!*

— *Łaskę robią, że grają!*

— *Aaaaaa!!!*

— *Eeeeee!!!*

i jeszcze inne nieartykułowane dźwięki.

Ale za chwilę wszystko wraca do normy. „Perfect” gra i śpiewa. Do białych świateł dołączają się kolorowe i „leci”:

— *„Paryż, Paryż moje miastooooooo...”*

Radość, bo znów grają. Muzyka pozwoliła zapomnieć, że to ostatnia piosenka.

Tańczą z boku, tańczą na tafli, próbują tańczyć nawet w sektorach. Dzwoneczki, trąbki, apaszki, szaliki — wszystko gra w tym wielkim „spektaklu.

— *„Paryż, Paryż moje miastooooo...”*

Ręce w górę, ręce w dół, ręce w górę, ręce w dół. Jedni w lewo drudzy w prawo, trąbka, dzwoneczki, w górę wszystkie apaszki w górę wszystkie szaliki, koszule, kurtki. I od nowa.

Skończyli. Dziękują bardzo i schodzą. Rzeczywiście ostatnia piosenka. Gwizdy, wycie, ryki. Po prostu szał.

— *Perfekt, Perfekt, Perfekt!!!*

Na estradzie prowadzący.

— *Za chwilę zespół „Perfect”! Muzyka waszych serc*

8

Handlowanie powietrzem?

TERESA JERZYKOWSKA

Wśród rozmaitych zdań, określających wiele miast i miejscowości polskich w zależności od tego, z czego znane są w całym kraju — a niekiedy również i za granicą — jest i takie: **„Poznań — miastem targów”.** Kolejne targi — a właściwie giełdy krajowe „Wiosna 83” — zakończyły się w Poznaniu niedawno, kilkanaście dni temu. W mieście jednak, poza terenami targowymi, nie sposób było zauważyć, że odbywa się tu impreza o — w złożeniach przynajmniej — istotnym znaczeniu, impreza, od której wyników zależeć będzie w pewnej mierze zaopatrzenie naszych sklepów w podstawowe towary przemysłowe.

Nieliczni zwiedzający ekspozycję, ulokowaną w 29 pawilonach, określali giełdy **„Wiosna 83”** jako **„handlowanie powietrzem”**, a opinię tę podzielali częściowo handlowcy, zwłaszcza ci, którzy po długim wyczekiwaniu przed boksami producentów i pilnowaniu swego miejsca w kolejce, ustawionej według społecznej listy (bo i takie były, podobnie jak w sklepach z najbardziej poszukiwanymi artykułami) odchodzili z niczym, nawet bez przysłowiowego kwitka.

Rzeczywiście bowiem, oferowane wielkości — zwłaszcza w dziedzinie odzieży i dziewiarstwa — budziły niekiedy zażenowanie: tysiąc czy dwa tysiące sztuk płaszczy lub sukienek (a były i mniejsze oferty, zaledwie po kilkaset sztuk) to ilość wystarczająca dla jednego sklepu w dużym mieście, nie zaś dla kilku organizacji handlowych w 49 województwach. O tym, że oferta jest uboga, można było przekonać się nawet bez pytania handlowców i producentów o bardziej szczegółowe informacje. Wystarczyło po prostu obejrzeć ekspozycję. Wyraźnie widoczny był ten fakt np. w pawilonie rzemiosła, które — obok spółdzielczości pracy — było największym wystawcą na tegorocznych wiosennych giełdach.

W RZEMIOŚLE ŹLE SIĘ DZIEJE

Jesienią rzemieślnicy zajmowali dwa duże pawilony, teraz — zmieścili się w jednym, przypominającym gigantyczny kramik z najróżniejszym towarem. W **„Wiośnie 83”** wzięło udział 150 spółdzielni rzemieślniczych i 40 indywidualnych producentów — — łącznie niespełna 200 wystawców, podczas gdy jesienią było ich ponad 300. Oferta, której wartość wynosiła około 5 mld zł, nie stanowiła w żadnej mierze odbicia rzeczywistych możliwości produkcyjnych rzemiosła, które są znacznie większe, nawet, jeżeli uwzględni się 6,5 mld zł wartości towarów sprzedanych wcześniej, na giełdach wojewódzkich.

W prywatnym sektorze naszej gospodarki dzieje się w ostatnich miesiącach źle — i nic nie zapowiada rychłej poprawy. Oczywiście trudności zaopatrzeniowe są jednym z podstawowych problemów, z jakimi borykają się prywatni producenci, często w znacznie większym stopniu niż przedstawiciele pozostałych sektorów gospodarki. Nie one jednak w decydującej mierze wpływają na likwidację bądź okresowe zamykanie wielu zakładów, na ograniczanie produkcji, zawieranie z handlowcami umów mniejszych, niż pozwalają na to rzeczywiste możliwości wytwórcze i surowcowe. Tym decydującym czynnikiem jest brak stabilnej polityki wobec rzemiosła. Problem jest nienowy: od kilkudziesięciu lat na dobrą sprawę nie wiadomo z całą pewnością, czy rzemiosło jest „równorzędnym partnerem gospodarczym”, któremu należy się „zielone światło”, czy też są rzemieślnicy zbiorowiskiem spekulantów, bogacących się w sposób nieuzasadniony, kosztem innych, ciężko pracujących ludzi.

Co gorsza, często praktyczne działania, realizowane na najniższych szczeblach w sposób znaczny różniły się od stanowiska deklarowanego przez polityczne i administracyjne władze centralne. W ostatnim okresie „straszakiem” hamującym prawidłowy rozwój rzemiosła jest zapowiadana ustawa podatkowa. Jest ona niewątpliwie potrzebna — jednak okres oczekiwania na nią trwa zbyt długo. Rzemieślnicy — obawiając się, że spowoduje ona całkowitą nieopłacalność produkcji — ograniczają działalność, próbując w ten sposób przetrwać kryzys.

„Nie o to chodzi, aby podatki były niskie, a dochody drastycznie wyższe od średniej krajowej — mówi Andrzej Bańkowski, wiceprzewodniczący Centralnego Związku Rzemiosła, przewodniczący komisji targowej. — **Konieczna jest jednak jasność i stabilizacja. Każdy rzemieślnik musi umieć sam obliczyć, jaki podatek będzie płacił w tym roku oraz w latach następnych w zależności od wielkości produkcji, zatrudnienia itp., a także musi mieć pewność, że nie będzie zmuszony zmieniać tych wyliczeń co kilka miesięcy. Konieczna jest więc stabilność polityki podatkowej, choćby w okresie 5-letnim, a już co najmniej 3-letnim, objętym założe-**

5

Chleb i książka są potrzebne w równej mierze

Rozmowa z Przewodniczącym Tymczasowej Rady PRON — JANEM DOBRACZYŃSKIM

— **W projekcie deklaracji PRON, w rozdziale zatytułowanym „Działanie na rzecz moralnego i obywatelskiego odrodzenia narodu” czytamy** „Zwracamy się do twórców kultury i ludzi nauki oraz tych, którzy poświęcili się rozwojowi i upowszechnianiu tych dziedzin: niech traktują nasz ruch jako sojusznika, który pragnie dopomóc w ich wysiłkach”. **Otóż jest to sformułowanie zbyt ogólne, zawężone do jeszcze jednego apelu do ludzi dobrej woli.**

— Za tym sformułowaniem kryje się głęboka treść. Ludzie, o których tu mowa, są tymi, którzy mogą nam pomóc. Właściwie cała działalność PRON jest niemal niemożliwa bez pomocy ludzi kultury, twórców kultury. Dlaczego? Dlatego, że przekazują oni poprzez słowo, barwę, dźwięk najważniejsze wartości ludzkie, dlatego, że są oni tymi, których ludzie słuchają, wreszcie, co jest najważniejsze, dlatego, iż twórczość w swojej istocie jest odwołaniem się do najszlachetniejszych

3

Listy • Poglądy • Opinie

JAGUSIA' 83

Redakcja łomżyńskiego tygodnika „Kontakty" i Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza ogłaszają ogólnopolski konkurs na reportaż pod nazwą „Jagusia '83". Nazwą i ideą organizatorzy nawiązują do konkursu „Boryna '81", którego plon ukaże się nakładem LSW. Hasłem obecnego konkursu chcemy zwrócić uwagę reporterów na kobietę wiejską, jej życie uczuciowe, rodzinne, pracę, pozycję w hierarchii społecznej wsi. Pragniemy się dowiedzieć, czym miłość wiejska różni się od miłości miejskiej, jakie normy moralne i obyczajowe przetrwały od czasów reymontowskiej Jagusi, a jakie rygory przestały obowiązywać; kim jest dzisiaj Jagusia, co myśli, co czuje, jak przeżywa krajowy kryzys. Słowem: jak dalece wizerunek współczesnej Jagusi odstaje od reymontowskiego pierwowzoru literackiego.

Nazwą konkursu nie zamykamy możliwości poruszania się po różnych dziedzinach życia współczesnej wsi. Interesują nas również starcia i konflikty występujące na linii: rolnik — urząd — władza, odbicie w świadomości społeczeństwa wiejskiego wydarzeń posierpniowych i pogrudniowych, relacje pomiędzy rolnictwem indywidualnym a innymi sektorami rolnictwa, hamulce rozwoju gospodarstw chłopskich.

Nie publikowane dotychczas prace (opatrzone godłem i zaklejoną kopertą z danymi o autorze) w trzech egzemplarzach, w objętości nie przekraczającej 15 stron maszynopisu (mogą też być specjalnie opracowane tryptyki), prosimy nadsyłać do połowy maja 1983 r. pod adresem „Kontakty", ul. Świerczewskiego 7a, 18—400 Łomża.

Jury, pod przewodnictwem Klemensa Krzyżagórskiego, ogłosi wyniki w czerwcu 1983 roku i przyzna nagrody:

I — 25 tysięcy złotych,
II — 15 tysięcy złotych,
trzy III — po 5 tysięcy złotych,
oraz pięć wyróżnień po 3 tysiące złotych.

Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału ogólnej puli nagród, a redakcja — pierwodruk nadesłanych tekstów. Wszyscy laureaci otrzymają ponadto wadium w wysokości 3 tysięcy złotych.

„ŁÓDŹ NA MUZYCZNEJ ANTENIE"

Szanowny Panie Redaktorze!

Od dłuższego już czasu publikują „Odgłosy" teksty Krzysztofa Drzewieckiego, skierowane przeciw Redakcji Muzycznej PR w Łodzi. Oceny naszego programu muzycznego, choćby i mocno krytyczne, witalibyśmy zawsze chętnie. Chętnie także polemizowalibyśmy albo przyznawali rację starając się nasz program poprawić. Ale jest to możliwe w wypadku recenzenta rzetelnego, znającego przedmiot swoich zainteresowań, w miarę obiektywnego, lecz przecież nie paszkwilanta.

Pan Redaktor sam chyba przyzna, że obrażanie w końcu Jego własnych kolegów — dziennikarzy, insynuowanie im nieuctwa, braku nawet elementarnej znajomości rzeczy, zwracanie uwagi władz na rzekomo skandaliczną politykę naszej Redakcji, imienne sadzanie redaktorów w „oślej ławce", uniemożliwia nam jakąkolwiek dyskusję z autorem tekstów piosenek. Taki był bowiem dotąd zawód K. Drzewieckiego. Obecnie ujawnił i drugi, polegający — jak to się dawniej mówiło — na pisaniu listów zaczynających się od słów: „donoszę Panie Naczelniku".

Program muzyczny naszej Rozgłośni jest bardzo rozległy. Obejmuje muzykę poważną, polską w szczególności, we wszystkich jej rodzajach, również ludową. Zajmujemy się życiem muzycznym młodzieży, śledzimy uważnie ruch muzyczny na terenie Łodzi, amatorskie zespoły śpiewacze, orkiestry, prezentujemy dorobek szkół artystycznych, a także dorobek indywidualny wybitniejszych solistów, wykorzystując nie tylko lokalną antenę, ale i wszystkie programy radia centralnego. Notujemy na antenie wszystkie ważniejsze, zwłaszcza o randze ogólnopolskiej wydarzenia, w formie koncertów, recenzji, reportaży czy publicystycznych wypowiedzi. Emitujemy sporo koncertów w wykonaniu naszej radiowej orkiestry, kierowanej przez dyr. H. Debicha i należymy do czołowych rozgłośni, jeśli chodzi o udział w programie ogólnopolskim.

Mniejsza zresztą o szczegóły. Pan Redaktor z pewnością przyzna, że dopiero na tle wszystkich wielorakich obowiązków można oceniać pracę redaktorów. Krzysztof Drzewiecki wybrał sobie to, co go — jako autora tekstów piosenek — osobiście interesuje, a mianowicie program „Łódź na muzycznej antenie". Jest to niewielki (żeby już nie powiedzieć marginalny) wycinek naszej działalności. Audycja pojawia się w środku nocy mniej więcej co trzy tygodnie i choć eksponuje — w znacznie większym procencie, niżby to wynikało z obserwacji K. Drzewieckiego — nagrania z łódzkiego studia, nie jest przeznaczona do lansowania czegokolwiek. Jej zadaniem jest dyskretne, nie przykuwające uwagi towarzyszenie ludziom, pracującym w nocy. I nie jest to koncepcja wymyślona przez pracowników Redakcji Muzycznej PR w Łodzi, lecz model obowiązujący wszystkie rozgłośnie regionalne w Polsce.

Zarzut, jakoby „parę niedoświadczonych osób z radiowej Redakcji Muzycznej w Łodzi skutecznie torpedowało jakiekolwiek wysiłki zmierzające do tego, by Łódź istniała na mapie kraju jako liczący się ośrodek muzyki rozrywkowej" jest nie tylko chybiony, ale całkiem zwyczajnie nieuczciwy. Wystarczy prócz „Łodzi na muzycznej antenie" słuchać w programie ogólnopolskim cyklicznej audycji „Sztafeta Orkiestr", redagowanej przez obrzucanego inwektywami red. Jerzego Kijo, wystarczy słuchać krajowych programów muzycznych, aby się przekonać jak wiele łódzkich musicaliów dociera do słuchacza polskiego. I to niezależnie od bogatego programu lokalnego.

Zamiast więc pisać, że nasza „opieszałość, złośliwość, krótkowzroczność, brak zrozumienia tematu" jest przyczyną wszelkiego zła, lepiej byłoby — jak sądzę — więcej poświęcić czasu poszukiwaniu recepty na podniesienie poziomu naszej muzyki rozrywkowej. Pan Redaktor, jak zresztą wszyscy zainteresowani słuchacze, doskonale wie, że nie jest to poziom oszałamiający. Potrzeba utworów rzeczywiście ciekawych, nowatorskich, które szturmem zdobywałyby miano bestsellerów, jest przecież oczywista.

Bylibyśmy bardzo radzi, gdyby Pan Redaktor uznał za celowe recenzowanie naszego programu, pełnego oczywiście, a nie dobieranego na użytek osobisty takiego czy innego „polemisty". Będziemy wdzięczni za powierzenie takiego zadania bezstronnemu, fachowemu dziennikarzowi.

Nie jest nim przecież K. Drzewiecki przystrojony w kostium bohatera, który w wielkiej sprawie pierwszy nadstawia pierś. Nie w wielkiej, lecz małej, znamy się nie od dziś i wiemy (a możemy to poprzeć dokumentami), że to nie walka o interesy środowiska, lecz „podjazdówka" w interesie jednego w gruncie rzeczy człowieka.

Kreślę się z wyrazami szacunku:

ILONA GRZESIAK
Kierownik Redakcji Muzycznej Rozgłośni PR w Łodzi

Łódź, 26 marca 1983 r.

P.S. Przykro nam, ale wypowiedź kompozytora i pianisty J. Malinowskiego, także nie daje powodu do dyskusji. J. Malinowski powiada mianowicie, że nie zauważyliśmy Elżbiety Mielczarek. A my powiadamy, że J. Malinowski nawet głosu rozsądku nie słucha, a cóż dopiero radia. Pierwszego wywiadu w swoim życiu udzieliła E. Mielczarek właśnie nam. Trudno przecenić rolę tego wywiadu w karierze utalentowanej piosenkarki, ale może pomogły p. Elżbiecie jej własne piosenki. I choć radio to sztuka ulotna, możemy jednak z buchalteryjną dokładnością wyliczyć, ile czasu antenowego zapełniliśmy piosenkami tej właśnie, rzekomo nie dostrzeżonej wokalistki.

I.G.

ROZCZAROWANY

Proszę mi wybaczyć, że ośmielam się przesyłać coś, co, być może, nie licuje z walorami artystycznymi filmu pt. „Serce Tyrana czyli Boccaccio na Węgrzech", lub też z jego głębszym sensem. O ile już nie znacie, to powinniście znać opinię ludzi, a przynajmniej dużej ich części na temat tego niewątpliwego dzieła. Co prawda, byłem tylko jeden jedyny raz na projekcji i nie wiem, jaka była reakcja widzów na innych seansach, lecz nie przypuszczam, aby zbytnio od tej, której sam byłem świadkiem, odbiegała zwłaszcza, iż zasięgnąłem języka u osób, które także — jak to określiły — „zwiedzione tytułem" — dały się dosłownie nabrać. Nie wnikam w to, czy powodem tego jest różnica kultur, czy może też brak fachowej wiedzy z zakresu historii, literatury, itp., lecz jedno jest mi wiadome, iż kino jako instytucja preferująca rozrywkę, odprężenie, humor, emocje, czy też w końcu pokazanie czegoś ciekawego, w tym konkretnie przypadku moim i nie tylko moim zdaniem nie spełnia ani jednej z wyżej wymienionych, podstawowych jej zalet.

Oczywiście zawsze znajdą się ludzie, którzy potępią tego typu opinie, legitymujący się albo świetną znajomością danej dziedziny, bądź też ci, których określamy mianem snobów, a takich notabene nie brak, lecz konkludując, chciałbym podkreślić, iż w moim odczuciu przede wszystkim powinien się liczyć ogół, a ten ostatni był, niestety, rozczarowany.

Z wyrazami szacunku
LEONARD GAWEŁ

Łódź, 15.III.1983 r.

CO MOŻNA ZNALEŹĆ W MUZEUM HISTORII RUCHU REWOLUCYJNEGO W ŁODZI?

Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi gromadzi, opracowuje i przechowuje wszelkiego rodzaju materiały i pamiątki historyczne, związane z powstaniem i rozwojem łódzkiej klasy robotniczej, szczególnie zaś materiały dokumentujące rewolucyjne tradycje Łodzi i okręgu łódzkiego. W odniesieniu do okresu Polski Ludowej w polu zainteresowania Muzeum są różnorodne eksponaty, obrazujące nurt społeczno-politycznych przemian, zachodzących w Łodzi i województwie.

Zbiory zasadnicze Muzeum grupowane są w 3 działach: archiwaliów, ikonografii i muzealiów. Dział archiwaliów obejmuje w przeważającej większości druki ulotne, takie jak odezwy i ulotki partii oraz organizacji robotniczych i młodzieżowych (SDKPiL, PPS, PPS-Lewicy, KPP, KZMP, OM TUR, PPR). Ciekawie prezentuje się zbiór druków z lat 1905—1907 oraz zestaw odezw KPP i KZMP, a także materiały dotyczące działalności PPR na terenie Łodzi (np. Odezwa łódzkiej organizacji PPR ze stycznia 1944 r., wzywająca do przeciwstawienia się masowym wywózkom ludności w głąb Niemiec; Rezolucje Pierwszej Wojewódzkiej Konferencji PPR z 18.II. 1945 r.; Protokół Komisji Porozumiewawczej PPR i PPS w Zakładach I. K. Poznańskiego z 28.VII. 1945 r. i wiele innych).

W grupie archiwaliów znajdują się różnego rodzaju dokumenty osobiste działaczy: legitymacje członkowskie PPS z okresu międzywojennego, tymczasowe legitymacje PPR, mandaty delegatów na 1 wojewódzką konferencję, konferencje dzielnicowe i na I Zjazd PPR, oraz zaświadczenia, ankiety, dyplomy i dowody tożsamości, a wśród nich np. dowód Henryka Gierkowskiego — członka PPR — wydany przez Komitet Obozu Polaków i władze amerykańskie po wyzwoleniu obozu koncentracyjnego w Ebensee w Austrii. Są tam również materiały szkoleniowe, książeczki obrachunkowe, a także korespondencja, np. list Juliana Marchlewskiego z 25.I.1902 r. do syna Leona, czy list Anny Piątkowskiej — działaczki PPR — napisany w 1943 r. podczas transportu z więzienia w Łodzi przy ul. Gdańskiej do obozu w Oświęcimiu.

Muzeum posiada sporo interesujących gazet i czasopism, m. in. „Czerwony Sztandar" (najstarszy numer z 11.XI.1903 r.), „Z pola walki", „Robotnik", „Łodzianin", „Vorwarts". Szczególnie cenne są egzemplarze prasy konspiracyjnej: „Biuletyn Radiowy", „Front Walki za Naszą i Waszą Wolność", „Głos Łodzi", „Gwardzista", „Promienisty", a także pełna dokumentacja wydania specjalnego „Trybuny Ludu", przygotowywanego w związku z 1 Maja 1943 r.

Cenną kolekcję stanowią plakaty i afisze. Zdecydowana większość — to plakaty obrazujące przemiany polityczne i społeczno-gospodarcze, zachodzące po 1945 r. Liczną grupę stanowią afisze — obwieszczenia sądów specjalnych o wyrokach śmierci, wykonywanych na mieszkańcach Łodzi podczas okupacji hitlerowskiej.

Muzeum zebrało około 1 100 wspomnień działaczy, uczestników walk rewolucyjnych z lat 1905—1907, członków SDKPiL, PPS, PPS-Lewicy, KPP, KZMP, PPR, uczestników ruchu oporu — członków GL i AL, więźniów obozu hitlerowskiego na Radogoszczu i więzienia przy ul. Długiej (dziś Gdańska).

Dział ikonografii liczy 7 862 pozycje. Liczba ta nie w pełni odzwierciedla ilość posiadanych fotografii i pocztówek. W niejednym przypadku pod jednym numerem zarejestrowano bowiem po kilka, a nawet kilkadziesiąt związanych tematycznie zdjęć.

Zbiór ikonografii ilustruje życie i walkę klasy robotniczej, problematykę ruchu oporu i martyrologię mieszkańców Łodzi i okolic, a także wydarzenia polityczne, gospodarcze i kulturalne miasta w okresie Polski Ludowej. Do ciekawych materiałów ikonograficznych należy zaliczyć serię zdjęć XIX-wiecznej Łodzi, stanowiących zestaw 20 fotografii — tzw. Teka Majewskiego; album „Widoki m. Łodzi", zawierający 39 fotografii wykonanych przez B. Wilkoszewskiego; zdjęcia budynków i hal produkcyjnych Fabryki Biedermana — dziś: ZPB im. Sz. Harnama, jak również pojedyncze fotografie, ilustrujące warunki pracy i życia łódzkich robotników, a m. in. zdjęcie robotników z Fabryki Maszyn i Odlewni Żelaza Otto Goldammera z 1894 r.

Interesujący jest zbiór ponad 200 kart pocztowych i zdjęć, związanych z historią Legionów Polskich i 28 Pułku Strzelców Kaniowskich.

Na szczególną uwagę zasługują fotografie z demonstracji i pochodów z okresu międzywojennego, jak np. zdjęcie członków PPS, maszerujących w pochodzie 1 maja 1919 r. w Pabianicach; seria ponad 20 oryginalnych fotogramów z demonstracji 1-majowej, zorganizowanej przez KPP, PPS i klasowe związki zawodowe w 1936 roku w Łodzi pod pomnikiem poległych uczestników Rewolucji 1905—1907 na Polesiu Konstantynowskim.

Wśród zdjęć dotyczących okupacji hitlerowskiej na wyróżnienie zasługują m. in. fotografie związane z działalnością konspiracyjnej organizacji — Związku Młodzieży „Promieniści", jak również zdjęcia działaczy partyjnych i uczestników ruchu oporu, więźniów hitlerowskiego obozu na Radogoszczu, czy wreszcie szereg zdjęć miejsc walk partyzanckich i obiektów, związanych z działalnością PPR w czasie wojny i okupacji.

Fotogramy powstałe po 1945 r. dokumentują wydarzenia z życia partii i organizacji społeczno-politycznych, ilustrują codzienne życie mieszkańców oraz zmiany zachodzące w wyglądzie miasta.

Na dział muzealiów składają się sztandary i transparenty, dzieła sztuki oraz inne realia historyczne w postaci medali, broni i umundurowania, tajnych drukarń, czy różnych wyrobów autorstwa więźniów politycznych. Dział liczy 2 052 pozycje. W zdecydowanej większości są to sztandary zakładowych i terenowych organizacji PPR i PPS, związków zawodowych i organizacji młodzieżowych. Do najcenniejszych należą: Sztandar Łódzkiego Koła Uczestników Powstania 1863 r., Sztandar Weteranów Walk Rewolucyjnych 1905—1918, Sztandar Komitetu Obwodowego PPR w Łodzi z 1942 r. wyhaftowany w warunkach konspiracyjnych przez Marię Janic — członka PPR, czy wreszcie Sztandar Przechodni „Wyścigu Pracy" w przemyśle bawełnianym z 1945 r.

Muzeum posiada zbiór pamiątek wykonanych w więzieniach w Łodzi, Sieradzu, Łęczycy, Piotrkowie Trybunalskim i innych — przez więźniów politycznych i zesłańców. Są to np. szachy oraz kałamarz i postument do piór, wykonane z chleba, mandolina zrobiona z zapałek, bransoletka z włosia grawerowane szklanki (16 szt.), notatki szkoleniowe, grypsy, pamiętniki.

W zbiorach znajdują się ponadto rzeczy osobiste (m. in. okulary i portmonetki) więźniów Radogoszcza, którzy zginęli w płomieniach w przeddzień wyzwolenia Łodzi.

Muzeum gromadzi również eksponaty, związane z walką zbrojną Polaków o wyzwolenie społeczne i narodowe. Posiadane zbiory broni, odznaczeń bojowych, umundurowania żołnierzy polskich z 1939 roku, partyzantów GL i AL oraz żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego należą do najbogatszych w Łodzi. Najstarszy egzemplarz broni palnej, posiadany przez Muzeum, to pistolet kapiszonowy z 1822 r. Jest również broń używana w walkach rewolucyjnych lat 1905—1907, a także podczas II wojny światowej — przez żołnierzy i partyzantów.

Odrębną kolekcję tworzą dzieła sztuki — prace z dziedziny malarstwa, grafiki i rzeźby — głównie twórców ze środowiska łódzkiego. Zbiór liczy ponad 200 obrazów olejnych. Są wśród nich prace Konstantego Mackiewicza, Jerzego Krawczyka, Wiesława Garbolińskiego, Benona Liberskiego, Wiesława Śniadeckiego i innych. Wśród grafik i rysunków znajdują się prace Leszka Rózgi, cykl rysunków „Fabryki łódzkie" — Wiesława Kondka, a także 16 rysunków o treści obozowej Szczepana Andrzejewskiego — więźnia Oświęcimia. Do ciekawych prac z dziedziny rzeźby należą: „Muzułmanka" Wacława Wołosewicza, „Strajk" i „Rok 1905" Antoniego Biłasa, „Bunt" — Elwiry i Jerzego Mazurczyków, „Ofiary faszyzmu" — Zdzisława Liszewskiego, „Walkirie" Michała Gałkiewicza.

Zgromadzony przez Muzeum zasób eksponatów pochodzi od instytucji i osób prywatnych — z darowizn, przekazów, zakupów i wymiany. Szczególnie duży udział w jego powiększaniu mają zasłużeni działacze ruchu robotniczego i ich rodziny. Przekazywane przez nich — z własnej inicjatywy lub na apel Muzeum — dokumenty i materiały są niezastąpionym świadectwem rewolucyjnych tradycji „czerwonej Łodzi". Składając tą drogą serdeczne podziękowanie dla wszystkich ofiarodawców — *Muzeum zwraca się zarazem do społeczeństwa Łodzi o dalsze efektywne wspieranie jego wysiłków, zmierzających do powiększenia i wzbogacenia jego zbiorów.*

MARIA GŁOWACKA

NA CO LICZY?

Historia opisana przez Edwarda Bryla jest niesamowita, ale mnie osobiście nie zbulwersowała. Podobna tragedia wydarzyła się w mojej rodzinie. Mój ojciec pochodzi ze wsi pod Sochaczewem, dzięki wytrwałości, uporowi chłopskiemu zdobył dyplom i został wymarzonym inżynierem, raczej miernym, ale panem inżynierem! Tak nawet kazał tytułować się własnej matce (!), która sprzedała gospodarstwo po śmierci dziadka i za namową mego ojca przeniosła się do miasta Łodzi, do synka. Długo jednak miejsca nie zagrzała, nie była odpowiednim członkiem rodziny, ot, kobiecina wiejska, gosposia...

Od dwóch lat przebywa w domu rencistów, zmieniła się bardzo, już nie ten człowiek pełen życia (mimo 70 lat), energii, radości. Jest przygaszona, czeka po prostu na swój koniec! Tylko ja ją odwiedzam, sporadycznie, ukradkiem, w tajemnicy przed ojcem i matką.

Do swego ojca nie czuję nienawiści, jest mi zupełnie obojętny, czasem myślę o nim z pogardą, czasami z litością... W sumie to przecież mały, biedny człowieczek...

W pierwszej chwili chciałem napisać o swojej rodzinie bardzo szczegółowo, podać nazwisko, adres, ale żal mi mojej matki, kobiety jeszcze przecież młodej, czterdziestoletniej, która dzięki ojcu mało w życiu przeżyła radości. Ojciec wprowadził do naszego domu wszystkie najgorsze nawyki i cechy prymitywnego chłopa, który zdobył akademickie wykształcenie. „Darmozjad" — to było słowo padające najczęściej pod adresem babci.

Ma rację red. Bryl pisząc, że na wsi liczą się tylko ci, co potrafią jeszcze pracować. Ciekaw jestem, jak planuje sobie zorganizować starość mój ojciec? Na mnie liczyć nie może. Dlaczego mam się opiekować obcym człowiekiem.

ADAM
student AM w Łodzi

CO O TYM MYŚLĘ?

Z treści artykułu E. Bryla pt. „Wykarmiłam ich własną piersią" („Odgłosy" nr 10, z dnia 5.03. 1983) wynika, że dzieci Heleny Sęczkowskiej są katolikami, niewątpliwie praktykującymi. Właśnie takimi ludźmi w każdą niedzielę zapełniają się kościoły. (Oczywiście przychodzą też wierni czujący taką potrzebę, ale tych jest zdecydowana mniejszość). Udział w praktykach religijnych jest dla nich fasadą, otoczką, pod którą kryje się zachłanność, egoizm. Wymownym tego przykładem jest rodzina nieszczęsnej H. Sęczkowskiej, *której dzieci odmówiły dachu nad głową.* Gdzie podziała się ich miłość do bliźniego, miłość, o której Kościół ciągle mówi? Jak tacy ludzie, jak: Czesława Fandrych, Anna Janczak, Janina Hejnjak, Maria Sikora, Stanisław Sęczkowski mają czelność mienić się katolikami?

Ta dwulicowość najbardziej mnie zgniewała. Tacy ludzie powinni być potępieni publicznie!

EUGENIA WŁODARSKA

ON MNIE POTRZEBOWAŁ...

Po raz pierwszy piszę do redakcji i może bym nie pisała, gdyby nie fakt, że doszedł mnie artykuł Edwarda Bryla z nr 10 (1301) „Odgłosów" z 5 marca 1983 r. w sprawie Heleny Sęczkowskiej. Tytuł artykułu „Wykarmiłam ich własną piersią". Czytałam ten artykuł kilka razy i wprost trudno było mi uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. (...)

Ja widocznie żyję na innym świecie, bo doprawdy nie rozumiem i nie zrozumiem okrucieństwa tej sprawy. Mam 36 lat, 18-letniego syna i męża — inwalidę I grupy, nie chodzi. I powiem szczerze: 14 lat temu rozeszliśmy się, ponieważ nie było między nami zgodności charakteru. Potem, po 7 latach zeszliśmy się i mąż zachorował, nie myślałam nigdy o sobie, chciałam ulżyć jemu i nigdy nie rozpamiętywałam starych ran. On mnie potrzebował i to tylko było ważne. Teraz w swojej chorobie stał się zgryźliwy, pełen uporu i złośliwości, chociaż nie sądzę, by to trwało ciągle. Stracił jednak przyjaciół, co zresztą trochę zrozumiałe, zakład pracy nie interesuje się naszymi sprawami. Cały czas, a trwa to już siódmy rok, zdani jesteśmy na siebie i doprawdy, proszę wierzyć, nie jest nam łatwo. Ale wiem, że nie oddam męża nigdzie i nikomu nawet kiedy był w szpitalu odwiedzałam go codziennie. A przecież znaleźli się tacy, którzy chcieli, radzili bym go oddała do Domu Specjalnej Troski. Nawet moi lekarze dość często robili mi uwagi że powinnam to zrobić, bo to pogarsza moją chorobę. Choruję na nadciśnienie i to dość wysokie, ponadto na serce. Ale go nie oddam, póki życia mi starczy. Sumienie mi na to nie pozwala, a ponadto nie jestem taką egoistką...

Dlatego proszę się nie dziwić, że oburza mnie artykuł w Waszej gazecie, trzeba nie być człowiekiem, by tak oddać własną matkę i używać takich słów. To jest ohydne i godne potępienia. Wierzę, że wiele osób do Was napisze, że sprawa ta jest nieludzka i pełna oburzenia.

Pozdrawiam
A. B.
(adres i nazwisko tylko do wiadomości redakcji)

WIEM, ILE TO WYMAGA CZASU I POŚWIĘCENIA...

Nawiązując do artykułu pt. „Wykarmiłam ich własną piersią" w numerze 10 z 5.03. 1983 r., chciałam wyrazić swoje oburzenie na postępowanie opisanych ludzi. Sama mam matkę trochę starszą i od 15 lat niesprawną, wiem ile czasami trzeba wysiłku, żeby ubrać, umyć, nakarmić, ale przecież to jedyna i najdroższa serce każdego osoba. (...)

Problem jest chyba bardzo poważny, przecież to tworzy się zwyrodnienie w społeczeństwie. Może nauczyciele i wychowawcy zbyt mało lub w ogóle nie poświęcają uwagi na problem szacunku jaki jesteśmy winni starszym? A może Edward Bryl sięgnąłby i do tego problemu? Przecież na wychowanie nigdy nie jest za późno.

Z. Z.
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Warszawa, 10.3.1983 r.

Chleb i książka są potrzebne w równej mierze

Dokończenie ze strony 1

ludzkich wartości, do tych czynników, które przygotowują człowieka do wielkich zadań życiowych i obywatelskich, które tworzą bohaterów i tych dźwigających na swoich barkach losy narodu i państwa.

Oczywiście zdaję sobie sprawę z faktu, że nie zawsze twórczość szła tym nurtem, że nie zawsze u nas ta rzecz była jasno postawiona. Właśnie minęła piąta rocznica śmierci Zbigniewa Załuskiego. I kiedy myśląc o tym sięgnąłem do niezapomnianej dla mnie jego książki „Siedem polskich grzechów głównych", przypomniała mi się żałosna epoka, kiedy to w naszej literaturze pojawiły się odgłosy będące podważeniem wielkich zadań, które były i są w twórczości artystycznej.

Powiedzmy sobie wyraźnie: odrodzenie, a jest ono wypisane jako główne słowo naszego ruchu, opiera się na odwołaniu się do najgłębszych ludzkich wartości. Tymi najgłębszymi wartościami ludzkimi dysponuje twórca. Może je obudzić, może pokazać, może przekazać. Dlatego wydaje mi się być słusznym, potrzebnym i koniecznym odwołanie się do twórców, by uczestniczyli w naszym ruchu. Bo jedność, na którą czekamy i porozumienie, którego szukamy, i które musi nastąpić, jeśli mamy żyć, jest nierozerwalnie związane z dążeniem do powrotu do wielkich ideałów, do wielkich haseł, które w tradycji narodowej Polski zawsze były, i które w momentach trudnych, w momentach klęski potrafiły przemienić tę klęskę w zwycięstwo, umiały podnieść nas z największego upadku.

— W Deklaracji mówi się, że PRON jest ruchem otwartym. Otwartym na co?

— Jesteśmy otwarci w tym sensie, że nie przychodzimy z czymś gotowym, z receptą. Jeśli mi ktoś mówi, że my w PRON powinniśmy robić to lub tamto, to odpowiadam, że będziemy robić zawsze to, co będą robić ludzie, którzy do nas przyjdą. Jeśli nas zostawicie samych, to my nic nie zrobimy. I właśnie w tym sensie otwieramy się jak najszerzej: na ludzi, na problemy społeczne. Od samego początku nie chcieliśmy, aby PRON był z góry zdefiniowaną organizacją. Powiedzieliśmy, że będzie ruchem otwartym, takim, gdzie odbywa się nieustający dialog nie tylko PRON ze społeczeństwem, ale dialog wewnątrz PRON. Musimy najpierw porozumieć się w samym PRON co jest tymi imponderabiliami, do których się odwołujemy i dopiero wtedy możemy wyjść na zewnątrz i mówić do społeczeństwa. Dlatego czekamy na ludzi. Bo jeśli do nas ludzie nie będą przychodzić, wówczas ruch nasz nie stanie się autentyczny. I to musimy sobie powiedzieć otwarcie.

— PRON chce być partnerem, to także jeden z zapisów Deklaracji. Jednocześnie chce być otwarty. Czy nie sądzi pan, że te dwa stwierdzenia są trochę sprzeczne?

— Podtrzymuję sformułowanie zawarte w Deklaracji. Tak, jesteśmy otwarci, a jednocześnie partnerscy. Sądzę, że nie ma tu sprzeczności. Musimy przecież być otwarci na tych wszystkich, którzy do nas przyjdą, by w naszych szeregach działać dla dobra ogółu. I to jest nasza otwartość. Natomiast jesteśmy partnerscy, gdyż chcemy reprezentować opinię społeczną wobec władz państwowych i będziemy ją reprezentowali tym lepiej, im udział społeczeństwa w PRON będzie szerszy.

— W maju odbędzie się Kongres PRON, wydarzenie dla ruchu ogromne. Wielu ludzi wiąże z nim wielkie nadzieje, gdyż patriotyzm u Polaków zawsze posiadał cenę najwyższą. Natomiast mnie, jako pisarza, interesuje to wszystko, co dotyczy edukacji narodowej poprzez kulturę. Proszę zatem powiedzieć, czy na ogólnokrajowym forum PRON znajdzie się miejsce dla kultury?

— Ależ oczywiście! Ale w dużym stopniu będzie to zależeć od tego, co na nasz kongres zostanie przyniesione. Nie jest zadaniem Tymczasowej Rady przygotowanie wszystkiego w szczegółach i zademonstrowanie gotowych rozwiązań wobec przybyłych na Kongres. Chcemy, by ludzie, którzy znajdą się na Kongresie, przynieśli ze sobą nie rozwiązane dotąd problemy, by przedstawili swoje pomysły, zaproponowali kierunki przyszłych działań. Na tym polega jedna z cech PRON: nie gotowe recepty, ale dialog.

Owszem, jesteśmy gotowi do przedyskutowania problemów kultury i uważamy to za konieczne. Aby nie być gołosłownym, powiem, że powołaliśmy już zespół do spraw kultury, który wprawdzie nie ma wielkich ambicji, gdyż nie chcemy, by powstało coś w rodzaju konkurencji wobec Narodowej Rady Kultury. Natomiast zespół ten załatwia wiele spraw praktycznych, spraw trudnych, a odnoszących się do szeroko pojętej działalności kulturalnej. Jednocześnie zdaję sobie sprawę z faktu, że wiele problemów dotyczących kultury czeka dziś na rozwiązanie, ale, jak powiedziałem, wszystko to musi być przyniesione na nasz Kongres. To nie może być głos organizatorów Kongresu, ale głos jego uczestników.

— Kultura nigdy nie miała łatwego życia. W każdym projekcie planu narodowego występowała na końcu jako coś wstydliwego, mało istotnego. Dziś płacimy za to wysoką cenę. Wiele przedsiębiorstw usiłuje się od kultury odseparować, tłumacząc się brakiem środków finansowych do jej prowadzenia...

— PRON nie posiada ani środków, ani możliwości doraźnej pomocy. Jedynie, co możemy zrobić, to zainspirować na ten temat szeroką dyskusję...

— Ale PRON ma autorytet!

— To prawda, zdobył sobie już pewien autorytet. Dlatego co tylko możemy, to staramy się dla kultury zrobić. Poprzez nasz zespół kulturalny prowadzimy dyskusje z wydawcami, z instytucjami kulturalnymi, z ludźmi odpowiedzialnymi za jej rozwój. Co prawda są to działania w sprawach drobnych, ale widzimy realne szanse szerszego naszego udziału w tym wszystkim, co mieści się w szeroko pojętym słowie: kultura.

— Ale mnie przeraża, kiedy dowiaduję się, że biblioteka zakładowa została zamieniona w stołówkę...

— Podzielam pańską troskę i niepokój. Sądzę, że nadal pokutuje błędne rozumowanie zakładające, iż najpierw trzeba dać ludziom chleba, a dopiero potem książkę. Obie te rzeczy są potrzebne w równej mierze i jednocześnie. Jeśli nie zaczniemy od stworzenia w tym zakresie równowagi, to później nie odrobimy strat, jakie poniesiemy w dziedzinie kultury.

— A jak PRON ocenia udział pisarzy w tym ogólnonarodowym ruchu?

— Pisarzy cenimy i chcemy ich widzieć w naszym ruchu jak najwięcej. Już sam fakt, że PRON przewodniczy pisarz, jest dowodem powagi, z jaką nasz ruch traktuje pisarzy w nim uczestniczących. Przecież mamy cały szereg pisarzy nie tylko w Warszawie, ale i w wojewódzkich organizacjach pronowskich. I nadal czekamy na akces innych kolegów pisarzy.

— A czy władze Tymczasowej Rady widzą jakąś szczególną obecność pisarzy w PRON? Myślę tu o wykorzystaniu ich autorytetu, jaki mają w społeczeństwie.

Foto: Zbigniew Misiak

— Mogę powiedzieć tylko tyle: już w początkach PRON, kiedy istnieli jedynie sygnatariusze, reprezentanci owych sześciu grup które zainicjowały powstanie PRON, w czasie wszystkich dyskusji uważano, że udział pisarzy jest niezbędny. Wszyscy byli zgodni co do jednego: miejsce dla pisarzy jest w PRON. Dziś liczba ludzi pióra, w porównaniu do reprezentantów innych grup, jest stosunkowo duża. I jeszcze jedno chciałbym wyjaśnić. Tymczasowa Rada PRON jest po to, by przygotować Kongres, natomiast rady terenowe prowadzą działalność konkretną. To tam pisarze działają bezpośrednio na rzecz swoich środowisk.

— Obecnie PRON jest ruchem budzącym w społeczeństwie nadzieję. Ale znając nasze ciągoty do instytucjonalizowania absolutnie wszystkiego, mogą zrodzić się obawy, że oto przybywa nam jeszcze jedna fasadowa organizacja. Po prostu stanie się w przyszłości kolejną placówką administracyjną z biurkami, prezesami sekretarkami itp.

— PRON będzie taki, jacy ludzie do niego przyjdą. Oczywiście to, o czym pan mówi, byłoby dla ruchu wielkim niebezpieczeństwem. Nie ma cudownej recepty, która na pewno i na zawsze uchroni PRON od zbiurokratyzowania. Takie niebezpieczeństwo zagraża każdej organizacji. Ale ważne jest to, by w PRON istniał przewiew różnych tendencji, pragnień i entuzjazmu — a wówczas uchronimy nasz ruch przed skostnieniem. Przecież nie Tymczasowa Rada PRON ma baczyć na te niebezpieczeństwa, ale ci wszyscy, którzy w przyszłości znajdą się w PRON. My stwarzamy ramy, a zapełnienie ich treścią będzie należało do każdego członka PRON. Mogę pana zapewnić, że zdajemy sobie sprawę z tego zagrożenia, ale już sam fakt tej świadomości gwarantuje, że możemy uniknąć tego niebezpieczeństwa.

— Powiedzieliśmy, że tak jak powołanie PRON było przywróceniem ludziom nadziei, tak zbliżający się Kongres tej nadziei będzie urzeczywistnieniem. Proszę powiedzieć, co zmieni się po Kongresie?

— Czy będą zmiany? Na pewno. Czy duże? Chyba nie, mogą pojawić się jakieś nowe akcenty, inne ulegną przygaszeniu. Ale zmian zasadniczych nie spodziewamy się. Jeśli coś się zmieni na pewno — to ludzie. Przyjdą nowi. I to właśnie będzie ten powiew, o którym mówiłem. PRON — jak ja go widzę — nie jest ruchem, który pozostanie w ramach stworzonych przez Deklarację. Będzie się rozrastał, będzie inspirował, wciągał ludzi dobrej woli, ludzi światłych. Powtórzę raz jeszcze: będzie otwarty nie tylko na nowych ludzi, ale i na pojawiające się ciągle nowe problemy. W tym upartuję jego siłę. Bo PRON musi reagować na życie. Gdyby się tak złożyło — zakładam niemożliwe możliwym — że na Kongresie doszlibyśmy do wniosku, że już wszystko zrobiliśmy, wówczas PRON straciłby rację bytu. A tak nie jest. PRON jest i pozostanie otwarty na nowe problemy, ba, nawet na nowe konflikty.

— Wyraziłem obawę, że PRON może stać się fasadową budową, instytucją w najgorszym tego słowa znaczeniu. Odpowiedział pan, że będzie to zależeć od ludzi, którzy zasilą ten ruch. Teraz jawi mi się inna refleksja, a mianowicie, czy PRON nie stanie się dla pewnych osób kolejnym szczeblem do kariery?

— Tego nie da się przewidzieć. Przynajmniej nie można przewidzieć tego w tej chwili. Nie można także powiedzieć, że ktoś przyszedł do nas, bo upatrzył sobie tu synekurę. Praca w PRON to trud, harówka, wysiłek i kłopot. To dodatkowe, szlachetne, ale przecież społeczne zajęcie. Choć trzeba powiedzieć, że w każdej instytucji czy organizacji mogą znaleźć się ludzie słabi. A ustrzec od tego może jedynie nieustanne odradzanie swojej moralnej i obywatelskiej postawy. Codziennie, nie tylko od święta.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Wrosło w łódzką rzeczywistość...

1918, Sztanda Komitetu Obwodowego PPR w Łodzi z 1942 r. wyhaf-

Dwudziestopięciolecie swej działalności edytorskiej upamiętniło Wydawnictwo Łódzkie wydaniem bibliografii obejmującej publikacje z lat 1957—1981, zarówno własne, jak i zlecone przez różne organizacje i instytucje oraz dofinansowywane głównie przez Komitet Łódzki PZPR oraz Wydział Kultury Województwa Łódzkiego. Ogółem odnotowano 1229 pozycji, licząc wznowienia jako kolejne numery porządkowe w ciągu publikacji.

Średnio wypada więc prawie 50 tomów i tomików rocznie. Wobec takich potentatów jak „Czytelnik", PIW, czy nawet Wydawnictwo MON jest to dorobek stosunkowo skromny, ale trzeba pamiętać, że pierwszy rok istnienia (1957) zamknięto 7 tytułami, w następnym już zapisano na konto „ma" — 23 tytuły, a w roku 1960—39. W rekordowym roku 1977 wydano 100 tomów, by do roku jubileuszu przekraczać stale „magiczną" dla Wydawnictwa pięćdziesiątkę.

Ważne, że pomimo skromnych początków, nie zawsze słusznej krytyki i nacisków z różnych stron, wydawnictwo wykazywało i wykazuje rozwój, wzbogaca problematykę i co najważniejsze służy kulturze, a od kilkunastu lat także i nauce powstającej w Łodzi.

Początki były bardzo skromne. Wydawnictwo zaczynało start od książek kasowych, a więc „Józefa Balsamo" i „Naszyjnika królowej" Aleksandra Dumasa, sensacyjnej szmiry Gąsiorowskiego „Królobójcy" (zbrodnie w rodzinie Romanowych), ckliwej powieści Marii Rodziewiczówny „Między ustami a brzegiem pucharu". Te książki umożliwiły stworzenie podstaw finansowych, a zarazem sfinansowanie pomysłu Stanisława Czernika o „Bibliotece poetów".

W ozdobnym futerale znajdowało się 9 tomików ówczesnych łódzkich literatów. A więc obok znanych już i uznanych poetów (Jan Huszcza, Antoni Kasprowicz, Jarosław Rymkiewicz, Włodzimierz Słobonik) były nowe nazwiska, które nie wzbudziły zainteresowania i nie przetrwały próby czasu.

W latach 1961—1966 sfinansowano dalsze 4 futerały z tomikami poezji. Były to głównie debiuty i, jak pamiętam, bardzo długo znajdowały się one w księgarniach, a nazwiska autorów dziś nawet u oczytanego polonisty nie wywołują skojarzeń. Zresztą należy podkreślić, że poeci mieli dużą siłę przebicia w sprawach wydawniczych i chociaż zrezygnowano ze stałej serii wydawniczej, tomiki poezji stanowiły i stanowią pokaźną ilość pozycji wydawnictwa.

A niektórzy twierdzą, że poeci to ludzie niezaradni, nie doceniani, piszący do szuflady. Obawiam się, że szuflady, przynajmniej łódzkich poetów, są kompletnie puste...

W profilu tematycznym wydawnictwa rok 1962 posiada charakter przełomowy. Obok literacko-poetyckiej została utworzona redakcja społeczno-historyczna, a jej działalność szybko zaowocowała wartościowymi pozycjami z zakresu regionalistyki i historii ruchu robotniczego. Ukazała się praca Adama Ginsberta „Łódź, studium monograficzne", Cygańskiego — „Mniejszość niemiecka w Polsce Centralnej w latach 1919—1939", Karwackiego — „Walka o władzę w Łodzi, 1918—1919". Obok prac historycznych reprezentowane były także wartościowe pamiętniki Kazimierza Przybył-Stalskiego „Partyzancki czas", wspomnienia z lat okupacji, Tadeusza Męczyńskiego, nestora łódzkich księgarzy, „Lata z książką", wspomnienia o Łodzi księgarskiej lat 1907—1957, wreszcie Romana Zrębowicza, dawnego współpracownika „Wiadomości Literackich", historyka sztuki i eseisty, pod tytułem „Spotkania z czasem" — retrospektywny przegląd wybranych wydarzeń kulturalnych okresu międzywojennego, w których autor uczestniczył. Książka ta do dziś nie straciła nic ze swej aktualności i ostrości w ocenie zjawisk.

Zatrzymałem się dłużej nad produkcją 1962 roku, gdyż została wówczas złamana wyłączność publikacji literackich na rzecz książki wspomnieniowej, popularno-naukowej i naukowej. Chociaż nadal będzie przeważała literatura piękna, przeważnie „średniego lotu", obok będą coraz częściej ukazywały się pozycje popularno-naukowe, naukowe oraz eseistyka i pamiętnikarstwo. Pojawią się także albumy, które znajdą szybki zbyt, pomimo proporcjonalnie do owych czasów wysokiej ceny (np. W. Kondek — „Ulica Piotrkowska", Papierniak — „Kielce", „Łódź — album fotografii" w opracowaniu Adama Idzińskiego).

Od 1962 r. do dni naszych Wydawnictwo Łódzkie zachowuje charakter literackiej oficyny wydawniczej bazującej głównie na literatach regionalnych z włączeniem środowiska kieleckiego. Równocześnie jednak będzie ono uwzględniało stale profil produkcji historyczno-krajoznawczej, literaturę dla dzieci i młodzieży, eseistykę, prace o charakterze ściśle naukowym, a także almanachy literackie i kulturalno-społeczne.

Przeszło dwadzieścia tomów „Osnowy" kwalifikuje do zaliczenia tego almanachu do kategorii pism periodycznych wydawanych z dotacji miasta i zapełnianych niemal wyłącznie przez członków Związku Literatów Polskich. Poczytności „Osnowa" nie zdobyła i wciąż (wychodzi także obecnie) jest hermetycznie zamknięta dla autorów ze środowiska pozaliterackiego.

Przy okazji nadmieniam, że od lat łódzkie środowisko literackie izolowało się i izoluje od innych związków twórczych. Trzeba było dopiero stanu wojennego, by przełamać bariery przeszkód przeciwko powstaniu w Polsce Związku Autorów im. Bolesława Prusa, grupującego twórców spoza kręgu literatów. Związek ten posiada już status stowarzyszenia twórczego, grupuje piszących zawodowo, a nie okazjonalnie. Chyba dla nich także powinny być otwarte łamy „Osnowy".

Dla Wydawnictwa w ramach trzech „S" jest bardzo ważne uzyskanie praw na wydawanie lektur szkolnych. Tymczasem czynniki centralne stawiają przeszkody przy przyznawaniu opcji na każdą lekturę. Warszawskie układy niestety mają nadal moc obowiązującą, a fakt, że młodzież jest pozbawiona dostępu do podstawowych książek z klasycznej literatury nie bardzo martwi decydentów wydawniczych. Oby te opory zostały nareszcie przełamane.

W ramach samofinansowania jest sprawą decydującą puszczanie tytułów wysokonakładowych, by subwencjonować chociażby tomiki poetyckie lub eseje publicystyczno-kulturalne, czy też pozycje naukowe. Ostatnio Wydawnictwo nie wymiguje się od pozycji wartościowych, ale niskonakładowych. Żonglowanie na linie samowystarczalności może odbywać się niestety tylko w granicach bezpieczeństwa finansowego.

Przy okazji pragnę zwrócić uwagę na bardzo miłą tendencję, która towarzyszy Wydawnictwu od początku istnienia i nie uległa zachwianiu właśnie dziś, gdy szereg wydawnictw (np. „KAW") winduje ceny swoich publikacji poza granice przyzwoitości. Rzetelność łódzkiej oficyny na tym tle godna jest pochwały wysokiej rangi.

Na marginesie jubileuszu dwudziestopięciolecia służby dla dobra łódzkiej kultury i nauki (chociaż jubileusz już minął) w imieniu rzesz czytelników składam życzenia, oby rok 1977, kiedy osiągnęło Wydawnictwo setkę publikacji powtarzał się rokrocznie z nieustanną krzywą wzrostu.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Bibliografia publikacji Wydawnictwa Łódzkiego, Łódź 1982, str. 320.

Konflikty

...jak rozstrojony instrument

BOGDA MADEJ

Na początku tego reportażu był list. Starannie wypisany drukowanymi literami, przez kalkę, a więc wysłany do kilku adresatów. Na górze, po lewej stronie podaniowego arkusza w kratkę, tam, gdzie powinna być pieczątka, wypisano: „ZPO im. dr A. PRÓCHNIKA, Łódź, ul. PROMIŃSKIEGO 20, ZAKŁAD A". Pod listem podpis: Pracownicy Zakładu A.

Później były rozmowy. Z 20 pracownikami z kilkunastoletnim stażem pracy w „Próchniku". 10 osób miało staż przekraczający 20 lat. Z 4 mistrzami z zakładu A. Z członkami egzekutywy KZ PZPR. Z komisarzem wojskowym. Z kierownikiem zakładu A. I wreszcie z dyrektorem naczelnym ZPO im. dr A. Próchnika — Longinem Barskim.

Większość moich rozmówców o liście nie wiedziała. Wybierałam ich sama. Kilka osób zgłosiło się do mnie z własnej inicjatywy. Mam wszelkie podstawy, aby sądzić, że wśród nich byli autorzy listu. Dlaczego tak uważam? Bo tylko oni użyli w rozmowie takich sformułowań i sądów, jakie zawarte były w liście.

I jeszcze jedno wyjaśnienie. Nie lubimy w redakcji anonimów. Na ogół nie zajmujemy się nie podpisanymi listami. Czasem jednak robimy wyjątki. W szczególnych przypadkach. Ten uznaliśmy również za szczególny. Nim bowiem nadszedł do redakcji list, doszła nas wiadomość, że w „Próchniku" część załogi nie przyjęła wynagrodzenia. Sugerowało to sytuację konfliktową. A więc nie mieliśmy prawa wyrzucić listu do kosza. Tym bardziej, że zaczynał się słowami:

„ZWRACAMY SIĘ DO WAS Z PROŚBĄ O POMOC".

ZPO im. dr A. Próchnika są przedsiębiorstwem wielozakładowym. Zakład A mieści się właśnie przy ul. Promińskiego, w nowym efektownym budynku. Zakład B — to dawny Polboy — mieści się przy ul. Wólczańskiej. Do tego dochodzi zakład w Poddębicach i w Rawie Mazowieckiej. Swoje zainteresowanie skoncentrowałam tylko na zakładzie A, bowiem tam powstał konflikt. Tego właśnie konfliktu dotyczy pierwszy cytat z listu:

„RZĄDY DYKTATORA, KTÓRE PROWADZI NIE POZWALAJĄ ROZWINĄĆ SIĘ ŻADNEJ MYŚLI TWÓRCZEJ MŁODYCH WYKSZTAŁCONYCH, ZDOLNYCH LUDZI. STWARZA ATMOSFERĘ BARDZO NAPIĘTĄ, NERWOWĄ NA KAŻDYM KROKU. PODCZAS SPOTKAŃ Z ZAŁOGĄ I W POJEDYNCZYCH, INDYWIDUALNYCH ROZMOWACH SZYDZI, WYSZYDZA TYCH LUDZI I PODWAŻA IM AUTORYTET".

To o dyrektorze naczelnym przedsiębiorstwa — Longinie Barskim.

Ten konflikt wyrasta niejako z tradycji. Brzmi to może paradoksalnie, ale taka jest — niestety — prawda. Załoga zakładu A, choć zmieniła się przynajmniej w dwu trzecich — tak to zresztą sami oceniają — jest nosicielem tradycji starego „Próchnika". Piszą zresztą o tym w liście:

„NIE MOŻEMY DOPUŚCIĆ, ABY SŁAWA „PRÓCHNIKA", NA KTÓRĄ WSZYSCY PRACOWALIŚMY TYLE LAT, ZNIWECZONA BYŁA PRZEZ TAK NIEODPOWIEDZIALNEGO CZŁOWIEKA".

Zakład A ma swego kierownika, ale zakład mieści się przy zarządzie przedsiębiorstwa. Albo odwrotnie. Zarząd przedsiębiorstwa mieści się przy zakładzie A. Rzecz jednak nie w tym. Chodzi po prostu o to, że załoga zakładu A czuje się uprzywilejowana. Ma bezpośredni dostęp do dyrekcji zarządu i po części czuje się jej podporządkowana.

— *Dawno, kiedy jeszcze nie miałem pojęcia, że tu przyjdę* — mówi Longin Barski — *ludzie ze starego „Próchnika", ci którzy pracowali w starym zakładzie przy ul. Sienkiewicza zapracowali na markę firmy. Znanej nie tylko w Polsce.*

To prawda. Później powstawały kolejne zakłady: B — czyli Polboy, Poddębice, Rawa Mazowiecka.

— *Po wybudowaniu tego „pałacu"* — ciągnie Longin Barski — *stworzono monstrum w postaci zarządu. Zakład dostał „Sztandar Pracy" i niektórzy siedli na laurach. Gdyby dawny dyrektor, Jan Sokal, był tu jeszcze parę lat, nigdy by pewnie do tego nie dopuścił.*

Ale cóż, stało się.

Zmieniły się warunki, nie zmieniły się nawyki.

— *Od początku* — kontynuuje Longin Barski — *drażniło mnie to, że jest tu podwójne podporządkowanie. Ludzie, pamiętając stare czasy, mając stare nawyki, przychodzą z różnymi sprawami prosto do dyrekcji przedsiębiorstwa, a nie do kierownictwa zakładu. A jak już do mnie ktoś z czymś przyjdzie, notuję sobie sprawę i próbuję ją załatwić.*

I na tym tle zaczął narastać konflikt.

— *Bodaj w lipcu 1980 roku* — mówi Andrzej Chróścielewski, do niedawna kierownik zakładu A — *jako mąż zaufania związków zawodowych zorganizowałem, zgodnie z wolą załogi, spotkanie pracowników z dyrekcją. Okrzyczano mnie potem wichrzycielem. Dyrektor Barski zagroził mi zwolnieniem. Wstąpiłem do „Solidarności" i zostałem zastępcą przewodniczącego. Pracowałem w komisji wyborczej samorządu. Zostałem przewodniczącym samorządu. Kiedy w niedzielę 13 grudnia 1981 r. zjawiłem się w zakładzie, niektórzy dziwili się. Dowiedziałem się, że jestem wrogiem i zamierzałem wyprowadzić z fabryki dyrektora Barskiego i Komitet Zakładowy partii. Nigdy tego nie chciałem. Do partii wstąpiłem we wrześniu 1978 roku. Podczas studiów działałem w ZMS. Później prowadziłem szkolenie w partii. I nadal jestem lektorem. W marcu 1982 roku wystąpiłem z „Solidarności". Nigdy nie zapomniałem, że jestem członkiem partii. Krzywdzą mnie te zarzuty. Ale dyrektor Barski nie stwarzał warunków do właściwej współpracy. Na naradach, gdy chciałem zabrać głos, ogłaszał przerwę.*

Jak ten konflikt widzą pracownicy, z którymi rozmawiałam? Oto ich opinie:

— *Czujemy niezgodę w zarządzie. Dyrektor naczelny nie zgadza się nawet ze swoimi zastępcami, a my to widzimy.*

— *Chróścielewskiego rozliczono nie za pracę, a za to, że należał do „Solidarności" i tworzył samorząd.*

— *Albo zakład A podporządkować zarządowi przedsiębiorstwa, albo dać pełną samodzielność kierownikowi zakładu.*

— *Chróścielewskiego wybrała załoga, a dyrekcja mu nie pomogła.*

Spróbowałam poszukać opinii obiektywnych. Taką opinię znalazłam w raporcie w sprawie ZPO im. dr A. Próchnika opracowanym przez zespół powołany przez Wojewódzki Komitet Obrony w Łodzi, w drugiej połowie stycznia 1983 roku. Oto cytat z tego raportu:

„Przeprowadzone rozmowy potwierdziły, że dotychczasowa forma współdziałania kierownictwa zakładu A z zarządem przedsiębiorstwa stanowi element utrudniający współpracę i bywa przyczyną konfliktu."

Raport ten sugeruje ponadto, że ingerowanie członków zarządu w sprawy zakładu A wynika z tego, iż zarząd i zakład mieszczą się w jednym budynku. Jak również i to, że akceptacja Andrzeja Chróścielewskiego przez załogę wynika w głównej mierze z jego tolerancyjnego stosunku do załogi.

— *Andrzej Chróścielewski pracował również za mistrzów* — powiada Longin Barski. — *Obliczał za nich plan dzienny, a mistrzowie nawet nie wiedzieli, że powinni to robić. Chciałem pomóc Chróścielewskiemu, ale on po tę pomoc nie przychodził, mimo że go do tego zachęcałem.*

Jeszcze opinia komisarza wojskowego:

— *Zakład A ma małą samodzielność, stąd konflikt. Poza tym robotników denerwuje, że na 3 zatrudnionych w produkcji przypada tu 1 pracujący w biurze. To aż się prosi o zmianę.*

I jeszcze wątpliwości Andrzeja Chróścielewskiego:

— *Może ja się do kierowania nie nadaję?* — powiedział mi. — *Będę musiał chyba odejść z „Próchnika".*

I złożył w końcu rezygnację. Odszedł za porozumieniem stron. Serdecznie żegnany przez załogę. Były łzy i kwiaty. Ale czy jego odejście rozwiąże sprawę i rozładuje konflikt?

Moja wątpliwość bierze się jednak nie z sugestii zawartej w liście, iż dyrektor L. Barski przepojony jest niechęcią do młodych i zdolnych inżynierów. Oto odpowiedni cytat:

„MŁODZI INŻYNIEROWIE, KTÓRZY STAWIALI TU PO STUDIACH PIERWSZE KROKI, WYKAZYWALI SIĘ OGROMNYMI OSIĄGNIĘCIAMI I OBDARZENI BYLI ZAUFANIEM ZAŁOGI, CHCĄC BYĆ DALEJ NORMALNYMI LUDŹMI MUSIELI ODEJŚĆ Z WIELKĄ KRZYWDĄ DLA ZAKŁADU. NALEŻĄ DO NICH MIĘDZY INNYMI: OB. PAWEŁ T., ZDZISŁAWA K., HENRYK O.".

Okazało się bowiem, iż Zdzisława K. pracowała w „Próchniku" przeszło 20 lat. Trudno więc ją uznać za młodego inżyniera. Również Henryk O. nie należy do młodych. Ma 30-letni staż pracy. Nikt jednak nie ukrywa, że odeszli na skutek konfliktów z dyrektorem.

— *Boli fachowca* — powiedział Henryk O. — *który przepracował w fabryce 30 lat i nagle dowiaduje się, że na niczym się nie zna. Odszedłem z „Próchnika", bo miałem zawał. Ale miałem również konflikty z dyrektorem. Jest on apodyktyczny. Przyszedł do przedsiębiorstwa z opinią, że nie najlepiej układa swoje stosunki z podwładnymi.*

Paweł T. uznał czas pracy w „Próchniku" za rozdział zamknięty, do którego nie chciałby wracać.

O Zdzisławie K. mówią w „Próchniku", że była dobrą socjalną przez wiele lat. Za Barskiego przez dwa lata wszystko było źle. Kiedy odchodziła nikt jej nie pożegnał nawet, podobnie, jak i Pawła T. Dopiero Andrzeja Chróścielewskiego oficjalnie pożegnano. O pożegnaniu przez załogę już pisałam.

I jeśli nawet zarzut, że dyrektor Longin Barski nie lubi młodych, zdolnych ludzi w pełni się nie potwierdza — bo nie tylko o młodych tu przecież chodzi — to wszakże pozostaje kwestia konfliktów w stosunkach między ludźmi. A przede wszystkim między kierownictwem przedsiębiorstwa i kierownikiem zakładu A oraz jego załogą. Sprawa jest dość złożona. Przypomnę tylko, że dyrektor przedsiębiorstwa jest na miejscu, cały czas na oczach załogi zakładu A. To musi rodzić konflikty, bowiem załoga zakładu A uważa, iż dyrektor przedsiębiorstwa jest ich bezpośrednim zwierzchnikiem i dlatego załoga często pomija swoje bezpośrednie kierownictwo. Tymczasem jest on dyrektorem całego przedsiębiorstwa. A to poważna różnica. Wielu pracowników zakładu A, pamiętających dawne czasy, zwraca się jednak bezpośrednio do dyrektora przedsiębiorstwa ze sprawami, które powinni załatwić inni.

Oto kolejny cytat z listu:

„PRZYTOCZYMY PEWIEN PRZYKŁAD. PEWNEGO DNIA DYR. BARSKI SZEDŁ PRZEZ SALĘ, KIEDY PODESZŁY DO NIEGO 3 SZWACZKI W CELU ZASIĘGNIĘCIA PEWNEJ INFORMACJI, ZAKRZYKNĄŁ JAK TYRAN: „CO, WY CHCECIE MNIE ATAKOWAĆ? — DO PRACY". KOBIETY ODESZŁY PEŁNE ŻALU I NIECHĘCI. I TAK JEST CIĄGLE. CZY TAK POWINNA WYGLĄDAĆ ROZMOWA DYREKTORA Z ZAŁOGĄ?"

Czy był to może przypadek odosobniony? Co o tym sądzą pracownicy, z którymi rozmawiałam?

— *Kiedy szwaczka zapytała dyrektora, dlaczego tak mało zarabia, usłyszała w odpowiedzi, że jak się jej nie podoba, to może się zwolnić.*

— *Kiedy z dyrektorem próbuje się mówić o pieniądzach, odsyła do mistrza.*

— *Dyrekcja nie interesuje się tym, jak się nam pracuje w ciągu miesiąca.*

— *To, że mało zarabiamy, to jest wina dyrekcji a nie kierownictwa zakładu.*

— *Najtrudniejsze zamówienia lokuje się u nas, a nie w innych zakładach.*

— *My wiemy, co to jest dyscyplina, nikt nie przychodzi do fabryki, aby siedzieć, ale żeby pracować.*

— *Dyrektorzy przychodzą na sale tylko po to, aby zobaczyć, czy my się przypadkiem wcześniej nie ubieramy. Jak są przestoje, to się tym nikt nie interesuje.*

Inaczej sprawy te widzą w Komitecie Zakładowym PZPR. Mówi I sekretarz, Wiesław Ziętkiewicz:

— *Kiedy szef jest wymagający, to nie jest kochany. Dyrektor Barski nie toleruje bumelanctwa, obiboków. Ciągle to wytyka. Ale ludzie nie widzą, co zrobił dla załogi. Krytykuje się go od samego początku, gdy tylko tu przyszedł.*

Ryszard Dawidowicz:

— *Stosunki międzyludzkie są złe. Komitet Zakładowy zna grupę ludzi, której zależy na rozrabianiu. Wybrano samorząd, który miał wyprowadzić z zakładu dyrektora Barskiego i Komitet Zakładowy partii. Skutki działalności ekstremy byłej „Solidarności" odczuwamy do dziś.*

Wiesław Ziętkiewicz:

— *W zakładzie zaczęto wymagać dyscypliny, a to się nie podoba.*

Nieco inaczej widzi te sprawy komisarz wojskowy:

— *Obiektywnie dyrektor Barski w sprawach stosunków międzyludzkich jest słabszy niż w sprawach ekonomicznych. Wszelkiego rodzaju naciski na zwiększenie dyscypliny przyjmowane są z oporami. Nie spełniają należycie swojej roli mistrzowie.*

A co o tym sądzi dyrektor?

— *Czy ja odpowiadam ludziom, aby szli z wszystkim do mistrza?* — zastanawia się Longin Barski. — *Nie. Tak nie odpowiadam. Sam pytam o te sprawy mistrzów. Ale pytam też ludzi, czy mówili o tym mistrzom. Tylko, że ludzie są nieufni. Ta nieufność narastała latami. Ludzie nie mówili sobie prawdy. To się musi zmienić, ale na to też trzeba czasu. Jeśli ja wskazuję, że między kierownikiem a pracownikiem jest mistrz, to nie bez powodu. Bo przemysł tylko wtedy stanie na nogi, gdy mistrz będzie należycie wypełniał swą rolę. A to jeszcze przed nami.*

Jak oceniam mój kontakt z załogą zakładu A? Jest on kilkakrotnie większy niż z pracownikami innych zakładów.

— To może właśnie źle?

— *Może. Bo wszystko, czego kadra kierownicza w zakładzie A nie dopilnuje, łatwiej zrzucić na dyrekcję przedsiębiorstwa. I mam na to przykłady.*

— Ta dyrekcja jest na miejscu.

— *A mimo to załoga zakładu nie wie, co dla niej robię. Wystąpiłem na przykład do ministerstwa o pieniądze z nadzwyczajnego funduszu dla dwóch pracowników i nikt o tym nie wie. I może to nawet dobrze. Dyrektor nie może pracować tylko po to, żeby załoga go kochała, żeby go poklepywano po ramieniu. Myślę, że wiele nieporozumień wyjaśni się podczas spotkania z delegatami do samorządu.*

I jeszcze wiosek z raportu sporządzonego przez zespół powołany przez WKO:

„Przeanalizowania i usprawnienia wymaga system kontaktów kierownictwa przedsiębiorstwa z załogą w kierunku zapewnienia lepszej możliwości przekazywania wniosków i postulatów przez załogę, wyjaśniania problemów nurtujących załogę i jasnego, komunikatywnego przekazywania dyspozycji kierownictwa zakładu."

Słuchając tych wypowiedzi, zastanawiałam się nad tym, czy rzeczywiście dyrektor przedsiębiorstwa musi ingerować w sprawy zakładu A. Bo co wówczas mają robić mistrzowie i kierownik? Przykładem, do czego może prowadzić zapominanie o kompetencjach średniej kadry technicznej, jest kolejny cytat z listu:

„OSTATNIA SPRAWA NIEPODJĘCIA PIENIĘDZY PRZEZ CZĘŚĆ ZAŁOGI. SPRAWA TA NIE POWINNA WYJŚĆ ZA NASZE MURY, ALE DYR. BARSKI NADAŁ JEJ OGROMNEGO ROZGŁOSU UWAŻAJĄC, ŻE TYM UTWIERDZI „SWÓJ STOŁEK."

Zdarzyło się to 14 stycznia 1983 roku. 155 osób nie podjęło wypłaty. Uznało, że są za niskie. Niższe płace w styczniu wyniknęły z trudnej produkcji z grudnia 1982 roku oraz z potrąceń różnych świadczeń. Zdarzył się nawet taki przypadek, że jedna z pracownic otrzymała zero złotych. Inaczej — nie otrzymała ani grosza. Co zdaniem Państwowej Inspekcji Pracy nie powinno się zdarzyć, gdyż jest to poważne naruszenie wszelkich obowiązujących przepisów. Trzeba jednak powiedzieć, że wśród tych, którzy nie pobrali pieniędzy były i takie osoby, które zarobiły po 10 tysięcy złotych.

Przeprowadzono rozmowy z tymi, którzy nie wzięli wypłaty. W konsekwencji tych rozmów do domu poszły tylko 72 osoby bez pieniędzy. Rozmawiano z nimi następnie nawet w domu. W rezultacie pieniądze wzięli wszyscy, a 8 osobom podwyższono zarobki. Ale problem pozostał. Ludzie od dawna skarżyli się na niskie płace i Państwowa Inspekcja Pracy potwierdziła, że zarobki w „Próchniku" są niskie. Na przykład w grudniu 1982 roku średni zarobek w całym przedsiębiorstwie wyniósł 8 300 zł. Natomiast w Poddębicach w sierpniu 1982 wynosił 7 tysięcy zł, a w lipcu 1982 roku — 5 100 zł.

Mało tego. Państwowa Inspekcja Pracy ustaliła, że w finansach w „Próchniku" panuje spory bałagan. Na przykład pracownicy zakładu w Poddębicach, Lucynie N., nie dopłacono do odprawy emerytalnej 3281 zł, a Stanisławie O. — 2 824 zł. Andrzejowi T., również z Poddębic, przy odprawie wojskowej nie dopłacono 1449 zł. Hannie O. — pracownicy zarządu przedsiębiorstwa w Łodzi — nie dopłacono za urlop 1 627 zł. W innym przypadku odprawa pośmiertna była o 4 241 zł mniejsza niż się należało. Są to tylko wyniki kontroli wyrywkowej. Na jej podstawie Państwowa Inspekcja Pracy nakazała przeprowadzenie szczegółowej kontroli wypłat za ostatnie trzy lata. Zwrócono kierownictwu przedsiębiorstwa uwagę, że jedna trzecia każdej wypłaty jest wolna od potrąceń, a więc nie może się zdarzyć taki przypadek, aby pracownik nie otrzymał ani grosza.

Czy gdyby sprawa z 14 stycznia 1983 roku nie wyszła za mury „Próchnika", to zajęłaby się nią Państwowa Inspekcja Pracy? Wątpię. Dlaczego więc autorzy listu robią z tego zarzut przeciwko dyrektorowi L. Barskiemu? Jego obowiązkiem było poinformować o tym władze zwierzchnie, tak państwowe, jak i polityczne. Przedsiębiorstwo nie stanowi przecież wyizolowanej wyspy, podlega różnym wpływom i zarówno kierownictwo, jak i załoga ponosi określoną odpowiedzialność za swoje czyny i decyzje. Sądzę, że również dyrektor, który by miał w głębokiej pogardzie *„swój stołek"* zrobiłby podobnie. Takie są reguły gry i nie można z tego powodu robić nikomu zarzutu.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w ZPO im. dr A. Próchnika jest wiele spraw do uporządkowania. Sądzę, że pomocnym w ich rozwiązaniu będzie samorząd, a także związek zawodowy, jeśli wreszcie powstanie. Jest symptomatyczne, że do tej pory związek taki nie powstał. Rozumiem nieufność i zastrzeżenia do nowego związku zawodowego, ale istnieje przecież obiektywna potrzeba jego powstania. I to właśnie w „Próchniku". Konfliktowa sytuacja wyraźnie za tym przemawia, choć jednocześnie utrudnia podjęcie takiej inicjatywy.

Wielu pracowników „Próchnika" z sentymentem i żalem wspomina czasy, kiedy przedsiębiorstwem kierował nieoceniony Jan Sokal. Te czasy zostały wpisane w tradycję zakładów, i to pięknie, że tak ludzie o nich pamiętają. Tylko, niestety, tradycja nie może dominować nad rzeczywistością dzisiejszego dnia. Wydaje mi się, że tej prostej prawdy część załogi albo nie rozumie, albo zrozumieć nie chce.

Dziś czasy są inne. Niewiele w nich miejsca na sentymenty. Reforma zakłada nowe reguły ekonomiczne. Przedsiębiorstwo ma służyć zaspokajaniu potrzeb społecznych i temu celowi muszą być podporządkowane wszelkie działania. Nie wyklucza to poprawnych, a nawet dobrych stosunków między załogą a kierownictwem. Przeciwnie. Dla spełnienia swej podstawowej roli przedsiębiorstwo musi być oparte na prawidłowych stosunkach wewnętrznych, na zrozumieniu potrzeb pracowników przez kierownictwo. Ale i odwrotnie. Pracownicy muszą zrozumieć zobowiązania i odpowiedzialność społeczną i zawodową dyrektora. Rezygnacja z własnych ambicji jest przykra, ale często konieczna.

W wypowiedziach pracowników z „Próchnika" uderzyło mnie jeszcze jedno: „u nas, na górze" i „u nich, tam, na dole". Zdaję sobie sprawę, że to, co powiem, zabrzmi niemal sloganowo. Ale póki pracownicy nie będą mówili, po prostu, „u nas" — atmosfera w „Próchniku" się nie poprawi.

I nikt z zewnątrz nie może im w tej sprawie pomóc.

■

Zboże to nie tylko chleb

RYSZAD BINKOWSKI

Kiedy po Sierpniu opadła barwna kurtyna radosnej propagandy, do świadomości społecznej dotarł fakt, iż ubieraliśmy się, jeździliśmy autami, bawiliśmy się, a przede wszystkim jedliśmy — na kredyt. Okazało się, że import 9 mln ton zbóż nie tylko okresowo łamie równowagę bilansu płatniczego kraju, ale z roku na rok pogłębia deficyt. Na fali odnowy, pośród euforii i powszechnego entuzjazmu, działacze „Solidarności Wiejskiej" poczęli szermować hasłem, że potrafimy się sami wyżywić. Pod warunkiem, że związek rolników zostanie zarejestrowany. Uznano to za demagogię i tani chwyt propagandowy. No, bo rzecz jasna, że z chwilą rejestracji nie mogło nagle przybyć żywności. Cudów nie ma. Tym niemniej hasło nie traci na aktualności. Możemy osiągnąć samowystarczalność zbożową i paszową. Ale na to trzeba czasu, mniej więcej około 10 lat. O ile, rzecz jasna, zostanie spełnionych kilka istotnych warunków.

W Polsce 53,6 proc. zasiewów stanowią zboża, podczas gdy w bogatszych krajach areał zbóż przekracza 60 proc. powierzchni upraw. Jednakże w sytuacji, gdy na statystycznego Polaka przypada 47 arów i gdy ziemi wciąż ubywa, trudno mówić o znacznym zwiększeniu powierzchni zasiewów. Gdyby jednak udało się podnieść wysokość plonów 4 zbóż tylko do 35 q z ha, to z 7,5 mln ha można by zebrać 26 mln ton zbóż. Wystarczyłoby dokupić 2,5 mln ton koncentratów białkowych i byłoby już nieźle.

Ale rzecz w tym, że żywność, w tym zboża i pasze, stała się bronią strategiczną i polityczną, nie wolno więc uzależniać się od dostaw z Zachodu. Na cele konsumpcyjne ludności potrzebujemy zaledwie 5 mln ton zboża, ale żeby utrzymać na odpowiednim poziomie spożycie mięsa i stać się jednocześnie samowystarczalnym, trzeba zebrać w kraju około 30 mln ton zbóż.

Gdzie więc szukać rezerw? **Przede wszystkim w melioracji.** Jeden hektar zmeliorowanej ziemi daje średnio wzrost plonów o 5 kwintali. Melioracja 3 mln ha najbardziej zaniedbanych gruntów dałaby więc 1,5 mln ton zbóż więcej.

W porównaniu z gospodarką państwową i uspołecznioną, chłopi używali stosunkowo mało nawozów sztucznych. **A każdy dodatkowy kilogram NPK** (azot, fosfor, potas) daje 5 kg zboża więcej. Gdyby więc zwiększyć dawkę nawozów o 100 kg na hektar, mielibyśmy pół tony zboża więcej. A 5 mln ha dałoby dodatkowo 2,5 mln ton zboża. Oczywiście wraz z tymi zabiegami musiałoby pójść masowe wapnowanie i zasilanie gleb w magnez.

Rezerwa tkwi także we właściwej technologii żywienia trzody. W latach siedemdziesiątych nastawiliśmy się na **technologię zbożochłonną.** Nastąpiła dysproporcja między produkcją roślinną i zwierzęcą. Po prostu siano mało zboża, a hodowano dużo świń, które zjadały paszę kupowaną za dolary. Budowano w tym celu wielkie fermy. I teraz nie obniży się zbożochłonności bez likwidacji części ferm opartych wyłącznie o pasze treściwe. Smutnym tego przykładem są pozbawione ziemi, a więc naturalnych, własnych zasobów paszowych, prywatne i państwowe brojlernie, z których prawie trzy czwarte stoi w wyniku amerykańskich restrykcji.

Więcej zboża, to także zastępowanie pasz treściwych w żywieniu trzody sianem, suszem kiszonkami z roślin wysokowydajnych: kukurydzy, buraków, dyni pastewnej. Poza tym byłoby dobrze, gdyby na nasze pola wróciły wysokobiałkowe rośliny strączkowe, których domieszka do śrut pozwala zmniejszać ilość zużytego zboża na produkcję 1 kg mięsa. Niestety, w ostatnim czasie doszło u nas do sytuacji, że świnie karmi się „surowym" ziarnem, pod postacią śruty. Jest to zwyczajne marnotrawstwo, bo pasze treściwe, wzbogacone w odpowiednie składniki, są w hodowli tańsze i bardziej opłacalne. Z jednego metra zboża uzyskuje się półtora metra pasz przemysłowych, które dają wyższe i szybsze przyrosty żywca.

Jak widać z tych przykładów, sprawa samowystarczalności i tego, że możemy wyżywić się sami, nie jest wcale mitem. **Ale na to trzeba cierpliwości, czasu i przestawienia wielu gałęzi przemysłu dla potrzeb rolnictwa.** Tymczasem rzeczywistość nie jest radosna. Dziś, gdy brakuje wielu maszyn, trudno np. zachęcić rolników do zastępowania zboża w karmieniu zwierząt roślinami okopowymi, gdyż pielęgnacja i zbiór okopowych są ogromnie pracochłonne, a usługi w SKR drogie.

W 1981 roku zebrano w kraju **20 mln ton zbóż,** skupiono zaledwie 1800 tys. ton. Ale wtedy jeszcze rolnik otrzymywał 250 kg pasz za odstawionego tucznika, później jednak zmniejszono przydział do 60 kg. Zabrakło gotówki na import, stanęły fermy kurze. Widmo głodu i sankcje gospodarcze skłoniły władze do ogłoszenia pożyczki zbożowej, ale ta okazała się niewypałem. Wybrano jednak mniejsze zło, w miejsce nie przemyślanych podszeptów o wprowadzeniu obowiązkowych dostaw.

Zboże stało się najważniejsze, tylko za nie można było otrzymać pasze. Hodowla zaczęła się chwiać. Był taki okres, że kontraktację zbóż zniesiono, podnosząc znacznie ceny skupu. A potem kontraktacja znów zmartwychwstała. Sprzedaż wiązana, brak stabilności w zamiennikach na zboże i w cenach sprawiły, że choć w 1982 roku zebrano **21 mln ton zbóż,** do dziś skupiono około 2900 tys. ton. Do planowanych 5,5 mln ton jeszcze daleko...

Dlaczego tak się stało? Otóż w 1982 roku rolnicy zakontraktowali 1700 tys. ton zboża, po 1440 zł za kwintal, licząc na jakieś premie, których jednak nie było. Tymczasem na targowiskach **cena zbóż wzrosła trzykrotnie.** Targowisko stało się konkurencją dla punktów skupu. Ale na targowiska nie wtargnęli sami chłopi, lecz różnego rodzaju handlarze i spekulanci. To, że poza kontraktacją udało się skupić prawie 1200 tys. ton należy zawdzięczać oferowanym przez państwo 60 kg pasz lub 100 kg węgla za każdy kwintal sprzedanego zboża. Ale tylko kontraktujący mogli otrzymać za kwintal zboża 24 kg nawozów. Pozostali rolnicy, chociaż sprzedali zboże, muszą szukać nawozów na wolnym rynku. Nie dziwmy się więc, że w magazynach leżą stosy worków z nawozem. Nie dość, że nawóz jest drogi, to jeszcze czeka na kontraktujących. Nie dziwmy się też, że w magazynach zebrały się spore zapasy pasz treściwych. Otóż część sprzedających zboże wzięła trochę pasz, część węgiel, a inni nie brali wcale, bo nie są zainteresowani hodowlą. A ponieważ przygotowano paszę na wymianę na skup 5,5 mln ton zbóż, więc pasza leży.

Dopiero gdy w grudniu 1982 roku punkty skupu zaczęły pękać w szwach, gdy na rzeź poszły maciory i krowy, zdecydowano się na spóźnione otwarcie parasola, przydzielając rolnikom 40 kg koncentratów za sprzedanego tucznika i 15 kg pasz za 100 l mleka. W porównaniu z 250 kg pasz za tucznika kiedyś, jest to mało. Dlatego też rolnicy odstawiają mało zboża. Mówią: „Jeśli oddam zboże, będę musiał zamknąć chlewnię na kłódkę". Chłopi nie sprzedają zboża, bo chcą przeciwdziałać spadkowi produkcji żywca. Czy za to należy ich winić?

Wydaje się, że w obecnej sytuacji konieczna staje się zmiana relacji cen skupu płodów rolnych na korzyść zbóż. Bo chłop potrafi liczyć. Z ołówkiem w ręku wykaże, iż po zbiorze 25 kwintali zboża z hektara, po 1440 zł za kwintal, zostaje mu w kieszeni 17.500 zł. Po orostu połowę wartości zbiorów pochłaniają wysokie koszty produkcji.

Obecnie cena wolnorynkowa zbóż na wschodzie Polski spadła nawet do 1800 zł, ale w południowej części kraju sięga jeszcze 4000 zł. Jednocześnie **niemal trzykrotnie wzrosły ceny prosiąt.** Tak więc przedwiośnie rokuje pewne nadzieje na zahamowanie spadku hodowli trzody. Ale na odbudowę przetrzebionego stada podstawowego (wybite maciory) trzeba będzie trochę poczekać.

Na targowiskach ceny ziemniaków i mięsa niewiele odbiegają już od cen państwowych. Np. za kilo żywca płaci się 140 zł. Według opinii rolników ceny skupu zboża należałoby ustalić według średniej wolnorynkowej, np. 2500 zł za kwintal. Jeden z chłopów wyraził się konkretnie: 100 kg zboża musi kosztować tyle, co 300 kg ziemniaków, a tucznik tyle co 500 kg zboża. Wtedy hodowla świń byłaby opłacalna, wzrosłoby pogłowie.

No tak, ale co będzie ze zbożem w tym roku? W 1982 roku lato było piękne i plony wysokie. Ale sucha jesień sprawiła, że nie wszędzie dało się uprawić spieczoną ziemię i obsiać ziarnem. Ponadto bardzo wysokie ceny na kwalifikowane ziarno siewne zniechęciły chłopów do kupna. W magazynach zebrały się zapasy wysokiej klasy materiału siewnego. Część zmielono na chleb, niestety. Chłopi siali swoje zboże, a złe ziarno rzucone w ziemię daje niższe plony. Ponadto nie wszędzie zasilono zasiewy odpowiednią dawką nawozów sztucznych. W sukurs przyszła natura. Wyjątkowo ciepła zima pozwoliła rozwijać się ozimin. One po prostu wciąż rosły, stały się bujne i krzaczaste, ale jednocześnie „rozhartowały" się. Najbardziej zagrożone są rzepaki i pszenice. Przy gwałtownym, silnym mrozie, bez śniegu, oziminy mogą wymarznąć. Obfite opady mokrego śniegu to groźba pleśni śniegowej. Miejmy nadzieję, że natura będzie nam sprzyjać.

Ostatnio **o ponad 500 zł została obniżona cena na ziarno siewne.** Należy się więc spodziewać, iż wynikną z tego obopólne korzyści. Rolnicy wymieniając swoje zboże na ziarno siewne uzupełnią w jakimś stopniu niedobory zbóż na paszę w magazynach państwowych, a jednocześnie na wiosnę obsieją odpowiedni areał dobrym ziarnem, niwelując braki, jakie powstały jesienią. Trzeba jednak pamiętać, że nawet najlepsze zboża jare są słabsze od ozimych. Trzeba więc dołożyć wszelkich starań i bez względu na koszty przygotować dobrze glebę, wapnować ją, póki czas, i odpowiednio wynawozić. A jeśli chcemy, żeby jeszcze teraz spłynęło trochę zboża do magazynów, należy wsłuchać się w głosy idące ze wsi i wyciągnąć z tego właściwe wnioski.

Osiągnięcie samowystarczalności, m. in. poprzez melioracje i wysokie nawożenie, będzie procesem długofalowym. Cenowe oddziaływanie na wzrost produkcji zbóż może dać efekty już po kilku latach. W sposób powolny, lecz trwały, będą postępować przemiany w strukturze agrarnej wsi. A gdy wzrośnie liczba dużych gospodarstw chłopskich, opłacalnym kierunkiem produkcji rolnej stanie się w nich uprawa zboża towarowego. W ten sposób chłopi wespra Państwowe Gospodarstwa Rolne, które już w pierwszym roku reformy zwiększyły areał zasiewów zbóż. Bo zboże to nie tylko chleb. Więcej zboża, to także więcej jaj, mleka, a przede wszystkim więcej mięsa.

■

Handlowanie powietrzem?

Dokończenie ze strony 1

niami aktualnego planu..."

Wróćmy jednak do giełdowej ekspozycji. W porównaniu z latami ubiegłymi mniej było na niej tandetnych i niepotrzebnych przedmiotów dekoracyjnych, więcej natomiast artykułów potrzebnych, o starannie opracowanych wzorach, dobrej jakości. Pojawiały się także wyroby nowe — m.in. z zakresu motoryzacji oraz przeznaczone dla rolnictwa. Wśród tych ostatnich — łuszczarka do kukurydzy, wyrywacz buraków, rozdrabniacz okopowych oraz szlagier... widły dwuzębne różnego typu. Przedstawiciele **„Agromy"**, ocenili te nowości bardzo pozytywnie.

Sprawą budzącą wiele emocji są zwykle ceny wyrobów rzemieślniczych. W tej dziedzinie nastąpiła, jak się wydaje, pewna stabilizacja. W dużej mierze wyeliminowane zostały różnice cen takich samych artykułów, pochodzących od różnych producentów. Nadal obserwuje się natomiast różnice między podobnymi towarami wyprodukowanymi przez rzemiosło i pozostałe sektory gospodarcze — zwłaszcza przemysł kluczowy. Fakt ten irytuje nie tylko klientów sklepów — krytykują zjawisko także handlowcy, choć na razie, wobec ciągle ogromnych braków zaopatrzeniowych, biorą niemal wszystko, bez obawy zapełnienia magazynów niechodliwym towarem. Różnice te widoczne są zwłaszcza na przykładzie towarów, zawierających część surowców czy materiałów z importu, co wynika z faktu postawienia na głowie przeliczeń dewizowych w naszej gospodarce, uczynienia z dolara dziwnej jednostki, funkcjonującej w sposób nie związany z gospodarką światową ani z czymkolwiek innym. Specjalnie powołane komisje w najbliższym czasie zajmą się dogłębną analizą kształtowania cen w rzemiośle, porównaniem ich z obowiązującymi w innych sektorach i być może już na następnych, jesiennych giełdach, wnioski wynikające z tych prac będą wyraźnie widoczne dla odbiorców towarów rzemieślniczych.

ŁADNE, ALE ZA MAŁO

Z ponad 12-miliardową ofertą w dziedzinie towarów rynkowych wystąpiła spółdzielczość pracy, którą reprezentowało 239 wystawców. Biorąc pod uwagę, że Centralny Związek Spółdzielczości Pracy zrzesza ponad 1500 spółdzielni — nie jest to liczba imponująca. Do Poznania przybyli przede wszystkim ci, którzy nie sprzedali swych wyrobów inną drogą — na giełdach wojewódzkich lub w bezpośrednich kontaktach z handlowcami, traktując udział w giełdach nie tylko jako okazję do zawarcia korzystnych umów, ale także do porównania wzornictwa, wymiany doświadczeń w dziedzinie organizacji produkcji itp. Ponieważ udział w giełdach był absolutnie dobrowolny — przyjazd ponad 200 wystawców świadczy o tym, że mimo kryzysu, ta forma spotkań handlowych jest jednak potrzebna.

Największą ofertę przedstawiły spółdzielnie w dziedzinie odzieżowej, następnie chemicznej i 1001 drobiazgów. Poważne zwiększenie nastąpiło — w porównaniu z jesienią roku ubiegłego — branży dziewiarskiej. Pokazane kolekcje poszczególnych spółdzielni — poza nielicznymi kolekcjami — prezentowały się doskonale od strony wzornictwa i jakości.

Mówi Zbigniew Baranowski, zastępca prezesa Krajowego Związku Spółdzielni Dziewiarskich: **„Z 59 zakładów, zrzeszonych w związku (w tym 47 specjalistycznych, dziewiarskich) na giełdy przyjechało 24. Oferują towar wartości 1,3 mld zł, w dziewięciuset wzorach. To nie są pełne możliwości zakładów. Część mocy produkcyjnych rezerwuje się na zamówienia eksportowe, a ponadto na obniżenie wielkości zawieranych umów wpływa niepewność surowcowa. Dziś nikt nie jest w stanie określić, jakie będzie zaopatrzenie. Jeśli dobre — na rynek trafi więcej wyrobów dziewiarskich, niż wynikałoby to z zawartych umów.**

Próbowano zmusić nas do centralnego rozdziału wyrobów — nie zgodziliśmy się. Handlowcy w kontaktach z nami mają więc pewne możliwości wyboru zakupionych ilości i wzorów, choć nie są one zbyt wielkie, większość produkcji przeznaczona jest bowiem dla stałych odbiorców poszczególnych spółdzielni. Dodatkowym ograniczeniem są duże naciski wielu wojewodów, starających się o zatrzymanie znacznej części masy towarowej w ramach województwa. Oczywiście nie cieszy to handlowców, przybyłych na giełdy. Ponadto niektórzy z nich uważają, że należałoby ograniczyć produkcję w ramach programu O-15. Dla tej grupy wiekowej zaopatrzenie jest dobre, w niektórych asortymentach większe nawet od potrzeb, podczas gdy braki w zaopatrzeniu w odzież, dziewiarstwo i obuwie osób dorosłych pogłębiają się..."

Interesującą ofertę przedstawiły spółdzielnie kaletnicze, choć i tu zapotrzebowanie rozminęło się nieco z podażą. Handlowcy poszukiwali przede wszystkim wyrobów ze skór naturalnych, które, mimo wysokiej ceny, są chętnie kupowane przez klientów, natomiast wśród giełdowych eksponatów przeważały torby, walizy itp. z tworzyw powlekanych. Wartość tej oferty wynosiła 780 mln zł. Jak twierdzi Józef Machnik, kierownik zespołu produkcji kaletniczej **Krajowego Zrzeszenia „Asko"** w tej właśnie branży należy w pierwszym rzędzie spodziewać się zrównoważenia podaży z popytem. Opinię tę potwierdza przegląd sklepów, w których już obecnie zaopatrzenie jest niezłe. Wkrótce więc spółdzielnie kaletnicze działać zaczną w warunkach zakładanej przez reformę konkurencyjności i starać się będą o zdobycie klienta poprzez podnoszenie jakości, obniżanie cen, wprowadzanie coraz to nowych wzorów.

CZY ZASYPIE NAS PROSZEK!

Niewiele miejsca zajmowały na wiosennych giełdach propozycje przemysłu kluczowego. Zaoferowano do sprzedaży niewielkie ilości odzieży — 11,5 mln sztuk ubrań i ubiorów — oraz wyroby chemiczne: kosmetyki i artykuły gospodarstwa domowego. I tu przynajmniej jeden asortyment występował w pełnej obfitości — proszek do prania. Wszystkie rodzaje proszku można by nabywać w ilościach nieomal nieograniczonych, gdyby nie rozdzielniki. Jak twierdzą przedstawiciele zakładów — czas najwyższy znieść rozdzielnictwo proszków do prania od zaraz, a w najbliższym czasie podjąć taką samą decyzję w odniesieniu do mydeł. Już obecnie fabryki produkujące proszki mniej poszukiwane przez klientów — a więc i handlowców — miały trudności z ich sprzedażą.

Znacznie uboższa była oferta kosmetyków, choć i tu wystąpił towar, którego nie brak, a nawet można mówić o pewnym nadmiarze. Są to szampony, które występują na rynku w nie notowanej nigdy dotychczas obfitości ilościowej i asortymentowej. Niektóre firmy stosowały więc „sprzedaż wiązaną", zawierając umowy na sprzedaż kosmetyków z tymi handlowcami, którzy kupowali również pewne ilości szamponów. W pozostałych asortymentach kosmetycznych sytuacja nie jest tak dobra, choć dają się zauważyć znaczne różnice między producentami. Podczas gdy np. taki potentat w tej branży, jak **warszawska „Uroda"** dość niepewnie zapowiada wprowadzenie na rynek nowego **kremu „Popularnego"** produkowanego w oparciu o łatwiej dostępne krajowe surowce, jej konkurent, **krakowskie „Miraculum"** pokazuje, że i w kryzysie, przy ogromnych trudnościach zaopatrzeniowych, można produkować, dostarczając na rynek wyroby poszukiwane, zastępując te, w których jest dużo surowców z importu innymi, dobrej jakości, ale opartymi o surowce krajowe.

Na giełdach jesiennych zaprezentowano próbne serie kremów antyalergicznych i perfum w sztyfcie. Obecnie oba te wyroby były już przedmiotem normalnej kontraktacji. Perfum trafiło dotychczas do handlu około 1 mln opakowań, a ich gamę zapachów rozszerzono z 3 do 5.

Pokazano również sondażowe partie kolejnych nowości: męskiej wody **„Partner"** oraz damskiej — **„Aura"**. Z tą ostatnią wiąże się pewna ciekawostka — otóż receptura opracowana jest tak, że niektóre składniki zapachowe, w razie trudności z ich uzyskaniem, będzie można zastąpić innymi, akurat dostępnymi. W efekcie — poszczególne serie „Aury" mogą nieco różnić się nutą zapachową, ale za to łatwiej uda się utrzymać ciągłość produkcji, a tym samym i zaopatrzenie. Ponadto **„Miraculum"** zamierza wprowadzać na rynek mleczka i śmietanki kosmetyczne.

Program rozwoju produkcji jest zresztą szerszy. Do niektórych wyrobów potrzebny jest jednak minimalny „wsad dewizowy". Odpisem dewizowym zakład nie dysponuje, a nie udało się uzyskać przydziału dewiz — choć, jak wynikało z projektów, 1 dolar pozwoliłby na wyprodukowanie poszukiwanych wyrobów wartości 1 tysiąca zł. Konieczność oszczędzania dewiz jest sprawą oczywistą, ale czy przypadkiem w tym samym rekorcie nie wydano ich zbyt wiele na import mydeł i proszków do prania, zamiast przydzielić producentom, którzy gwarantują — co wynika z dotychczasowej praktyki — rzetelne wywiązanie się z podjętych jakościowych i ilościowych zobowiązań?

ROBOCZY POKAZ

Po raz pierwszy na tegorocznych giełdach zaprezentowały się kolektywne firmy polonijne. We wspólnym pawilonie pod egidą **„Inter-Polcomu"** wystąpiło 17 firm, ponadto kilka dysponowało własnymi, oddzielnymi stoiskami. Zważywszy, że obecnie w Polsce działa około 320 firm zagranicznych (która to nazwa wydaje się bardziej właściwa i powoli zastępuje poprzednią: przedsiębiorstwa polonijno-zagraniczne) zatrudniających łącznie ponad 10 tys. ludzi — jest to niewiele. Wynika to z faktu, że giełdy wiosenne potraktowane zostały w sposób roboczy. Przybyli na nie przede wszystkim przedstawiciele firm nowych, które muszą dopiero szukać odbiorców i nawiązywać handlowe kontakty oraz najstarszych i największych, które już w pewnym stopniu nasyciły rynek swoimi wyrobami i obecnie starają się o nowych klientów. Ci, którzy do Poznania przybyli zaprezentowali wiele rzeczywiście potrzebnych i poszukiwanych wyrobów, nie tylko o charakterze rynkowym. Np. firma **Hanysan** zaoferowała pastę do mycia rąk, przydatną przede wszystkim w zakładach produkcyjnych, a także farby emulsyjne w 12 kolorach i **„Kalcit"** — farbę do malowania świeżych tynków. W przygotowaniu — do sprzedaży od kwietnia 1983 r. — kity budowlane w pistoletach wyciskowych (produkt do uszczelniania szpar w wielkiej płycie).

Wśród kilku przedsiębiorstw zagranicznych wytwarzających towary spożywcze — zwracał uwagę poznański **„Damarin"**, producent przypraw, sosów i soków owocowych. Wyroby tej firmy to m. in. sól pieprzowa i korzenna, sosy Orient, Wielkopolski i Husarski — na bazie pomidorów z różnymi dodatkami oraz wysokosłodzone soki z owoców krajowych. „Damarin" różnił się od pozostałych producentów podobnych wyrobów spożywczych niskimi cenami.

W sumie jednak ekspozycja firm zagranicznych — podobnie jak działo się to w przypadku rzemiosła — nie dawała pełnego obrazu ich możliwości. Pełną prezentację, o charakterze propagandowym, zapowiadają firmy zagraniczne na najbliższe Międzynarodowe Targi w Poznaniu.

TERESA JERZYKOWSKA ■

„TO BYŁ TAKI PRÓŻNIOK”

„A te Lipce ładna wioska...”

W Lipcach Reymontowskich koło Skierniewic, w niejednej piosence śpiewają o tym, że ich *„wioska to daleko słynie”, że „znają ją we świecie, a nie tylko w gminie”*. Śpiewają też o tym, że Reymont *„opisał ich familijom”, że „zagranica czyta, a i o nase Lipce cały świat się pyta”*.

W Lipcach każde dziecko wie, że ich *„wieś wiąże się z postacią Władysława Stanisława Reymonta, który tu żył i tworzył”*. Inni dodają, że *„Lipce znane są głównie z powieści i filmu „Chłopi”* i ze słynnego *„Wesela Boryny”*.

Zaraz, zaraz, a jak wyglądała ta wieś w powieści „Chłopi”?

„...jak okiem sięgnąć, leżały szare pola, niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów — misa, przez którą, jak srebrne przędziwo rozbłysłe w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łozin nadbrzeżnych. Wzbierała w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków i na dnie kotliny, dokoła stawu leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów — niby czerwono-żółta liszka zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splątane nieco przędziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin...”

Dziś na próżno by w Lipcach szukać tej rzeczki co to *„migotała się w skrętach”*. Staw jest i faktycznie w centrum wsi. Wprawdzie znacznie zmniejszony, ostatnio nawet *„wyrównany i wyślamowany”* jak śpiewa Bogusia Świderek, i od siebie dodam — bezskutecznie napełniany wodą z wodociągu wiejskiego, ale jest. I to niestety jest jedyne co można tu z powieści spotkać. Nie, przepraszam, jest i wesele Boryny, a niebawem będzie... No ale nie uprzedzajmy faktów.

NA TROPIE REYMONTA

W Lipcach znają „Chłopów”. Czytają chętnie nie tylko tę książkę Władysława Reymonta. Postać pisarza, który tu w latach 90 XIX w. żył i pracował, spowodowała, że zainteresowano się jego twórczością.

Odległe lata, kiedy ukazali się „Chłopi” (1904 r.) pamięta Maria Nowicka.

— Nie wszystkim się podobało, że tak ich opisał, że na światło dzienne powyciągał i złe i dobre. Mieli do niego dużo pretensji. Pamiętam, opowiadało mi to wielu ludzi, że poszła kompania do Częstochowy. Niejedna przyszła. Wyszedł zakonnik i wypytuje „a wy skąd, a wy?” „My z Lipców” — powiadają nasi. Na to zakonnik miał powiedzieć: „A to z tych Lipców, co tam takie Jagny są?”

Na to, na czoło gromady wystąpił Szychowski z Sapów, znałam go, i powiedział: „Takie Jagny to som wszyndzie, nie trza było o tym pisać!”

A dzisiaj już nie pamiętają mu tego. Są wdzięczni, że o nich napisał, że dzięki niemu świat cały może mówić o Lipcach. Tylko czekają, kiedy i gdzie pojadą...

Maria Nowicka — emerytowana nauczycielka (przy kobiecie trudno mówić o wieku), wieloletnia kierowniczka Zespołu Folklorystycznego im. Wł. Reymonta, potocznie nazywanego Zespołem „Wesele Boryny”, przybyła do Lipiec w 1928 roku. Oczarowana „Chłopami” i Lipcami, zaczęła oczywiście od poszukiwania śladów po Reymoncie i postaciach bohaterów jego epickiej powieści. Wszak w ludzkiej pamięci tkwiło jeszcze wiele szczegółów z czasów, kiedy Reymont tu żył i pracował. Tę motywację poszukiwań ludzi, którzy pisarza znali, wzmacniała jeszcze Literacka Nagroda Nobla, przyznana Reymontowi w 1924 r., właśnie za powieść „Chłopi”.

— Spotkałam dwóch Lipcoków, którzy z Reymontem pracowali na torach. Józef Jarzębski, stary już człowiek, niepiśmienny. „Chłopów” na pewno nie czytał, ale Reymonta znał, bo pracował z nim na torze. Kilkakrotnie go pytałam jakim był ten Reymont? „Aa, taki próżniok był. Co on tam, jego niewiele obchodziło, jak myśmy pracowali. Siadał na synie, papirek wzion i pisał, pisał. Interesowało go wszystko, musiał wszystko wiedzieć i zapisać”. A na wesela chodził? — pytałam. „A jakże, zapraszali go, a jeśli nie, to sam przychodził i podpatrywał”.

Potem znalazłam drugiego człowieka znającego Reymonta osobiście. Był nim Stanisław Kuchta. Młodszy był od tamtego, światlejszy, umiał czytać i „Chłopów” znał z gazety, która drukowała tę powieść w odcinkach. On pisarza nie nazwał już próżniokiem. Wyrażał się o nim z dużym uznaniem, ale też podkreślał, że to „był człowiek, którego wszystko interesowało. Notes czarny miał i każdą wolną chwilę siadał na synie i pisał. Ciągle się rozglądał i wypytywał o wszystko, aż nas to czasami denerwowało. Wielki obserwator był”. Tak mi powiedział Kuchta.

Na fundamentach dawnej karczmy, tej z czasów pobytu w Lipcach Reymonta, gdzie odbywały się wesela, stoi dziś dom Józefa Ogrodniczka, najstarszego, bo 76 lat liczącego członka zespołu.

— To była karczma mojego ojca — opowiadał mi Józef Ogrodniczek — i dziadka. Reymont przychodził do karczmy, tak mówił mi mój dziadek, i jak były wesela to spisywał, co się tam na nich działo. Ja też, jako dzieciak często podpatrywałem weselników. Jak były śluby, to było 10—15 par, a zawsze dawali w poniedziałki, wtorki i środy. Najpierw przyjeżdżali do karczmy, a najwięcej to ci z sąsiednich wiosek naszej parafii. Panią młodą sadzali w rogu, obok starszą druhnę. Niewiasty z „Dziewosłębem” (starostą) zamawiali w sklepie, bo to taniej, do jedzenia i do picia, siadali na ławkach przy stołach, popili sobie i szli do kościoła, do ślubu. A muzykanci zostawali w karczmie i przegrywali się, który głośniej i który dłużej...

W moich reporterskich wędrówkach interesowało mnie też, co aktualni mieszkańcy sądzą o realności bohaterów powieści. Najczęściej pytania pozostawały bez odpowiedzi, ale Józef Ogrodniczek jest przekonany, że faktycznie istnieli i Reymont opisał ich prawdziwą historię.

— Był Boryna i była Jagna. Ona mieszkała nad stawem, w ostatnim domku, przed którym odgrywaliśmy ten film dla telewizji. Nad księżym błotem był kiedyś dom Boryny. Tak mówił mój dziadek. Tylko, że ziemia poszła później na pomiar i podawali każdemu ziemię w innym kawałku...

— A więc był gospodarz o nazwisku Boryna?

— On dokładnie nazywał się Borys.

— A dziś nazwiska Boryny nie ma? Jakie są tu najpopularniejsze nazwiska? — pytam Marię Nowicką.

— Najwięcej jest, to można sprawdzić na przykładzie składu zespołu, Szychowskich, Kuchtów, Janczaków, Klepaczków, Koszewskich, Reczulskich i Zielińskich.

WESELNE TRADYCJE

Powróćmy do widowiska od 50 lat odtwarzanego przez zespół folklorystyczny w Lipcach.

— Wesele Boryny stało się już nieoficjalną nazwą zespołu — mówi etnograf Ewa Sroczyńska. *— Wiąże się to z pierwszym spektaklem, który zmieniał się przez 50 lat. Prowadząc tu badania etnograficzne przekonaliśmy się, że wiele elementów spektaklu wrosło do życia kulturowego” wsi.*

— Przyjeżdżając tu od lat odnoszę wrażenie, że widowisko „Wesele Boryny”, to nie tylko sprawa kilkunastu wytrwałych zapaleńców, ale autentyczne zaangażowanie całej wsi.

— Oczywiście.

— To dzieje się z pokolenia na pokolenie — włącza się do rozmowy Helena Szychowska, członek zespołu, działaczka kulturalno-społeczna GRN. *— Bo jeśli nawet ludzie nie są w zespole, to wiedzą, że to jest potrzebne. Każdy pomaga jak może...*

Znowu etnograf:

— Prowadziliśmy przed laty badania m. in. związane z motywacjami członków zespołu „Wesele Boryny”. Chodziło nam o to, żeby dowiedzieć się co jest głównym powodem, co jest przyczyną, że ludzie tak czynnie i licznie biorą udział w pracy zespołu. Oczywiście deklarowane motywacje wskazują na to, że ludzie chcą zatrzymać nieco pewne tradycje kultury ludowej, które na tym terenie były znane i kultywowane. M. in. tradycje wesela księżackiego. Dochodzi tu jeszcze jeden bardzo ważny moment — mit o Reymoncie. Jest to wieś, która niejako żyje z tego mitu reymontowskiego, myślę o kulturze. Tak więc ta tradycja widowiska weselnego zostaje wzmocniona poprzez „obecność” Reymonta, który wieś opisał i uczynił ją sławną. Przy czym nie w pełni zdają sobie jeszcze sprawę, że na tę sławę od 50 lat pracują już sami, kultywując widowisko weselne, co w amatorskim ruchu artystycznym jest swojego rodzaju ewenementem w skali kraju...

JAGNY SZYBKO ZNAJDUJĄ MĘŻÓW

Rozmawiam z młodzieżą. Co ich ciągnie do zespołu?

— Tańce i śpiew — mówi 16-letnia Lidka Szychowska (córka Heleny Szychowskiej).

— A może rola Jagny?

— Na pewno, ale nie to jest najważniejsze.

— Przypuszczam, że i ty chcesz kiedyś zagrać rolę Jagny?

— A któraż by z dziewcząt nie chciała.

— Czy dlatego, że Jagny szybko wychodzą za mąż?

Śmieje się...

— Tu jest jeszcze sympatyczna tradycja — uzupełnia etnograf Ewa Sroczyńska — *że w zespole występują całe rodziny. Oczywiście nie obchodzi się bez konfliktów. Mianowicie na przestrzeni 30 lat było 15 Jagien, bo dziewczyna grająca tę rolę musi być atrakcyjna zewnętrznie. Podoba się, ma wielu starających i bardzo szybko wychodzi za mąż. A potem, jeśli mąż w „Weselu” nie występuje, zabrania jej pracy w zespole. Może zazdrość tu decyduje?*

— Mój tam nie był zazdrosny — mówi Stefania Koszewska (gra Dominikową). *— Przecież ja miałam czwórkę dzieci, a np. w 1939 wyjeżdżaliśmy dużo. Z początku to on też brał udział, całe rodziny. Tak jest i dziś. Np. moja córka ma 28 lat i wnuczka też już trochę druhnę gra. To jest jakby nie było trzecie pokolenie. I moja siostra, jej wszystkie dzieciaki były w zespole, jedna nawet była Jagusią...*

ZACZĘŁO SIĘ NA ANTENIE

Ktoś kto wybiera się do Lipiec i wyobraża sobie, że ujrzy książkową lub filmową wieś, bardzo się rozczaruje. Zobaczy typową, murowaną, zamożną i niczym nie wyróżniającą się od tysiąca innych, wieś, gdzie co prawda kultywuje się tradycje, ale na zewnątrz tego nie widać.

We wrześniu 1982 r., na jubileuszu 50-lecia Zespołu Folklorystycznego im. Wł. Reymonta, do Lipiec przyjechali byli mieszkańcy wsi i jej przyjaciele. Wśród nich był reżyser serialu filmowego opartego na powieści „Chłopi” — Jan Rybkowski.

— Jak zmieniły się Lipce od czasu kiedy kręcił pan tu film — zapytałem w czasie jednej z relacji dla „Sygnałów porannych”.

— Strasznie! Nie ma nic z atmosfery tych dawnych Lipiec. Te betoniaki są straszne!

— Zgadzam się z panem. Przyznam, że mam pretensje do ludzi, którzy podjęli decyzję zezwalającą na rozebranie tej, jednej z ostatnich chat drewnianych, przed którą kręcił pan sceny z Jagną.

— To jest nieunikniony los tych starych chat. Te najbardziej malownicze były szczególnie zniszczone wewnątrz, najbrudniejsze i najgorsze do mieszkania. Niestety, to nie było już do utrzymania.

— Gdyby w porę wkroczył tu konserwator zabytków, to można było pogodzić potrzeby współczesnych mieszkańców wsi z zachowaniem zabytków budownictwa. Po prostu dając zezwolenie na budowę nowej kilkanaście metrów dalej, a starą chatę poddając konserwacji czy remontowi.

— Niewątpliwie tak. Ja jeszcze rozmawiałem z ludźmi, którzy twierdzili, że znali Reymonta. „O taki był próżniok — mówili. Myśmy robili, a on siedział na synie i pisał. A i często był gościem w karczmie”. I nic dziwnego, że wesele i sceny w karczmie tak dokładnie opisał.

Od kilku tygodni, coraz częściej mówi się, szczególnie w radiowych „Porannych Sygnałach” (w każdą sobotę w pr. II, po godz. 8,10), o inicjatywach, które być może przywrócą obraz dawnych Lipiec. Proponuje się więc organizację nad lipieckim stawem miniskansenu w postaci „zagrody Boryny”, a po wybudowaniu przedszkola, w dawnej szkole, a obecnym przedszkolu, utworzone będzie Muzeum Władysława Reymonta, jako filia Muzeum Okręgowego w Żyrardowie. Myśli się też o organizacji (co dwa lata) „Spotkań weselnych” — minifestiwalu zespołów folklorystycznych kultywujących obrzęd weselny, połączonego z tzw. warsztatami etnograficznymi” (konsultacja z folklorystami) i konkursem dla starostów i drużbów na przyśpiewki weselne. Całości propagandowo patronują właśnie „Poranne Sygnały”, wspierane przez „Głos Robotniczy”. Społeczniczy z Lipiec chcą m. in. skrzyknąć wszystkich byłych „Lipcoków” oraz przyjaciół wsi i powieści.

— Sama inicjatywa jest znakomita — powiedział mi Jan Rybkowski — *i uważam, że takie stowarzyszenia czy kluby są potrzebne. Myślę, że nie jest to tylko po to, by z Lipiec zrobić wieś — cel wypraw turystycznych. Trzeba uczynić wszystko by mieszkańcy tej wsi autentycznie kultywowali dawne obrzędy i zwyczaje. Macie rację, że chcecie uratować ostatnie relikty kultury materialnej. Niestety, ja nie wierzę ani w skanseny, ani w „Cepelie”, a w obiekty żyjące in situ.*

Ważne jest też zbieractwo i dokumentacja dźwiękowa, żeby zanotować jeszcze tych kilka opowiadań, wspomnień, opisów zwyczajów czy obrzędów, a także ich faktyczny, autentyczny przebieg. Wiem, że pan to robi. Słyszałem już kilka audycji, tu z Lipiec, dźwiękowych reportaży z tego, co ma jeszcze miejsce, nie tylko opisy i wspomnienia.

— To ostatni już dzwonek, aby animować tych ludzi do odtworzenia czegoś co odchodzi, czego młodzi już nie kultywują. Bo nie tylko o zanotowanie mi tu chodzi.

— To dobrze. Dobrze też, że pan uruchamia ludzką pamięć. Musi się pan śpieszyć. Podobnie musicie szybko działać w sprawie tej zagrody. Jeśli z tego co planujecie, uda się wam zrealizować chociaż połowę, to moje gratulacje. A klimat społecznego działania ma pan tu dobry. Tymi radiowymi relacjami na żywo z Lipiec, poderwaliście aktualnych mieszkańców wsi, a u Lipcoków, rozsianych po całym kraju wywołujecie refleksję, która niejednego pobudzi do działania na rzecz swojej rodzinnej wsi...

Mówi jeden z „Lipcoków”, Waldemar Winkiel, dziś sekretarz Naczelnego Komitetu ZSL.

— Przedwojenne Lipce to była zamknięta enklawa. Nikt nie pracował poza Lipcami, nikt się nie uczył, wszyscy byli na miejscu. A wieś, dzięki powieści była sławna. No i w związku z tym musiało być bogato, tzn. musiało tętnić życie. Stąd to widowisko „Wesele Boryny”, pierzawki, dożynki i inne imprezy, organizowane nie tylko w Lipcach, także w innych wsiach i to nie tylko dawnego powiatu skierniewickiego.

— A co pan sądzi o tych zamiarach związanych z organizacją muzeum, miniskansenu i „Spotkań weselnych”?

— Uważam, że Lipce stać na to, mimo że zaskoczyliście trochę władze województwa, a niektórzy urzędnicy Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego nie wróżą wam powodzenia. Tu na miejscu są ludzie, którzy to dawne jeszcze pamiętają, a w domowych zakamarkach, nieświadomi, posiadają zabytki, które wzbogacą zarówno „Zagrodę Boryny”, jak i Muzeum Reymonta.

Trzeba panu wiedzieć, bo pan nie jest „Lipcokiem”, że my pochodzący z tej wsi, jesteśmy z niej niesłychanie dumni, i na nas też możecie liczyć. Zapewne pan już zauważył, że gdziekolwiek jesteśmy, w kraju czy za granicą, jeśli powiemy, że pochodzimy z tej wsi opisanej w „Chłopach”, otwierają się serca. Jesteśmy zasypywani dziesiątkami pytań, czy taka wieś naprawdę istnieje i jak dziś wygląda, czy jest tam skansen? To dobrze, że na radiowej antenie padło hasło „Lipce leżą w Polsce!” To był strzał w dziesiątkę. Służę pomocą! Inni Lipczanie też!

LIPCE LEŻĄ W POLSCE

— Odbyło się już szereg spotkań, których uczestnicy chcą to hasło wcielać w czyn — mówi Tomasz Milewski, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury. *— Zapadły więc decyzje o podjęciu prac związanych z organizacją Muzeum Reymonta i „Zagrody Boryny” oraz minifestiwalu „Spotkania weselne”. Jest już decyzja o lokalizacji „Zagrody” — stanie nad stawem. Urząd Gminy może więc przystąpić już do wykupu działki. Muzeum Okręgowe w Żyrardowie, wspólnie z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków w Skierniewicach, przystąpiło do wytypowania obiektów, które mogą być przeniesione nad staw.*

— Na terenie samych Lipiec — mówi mgr Barbara Dzierżanowska, dyrektor Muzeum Okręgowego w Żyrardowie — *nie ma już obiektów starego budownictwa drewnianego. Są w sąsiednich wioskach gminy. Aktualnie badamy chaty, bo ich stan techniczny zmusza nas do zdobycia dwóch, aby po zakonserwowaniu elementów zmontować z nich jedną, w stylu epoki. Niezależnie od tego staramy się powiększyć zasoby istniejącej już od września Izby Regionalnej. Zbieramy informacje terenowe dotyczące nie tylko przedmiotów ruchomych kultury materialnej, ale także folkloru słownego i obrzędowości. Teren oceniamy jako ciekawy i żywy kulturowo, zarówno pod względem zachowanych zabytków, jak i zainteresowania naszymi wspólnymi inicjatywami.*

— Marzyła nam się właśnie zagroda Boryny — mówi Kazimiera Rottengruber — *z autentyczną chatą z czasów Reymota, żeby zebrać w niej pamiątki przekazane przez członków zespołu i dziś oddawane także przez innych ludzi. Ja sama, mimo że mam już nowy dom i wiele starocі zniszczyliśmy przy przeprowadzce, coś niecoś jeszcze znajdę i dam do tej chaty.*

— Ludzie dają chętnie — mówi Helena Szychowska. *— Wprawdzie są tacy, którzy przy okazji chcą zarobić, ale myślę, że kiedy zobaczą pierwsze elementy „Zagrody Boryny”, to szerzej otworzą szafy i kufry wianne, dokładniej przejrzą strychy i komory...*

W Lipcach w jednej ze starych piosenek weselnych (tych z widowiska) śpiewają:

A te Lipce ładna wioska
ino niedużo, niedużo.
W niej chłopaki jak lelijo,
dziołchy jak różo, jak różo.

dziś, nawet dzieci śpiewają,

Reymont nas opisał,
zagranica cyto,
a i o nase Lipce
cały świat się pyta.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI ■

Wiosna

Foto: M. Zajdler

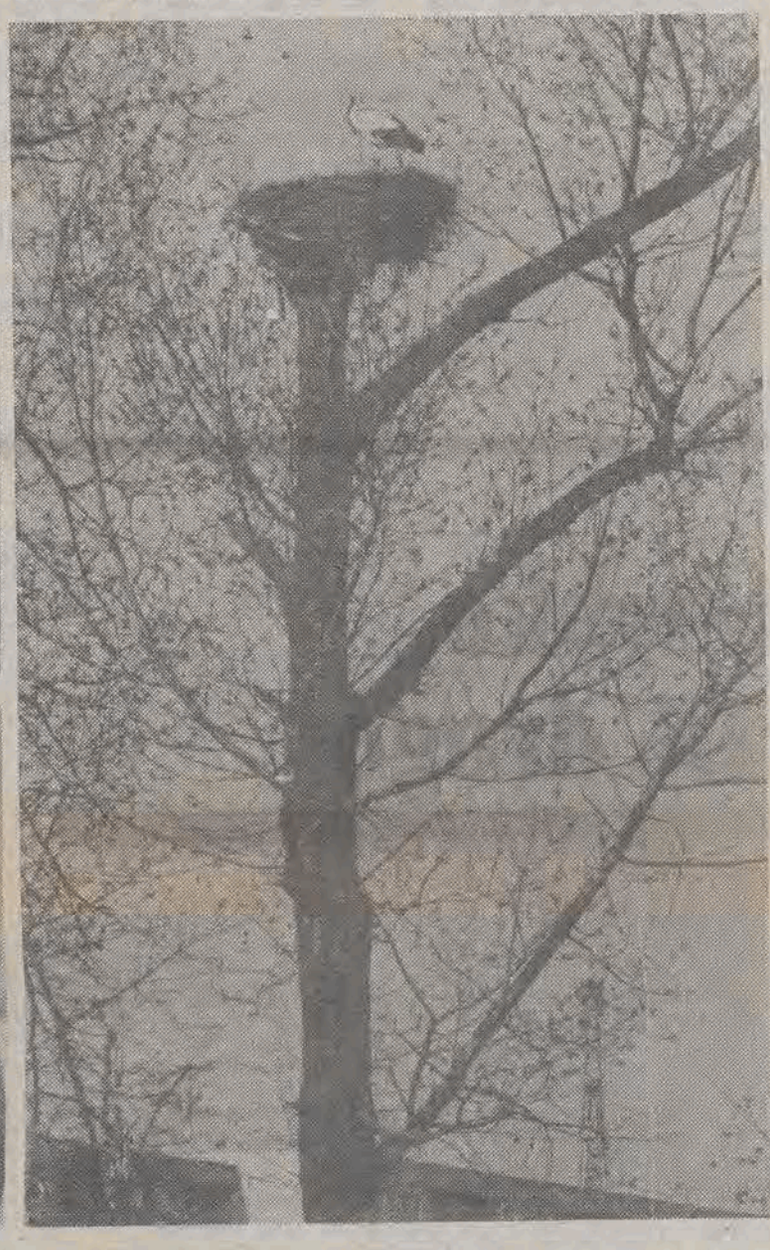

Szał...

Dokończenie ze strony 1

i głów!

Odgłos radości, szaliki, koszule, apaszki w górę. Trąbki i dzwoneczki.

— *Bardziej serc niż głów! Jeżeli osoby znajdujące się na tafli będą robić tak zwany „młyn", Perfect nie będzie już grał. Takie kiwanie się na boki zagraża bezpieczeństwu waszemu i sąsiadom! Prosimy o rozsądek!*

Wchodzą na estradę. Mówi solista:

— *Takiej publiki jak w Łodzi nie ma nigdzie. Pod tym względem Łódź mogłaby być Paryżem!!!*

Publiczność szaleje.

Z głośników wydobywają się setki watów. Znowu są z nimi. I już do końca.

W HALLU

kolejka po kanapki i pepsi. Pepsi po 38 zł, kanapki po dwadzieścia jeden. Idą jak woda. Obok stoisko z plakatami, płytami i znaczkami.

Plakaty „Perfectu" po trzysta, znaczki po stówie, single „Bang"-u po dwieście.

— Co, nie kupują? — pytam sprzedawcę.

— *Jak to nie kupują* — odpowiada zdziwiony.

— Noo, kolejki nie ma.

— *Teraz słuchają, tańczą i szaleją. Kupowali przed koncertem, będą kupować po.*

— To ile już poszło tych plakatów? Pięćdziesiąt, sto?

— *Kochany, tych „Perfektu" już z osiemset. Na razie.*

— I kto kupuje? Najmłodsi?

— *Wszyscy, nie ma reguły. Niektórzy biorą dla znajomych, którym nie udało się przyjść na koncert. Po trzy, cztery biorą.*

— Trzy „paczki" nie za drogo?

— *Jak kupują...*

Z toalety wychodzi czterech chłopaków, tylko w spodniach, nadzy do pasa. I apaszki pod szyją. Z gorąca czy dla szpanu? Jak z gorąca to po co te apaszki? W ogóle na koncercie istna rewia mody. Dziewczyny w rozmaitych kreacjach. Od spódniczek mini, prawie równo z tyleczkiem, poprzez długie do kolan koszule do wieczorowych sukni. W półbutach, kozakach, adidasach, tenisówkach.

Naszyjniki, szaliki, dzwoneczki przy szyi, dzwoneczki na przegubach rąk, wisiorki, sznurki i inne bajery. Do wyboru, do koloru.

Raz na jakiś czas zdarza się okazja. Od koncertu do koncertu. Wszystkie chwyty dozwolone. Nikt się nie będzie z nikogo nabijał. Jest koncert, szał, szpan i koniec.

Irek — lat 17:

— *Dlaczego przyszedłem? Przychodzę na wszystkie koncerty, jest okazja posłuchać muzyki, tak na żywo. No, atmosfera koncertu też przyciąga, rzecz jasna. W Łodzi jest najlepsza publiczność. Żywa, spontaniczna i w miarę spokojna. Byłem w innych miastach, ale u nas najlepiej. Wykonawcy zresztą mówią to samo. Chętnie do Łodzi przyjeżdżają, chociaż w Hali Sportowej akustyka nie najlepsza.*

Na płycie już nie tańczę, wyrosłem z tego. Zobacz, kto tam szaleje, same małolaty. Trzynaście, czternaście lat, nie więcej.

Franek — lat 17:

— *Za „Perfectem" nie przepadam. Przyszedłem z ciekawości, na ostatni w końcu ich występ. Co innego „Republika", „TSA". Chodzi o to, że można się wyżyć, właściwie nie mamy innych możliwości. Gdzie się mamy wykrzyczeć, wyskakać, pogwizdać? Można jeszcze na meczach. Ale nie każdy jest kibicem. Tutaj jest fajnie...*

Ewa — 23 lata:

— *Kto powiedział, że tańczą tylko „małolaty". Ja mam ponad dwadzieścia lat i też cały czas jestem na tafli. Dlaczego miałabym z tego wyrosnąć. Czuję się swobodnie i luźno — o to przecież chodzi. Ambitnej muzyki mogę sobie posłuchać z płyt w domu. Samotnie. Na koncercie raz na jakiś czas mam możliwość wyżycia się, zapomnienia o wszystkim co dzieje się codziennie. Chociaż przez półtorej godziny jestem obok i daleko. Za jedyne dwieście parę złotych...*

I jeszcze Beata — licealistka, lat 16:

— *Zamiast kupić sobie na przykład bluzkę, odkładam pieniądze na koncerty. Właściwie to dzisiaj jest jedyna rozrywka. Chodzę wyłącznie po to, żeby posłuchać muzyki, trochę potańczyć. Równie dobrze mogłabym cały koncert przesiedzieć... Fakt, na koncerty przychodzą różni i z różnych powodów. Jedni dla muzyki, inni dla szpanu, jeszcze inni, żeby się przed znajomymi pochwalić. Najwięcej chyba dla szpanu. Mają okazję ubrać się inaczej, pomalować albo rozebrać. Mają okazję pokrzyczeć, pogwizdać. Niektórych w ogóle muzyka nie interesuje, tylko atmosfera...*

Foto: Jacek Jakub Marczewski

NA PŁYCIE

szał. Zapach najrozmaitszych perfum, dym papierosowy, kolorowe światła, kolorowe ubrania i dużo, dużo watów tworzą swoistą atmosferę. W przedniej części tafli dwie dziewczyny składają i rozkładają biały transparent z czarnym napisem „Perfect". Z tyłu błyskają flesze fotoreporterów. Z boku ktoś kogoś gwałtownie złapał za klapy kurtki. Z tyłu kilka osób leży na rozłożonych śpiworach. Z prawej strony kilka osób wychodzi z sektorów i skacze przez bandę na taflę. Z lewej strony dwaj milicjanci legitymują chłopaka. W środku prowadzący punktówkę puszcza mocne światło na lewo i prawo.

Z estrady:

— *„Chcemy być sobą, chcemy być sobą jeszcze..."*

Z płyty:

— *„Chcemy być sobą, chcemy być sobą jeszcze..."*

Z estrady:

— *„Chcemy być sobą..."*

Płyta wtóruje. Sektory wtórują. Wtóruje Hala Sportowa. Kilkutysięczna publiczność.

I ręce w górę, w dół, w prawo, w lewo. Trąbka, dzwoneczki, transparenty, szaliki, koszule, wstążki, apaszki...

Z tyłu kilka par próbuje tańczyć wolno. Przytuleni do siebie są niejako osobno. Poza koncertową atmosferą. Poza koncertowym szałem. Wszystkie chwyty dozwolone.

Płyta drży, w uszach dudni. Duszno.

Przebojową „Autobiografię" śpiewają wszyscy, ostatni przebój „Nieme kino" też śpiewają wszyscy. A później wszyscy, jakby na umówiony znak, wydobywają z siebie potężne:

— *Aaaaaáaaaaa...!*

Koncert się skończył. „Perfect" schodzi. Jest wpół do dziesiątej.

Wszyscy opuszczają sektory i płytę. W hallu robi się tłoczno i gwarno. Na dziedzińcu, przy samolocie, robi się tłoczno i gwarno. W tramwajach i autobusach robi się tłoczno i gwarno. Przez kilkanaście minut.

Łącznie na dwa koncerty sprzedano czternaście tysięcy biletów...

JACEK BIŃKOWSKI

Szybko, ale drogo

Była to podobno najdłuższa łódzka kolejka. Zaczynała się na pierwszym piętrze w kamienicy przy Piotrkowskiej 56, kończyła zaś już na ulicy i to kilka domów dalej. Paręset osób — głównie młodych — przez wiele godzin cierpliwie stało najpierw pod gołym, niezbyt pogodnym niebem, potem w bramie, na schodach, aż wreszcie w korytarzu **Łódzkiego Klubu Jazzowego**, aby móc kupić nową płytę popularnego zespołu rockowego **„PERFECT"**.

Płyta ta na pierwszy rzut oka nie różni się niczym od innych płyt, tłoczonych w naszym kraju, jednakże już po chwili łatwo zauważyć, że nie wydała jej żadna ze znanych dotąd wytwórni płytowych. Opatrzona jest symbolem SV 001, nad którym na okładce widnieje oryginalny znak firmowy producenta — polonijnego przedsiębiorstwa **„SAVITOR"**.

W Łodzi koncertową płytę zespołu **„PERFECT"** można było kupić tylko w **Łódzkim Klubie Jazzowym**, którego kierownictwo, wietrząc dobry interes, szybko porozumiało się z wytwórcą w sprawie dystrybucji. W pierwszym rzucie sprowadzono 2 tys. czarnych krążków. Okładki odebrano wprost z drukarni akcydensowej przy ul. Żeromskiego i pracownicy ŁKJ sami pakowali w nie płyty. Wiezienie okładek do Warszawy, by potem już razem z zawartością i tak wróciły do łódzkich sklepów — a tak działo się całe lata — jest przecież nonsensem, z czego w ŁKJ doskonale zdawano sobie sprawę.

Gdy w parę dni później, niedługo przed świętami Bożego Narodzenia dotarła na Piotrkowską 56 druga partia — tym razem 3 tys. sztuk — ustawieni znów w monstrualną kolejkę fani przekonali się, że oto **wydawca podniósł cenę płyty z 280 zł na 330.** Czy ich to zraziło, oburzyło? Być może, nie na tyle jednak, aby zrezygnować z zakupu upragnionych nagrań. Podobnie jak poprzednio wszystkie płyty, mimo że droższe, zostały sprzedane w krótkim czasie i jeszcze dużo było takich, którzy odeszli z przysłowiowym kwitkiem. Cóż, towar był świeży, w niezłym gatunku, atrakcyjny i poszukiwany, jako że pierwsza duża płyta zespołu **„PERFECT"**, wydana przez **„POLSKIE NAGRANIA"**, szybko zniknęła z księgarni, osiągając od razu na tzw. czarnym rynku dużo wyższe od oficjalnych ceny. Co tu dużo mówić — debiutujący **„SAVITOR"** strzelił w dziesiątkę.

W 1982 roku kilka przedsiębiorstw nie uspołecznionych uzyskało uprawnienia do produkcji płyt i kaset magnetofonowych. Na razie ich działalność nie jest jeszcze zbyt widoczna, ale już wkrótce mogą one stanowić groźną konkurencję dla **„POLSKICH NAGRAŃ"**, czy **„TONPRESSU"**.

W jednym z apartamentów Hotelu Europejskiego w Warszawie ma swoje biuro informacyjno-handlowe Przedsiębiorstwo Polonijno-Zagraniczne **„POLFRAKT"**, którego właścicielką jest mieszkająca w Szwecji Polka — Elżbieta Wezdecka. Przedsiębiorstwo powstało w drugiej połowie 1982 roku, a już ma na swoim koncie wydanie dwóch płyt długogrających, singla i kasety. Zatrudnia 5 etatowych pracowników.

„POLFRAKT" zawarł umowę kooperacyjną z zajmującym się tłoczeniem płyt zakładem **„PRONIT" w Pionkach.** Tam też powstają płyty ze znakiem **„POLTON"** — taką bowiem nazwą firma sygnuje swoje nagrania. Jeszcze w ubiegłym roku „Polfrakt" zaimportował ze Szwecji prasy do tłoczenia płyt wraz z urządzeniami pomocniczymi, aparaturę do konfekcjonowania kaset magnetofonowych oraz części zamienne i surowce, takie jak kasety, taśmę BASF, okładki, wydając na to wszystko około 100 tys. dolarów.

Umowa jest mniej więcej taka: **„Pronit" pod swoim dachem,** rękami swoich pracowników (trzech z nich przeszkolono specjalnie w Szwecji do obsługi nowych urządzeń) robi **„Polfraktowi"** płyty, w zamian za co już od grudnia 1982 roku dla własnych celów wykorzystuje jedną trzecią mocy produkcyjnych sprowadzonych maszyn, które automatycznie przejdą całkowicie na własność **„Pronitu"** po 10 latach. Poza tym **„Polfrakt"** wyremontował na własny koszt jedną z hal produkcyjnych **„Pronitu"**, zobowiązał się systematycznie zaopatrywać kooperanta w importowane części zamienne — także do starych, użytkowanych tu maszyn, chce także wprowadzić w Polsce produkcję etykietek płytowych metodą druku offsetowego, co — jeśli dojdzie do skutku — upodobni nasze etykietki do bajecznie kolorowych, jakie spotykamy na płytach zachodnich. Korzyści z umowy, jak widać, powinny być obustronne.

Co najbardziej zdumiewa w działalności nowych firm fonograficznych, to tempo pracy. W **„Polskich Nagraniach"** zarejestrowanie materiału muzycznego od ukazania się płyty na rynku dzieli zwykle okres 1—2 lat, co sprawia, że nieraz oferuje się klientowi przeboje, o których wszyscy zdążyli już zapomnieć. Tu mamy do czynienia z kilkoma zaledwie miesiącami. Do 3 grudnia 1982 roku instalowano w Pionkach zakupione przez „Polfrakt" maszyny, a jeszcze przed świętami ukazało się w sprzedaży 2 tys. płyt z kolędami w wykonaniu **„Mazowsza"**, opatrzonych znakiem **„Polton"**, wytłoczonych na tychże maszynach. Dla jasności: nagranie „Mazowsza" zostało przez „Polfrakt" odkupione, był to więc tylko przedruk, ale matryce, chcąc zapewnić wyższą jakość, wykonano w Szwecji.

Oczywiście w przypadku, gdy wydawca sam dokonywać musi nagrania, wszystko to trwa trochę dłużej, ale... Materiał muzyczny na płytę i kasetę **zespołu „TSA"** zarejestrowano w listopadzie ubiegłego roku w studio **RSW „Prasa-Książka-Ruch"**, a już w grudniu pojawił się singel (w Łodzi można go było kupić w ŁKJ oraz w „Centralu"), w styczniu gotowa była kaseta, w lutym zaś — album.

Singel TSA kosztuje 150 zł, kaseta — 595 zł. W porównaniu z dotychczasowymi cenami polskich płyt i kaset, sumy te mogą szokować. **Maria Wilk** — dyrektor PPZ „Polfrakt" — twierdzi jednak, że wszystko zależy od punktu widzenia.

— **Nasze płyty** — mówi — **są wyższej jakości, estetyczne, a przede wszystkim szybko wydane. Czas, to pieniądz! Poza tym, czy ludzie wiedzą, co wpływa na cenę płyty? Zespół TSA nagrywaliśmy przez trzy tygodnie. Przez ten czas muzycy mieszkali w hotelu Forum, za co musieliśmy zapłacić. Wynajęcie studia kosztuje 5 tys. zł za każdą godzinę, a dobry reżyser nagrania bierze 4 tys. zł za minutę. Nie bez wpływu na cenę pozostaje też fakt, że tylko część zaimportowanego przez nas sprzętu została zwolniona z opłat celnych. Jeśli to wszystko wziąć pod uwagę...**

Nasze plany? Na razie wydajemy **„Republikę"**. **I znów najpierw ukaże się singel, a dopiero później — longplay i kaseta. Tak robią wszystkie czołowe wytwórnie płytowe, by przygotować rynek stosunkowo tanim singlem do pojawienia się odpowiednio droższego longplaya i kasety. Chcemy ten zwyczaj wprowadzić także w Polsce. A dalej? Nie, to nie jest tajemnica — po prostu jeszcze nie wiemy. Wydamy nagrania tego wykonawcy, który akurat będzie najbardziej popularny. Tego zaś nie da się zaplanować.**

Jeszcze w 1982 roku „Polfrakt" rozesłał do domów kultury, szkół, klubów i innych placówek młodzieżowych, rozrzucił w sklepach telegram następującej treści:

„Szczęśliwego Nowego Roku. Stop. Spełnienia wszystkich marzeń. Stop. Wasze marzenia o dobrych płytach spróbuje spełnić „Polton". Stop. Polonijne wydawnictwo płytowe „Polton" zamierza produkować płyty tylko takie, jakie sami wybierzecie. Stop. Napiszcie prosimy. Stop. Jakie płyty należy produkować. Stop. Wasz „Polton". Stop".

Drugą część blankietu telegramu stanowiła karta pocztowa z adresem firmy. Należało tylko wpisać nazwę ulubionego wykonawcy, nakleić znaczek i wrzucić do skrzynki. W ten właśnie prosty sposób młodzież sama wybrała **„REPUBLIKĘ"**, której nagrania coraz częściej goszczą na różnych polskich listach przebojów.

W którymś momencie musi, rzecz jasna, paść pytanie: w jaki sposób opłaca się inwestować dolary, a zarabiać złotówki? Odpowiedź jest krótka: dzięki eksportowi. „Polfrakt", jak inne firmy polonijne, żeby przetrwać, musi zacząć eksportować. Na razie jest na to jeszcze za wcześnie, ale przedstawiciel firmy **na targach płytowych MIDEM w Cannes** przeprowadził już wstępne rozmowy z około 20 przedsiębiorstwami zachodnimi, zainteresowanymi w nawiązaniu kontaktów handlowych. Niedługo powinny zostać zawarte pierwsze umowy. Do tego interesu nikt nie będzie przecież dokładał!

W nieco innej sytuacji znajduje się, również powstałe niedawno, Wydawnictwo Fonograficzne **„ROGOT"**. Przede wszystkim dlatego, że jest to spółka bez udziału zagranicznego kapitału. Ma ona trzech współwłaścicieli, z których dwaj od lat blisko związani byli ze środowiskiem muzycznym, z inicjatywy i na potrzeby którego wydawnictwo to powołano do życia — notabene po ponad dwóch latach starań. Mówiąc „środowisko", wymienia się zwykle **Czesława Niemena, Krzesimira Dębskiego, Hannę Banaszak i grupę „Maanam"**... Ci też głównie wykonawcy nagrywać będą dla **„Rogotu"**, który — jak chce plotka nazywać się miał „Fagot", ale ktoś pomylił się przy przepisywaniu i tak już zostało.

Poza tym wszystko wskazuje, że **„Rogot"** chce nie tylko dogadzać melomanom spragnionym dobrych nagrań muzyki rozrywkowej, ale też i wpływać na kształtowanie ich gustów — oczywiście na razie na miarę możliwości, które po poczynieniu odpowiednich inwestycji (m. in. własna tłocznia płyt, sieć stoisk i punktów sprzedaży) będą z pewnością większe.

Pierwszą publikacją spółki był singel, kaseta i longplay z muzyką filmową Czesława Niemena, zatytułowany „Przeprowadzka". Jest to bez wątpienia ciekawy materiał muzyczny, choć nie tak przebojowy jak piosenki zespołów **„TSA"** czy **„Perfect"**. Stąd też prawdopodobnie stosunkowo niski nakład — 20 tys. egzemplarzy. Za to kaset grupy **„Maanam"** z koncertowymi nagraniami z listopada 1982 w Sali Kongresowej i Berlinie Zach. zdecydowano się wydać 80 tys., co, biorąc pod uwagę obecną popularność zespołu, nie jest chyba liczbą zbyt dużą.

W kwietniu **„Maanam"** nagrywać będzie dla **„Rogotu"** w Berlinie Zach. dużą płytę z zupełnie nowymi utworami. Informacja ta ważna jest m. in. z tego powodu, że nagrania te trafią prawdopodobnie na rynek zachodni, na którym jak do tej pory polscy wykonawcy nie mieli większego powodzenia. Firma prowadzi też rozmowy z japońską wytwórnią płytową **„Nippon-Columbia"** w sprawie nawiązania bliższej współpracy. Jakie będą tego efekty — zobaczymy. Trudno też jeszcze powiedzieć coś więcej o grupie **„Di Rock Cimbalisten"**, której płyta powinna ukazać się już w kwietniu.

Przedstawione powyżej fakty nie wyczerpują, rzecz jasna, tematu, jednakże już choćby na ich podstawie należy wnioskować, iż sytuacja na krajowym rynku fonograficznym ulega zasadniczej zmianie. Dotychczasowy monopolista — **„Polskie Nagrania"** — od lat znajdował się pod ostrzałem krytyki za brak operatywności i inwencji, niską jakość płyt, nie zawsze odpowiedni dobór repertuaru, a nade wszystko — bardzo długi cykl produkcyjny. Nowe wytwórnie płytowe wkroczyły na rynek z impetem, którego oby im nie zabrakło. Konkurencja jest tutaj zjawiskiem jak najbardziej pożądanym i należy jedynie ubolewać, że stało się to dopiero teraz, nie zaś kilka czy kilkanaście lat temu. Straty, które mamy do odrobienia w stosunku do fonografii innych krajów, byłyby wówczas dużo mniejsze.

Mimo tej gorzkiej refleksji możemy dziś chyba spojrzeć w przyszłość z umiarkowaną, ale przecież — nadzieją. Oto bowiem okazuje się, że można w Polsce nagrywać i wydawać płyty lepiej, szybciej, trafniej. Pojawia się też **szansa szerokiego wyjścia z polską muzyką poza granice kraju, a w dalszej perspektywie przedrukowywania większej ilości nagrań zagranicznych — tak przecież poszukiwanych.**

Są i obawy. A to, że nowe wytwórnie prowadzić będą działalność wyraźnie komercyjną, a to, że ceny — wysokie i nie ustabilizowane itp. Oczywiście nie należy ich lekceważyć ale... W krajach, gdzie na przemysł fonograficzny patrzy się przede wszystkim przez pryzmat pieniędzy, wydaje się również nagrania np. z muzyką poważną czy ludową, które ze zrozumiałych względów nie osiągają nakładów takich, jak z rozrywkową i nie przynoszą wytwórniom oszałamiających dochodów. Prawie wszędzie też ceny płyt i kaset są zróżnicowane w zależności od tego, co zawierają, kto je wyprodukował i w jakim czasie. Nowości są droższe, starocie — tanie. Płaci się też za jakość i atrakcyjność nagrania. A jeśli ceny są zbyt wygórowane, przy w miarę nasyconym rynku, po prostu płyty leżą, producent nie osiąga oczekiwanych zysków i albo zacznie obniżać koszty produkcji, by i cena była niższa, albo przegrywa z konkurencją i bankrutuje.

Zrozumiałe, iż daleko nam jeszcze do stanu nasycenia rynku i nie wszystkie mechanizmy zaczęły już działać. Należy jednak przypuszczać, że już obecnie zbyt droga płyta nie znajdzie po prostu nabywcy. Są przecież granice zdrowego rozsądku i możliwości. Płyta to nie chleb, bez którego obejść się nie sposób! A że granice te są bardzo względne, niech świadczy prosty przykład. Oto niektóre nagrania w cenie 130 zł za longplay miesiącami leżą w witrynach księgarni, inne — choć po 330 zł — idą jak woda, jeszcze inne — zawierające najnowsze przeboje świata — osiągają ceny w tysiącach i też są przecież kupowane. Wystarczy zajrzeć do któregoś z prywatnych sklepów płytowych lub na bazary.

P. T.

Od buntu do utopii

KAROL JÓZEF STRYJSKI

1. RÓŻNE FORMY BUNTU

Bunt można zrozumieć wielorako. Może być dla przykładu przejawem mniej lub bardziej wyraźnego sprzeciwu jednostki lub grupy wobec pozycji i przywilejów innych ludzi, wyrazem negacji istniejących układów, rygorów i struktur społecznych. Wreszcie bunt może być też próbą uwolnienia się od owych struktur i norm lub wolą ich zmiany, zastąpienia czymś nowym.

Bunt może być także formą uzewnętrznienia drażących jednostkę lub grupę społeczną niepokojów, np. niepokojów związanych z poczuciem braku perspektywy życiowej, niepokojów o przyszłość zawodową czy społeczną.

Skrajną formą buntu jest nihilizm. Oznacza on bowiem sprzeciw wobec wszelkich form, zasad i praw oraz tradycji kulturowych.

Rodzajem politycznego buntu, sprzeciwu wobec państwa jest anarchizm. Podstawową tezą anarchistów było traktowanie państwa jako winowajcy wszelkiego społecznego zła. Wobec tego droga do wyzwolenia jednostki, przełamania owego zła, jak twierdzą zwolennicy anarchizmu, wiedzie przez zniesienie państwa oraz ustanowienie ustroju bezpaństwowego.

Najbardziej dojrzałą z punktu widzenia marksizmu formą społecznego buntu jest walka klasowa. Walka o społeczne, ekonomiczne i polityczne wyzwolenie się klasy robotniczej. Jednakże nie każdy przejaw buntu, nie każda rewolta musi przybierać formę rewolucji społecznej. Wprost przeciwnie — bywa nią niezmiernie rzadko.

Ruch buntowników jest przede wszystkim formą społecznego protestu, zbiorowego manifestowania swojego niezadowolenia, dezaprobaty lub podjęcia walki z czymś mniej lub bardziej określonym. Z czasem owe spontaniczne odruchy protestu mogą przekształcić się organizacyjnie, nabrać form struktury, a także określić się ideowo, światopoglądowo, politycznie i społecznie. Wówczas nabrać mogą cech zorganizowanego ruchu politycznego, działania programowego. Tak właśnie rzecz się miała z ruchami studenckimi w latach sześćdziesiątych.

Aldona Jawłowska w pracy pt. „Drogi kontrkultury", pisze, iż *„bunt młodzieży w krajach kapitalistycznych, mieszczący się w swojej początkowej fazie w granicach konfliktu pokoleń, przekształcił się w połowie lat sześćdziesiątych w zróżnicowany wewnętrznie ruch społeczny, skierowany przeciw aparatom władzy i środkom manipulacji".*

Jest to dowód na to, jak z niewinnego „buntowania się", niejako odwiecznego konfliktu młodzi-starzy, zrodził się jeden z największych, najbardziej masowych ruchów społecznych.

2. KONTESTACJA I KONTESTATORZY

Wyrazem sprzeciwu wobec rzeczywistości społecznej może być bunt związany z podjęciem walki o jej zmianę, a więc bunt aktywny, agresywny, ale także nieuczestnictwo, czyli subiektywne, lecz świadome nieprzykładanie „swego palca" do niczego; wreszcie — kontestacja. Ta ostatnia z jednej strony oznaczać będzie zaprzeczenie, sprzeciw i bunt wobec określonych, aktualnie i powszechnie uznawanych lub kreowanych wartości, idei czy całych modeli życia społecznego, z drugiej zaś strony — postawa ta wiązana jest z jednocześnie potwierdzanymi alternatywnymi wartościami, ideami, w imieniu których się zaprzecza. Przy czym ten drugi element, owa kontrpropozycja, model alternatywny nie zawsze są jasno, jednoznacznie i programowo sprecyzowane. Postawa jedynie zwyczajnego zaprzeczenia, postawy „na nie" wobec rzeczywistości, to zwykle początki kontestacji. Przejawem tego rodzaju postawy może być jedynie nieuczestnictwo, ucieczka w *„swój intymny, mały świat"*, lub jak się to dziś modnie nazywa — emigracja wewnętrzna. Kontestatorom zwykle o coś chodzi, o coś bardzo konkretnego, w ich mniemaniu ważnego, wielkiego.

Trudno byłoby dziś stwierdzić autorytatywnie, kto był pierwszym kontestatorem. Myślę, że cechy tego typu postawy odnaleźć można w każdym młodym pokoleniu. To jest ów pozytywny bakcyl kontestacji, twórczy, wypływający z młodzieńczego odruchu „niegodzenia się" ze światem. W tym sensie jest to naturalny przejaw postawy krytycznej wobec starych wartości i struktur. Wiele złożonych elementów i przyczyn składa się na to, że ów „niewinnie krytyczny", romantyczny odruch młodzieńczego zbuntowania, staje się w końcu problemem społecznym. Bowiem kontestacja, w jakich bądź by nie przejawiała się formach i przeciw czemu by nie występowała, prędzej czy później staje się „wyrzutem sumienia" każdego społeczeństwa, niezależnie od epoki i ustroju. A staje się tak m.in. dlatego, iż kontestacja — jak pisze wspomniana już A. Jawłowska — *„niezależnie od tego, czy prowadzi do naiwnego optymizmu wyrażającego nadzieję szybkiej zmiany, pogodzenia się z perspektywą długiej i ciężkiej drogi do »ziemi obiecanej«, czy do rozpaczliwego przeświadczenia o nieuchronności alienacji — jest zakwestionowaniem wszystkiego: kultury, polityki, organizacji społecznej, oczywistych form codziennej egzystencji, norm etycznych, wzorów i standardów zachowania. Całego sensu dotychczasowego istnienia."*

3. PROVOSI I INNI

W okresie powojennym ruch kontestacyjny zaczął nabierać znaczenia i rozmachu poczynając od lat pięćdziesiątych. W roku 1953 ruch letrystów występuje przeciw polityce USA wobec krajów Trzeciego Świata. Za podstawę swoich działań przyjmują oni twierdzenie, że *„społeczeństwo współczesne jest społeczeństwem policyjnym".*

Zaangażowani społecznie artyści tworzą w lipcu 1957 roku na konferencji w Casio Arroscia Międzynarodówkę Sytuacjonistów. W pierwszym dokumencie — manifeście, który formułował cele kulturalne tego ruchu sytuacjoniści głosili, iż *„rewolucyjne działanie na polu kultury nie powinno mieć na celu tłumaczenia lub opisywania życia, lecz rozszerzanie jego możliwości (...) Wraz z ekspansją człowieka powinny umrzeć te uczucia, kompensacje i zwyczaje, które są jej produktem. Trzeba na nowo stworzyć i określić pragnienia".*

Sytuacjoniści, czy tego chcieli czy nie, byli nie tylko ruchem kontestatorów-artystów. Ich program „odnowienia kultury" sięgał o wiele dalej niż sfery tradycyjnie rozumianego pojęcia „kultura". Dążąc do zmian w rzeczywistości społeczno-politycznej, byli sytuacjoniści także ruchem politycznym. Na zarzut nihilizmu sytuacjoniści odpowiadali, iż *„nie mogą budować niczego inaczej niż na ruinach społeczeństwa spektakli".* Spektakl to wykrzywiona rzeczywistość, to ruch pozorny, nie prowadzący ku nowej jakości życia, to kultura superstruktur współczesnego kapitalizmu, to wreszcie — fikcja telewizyjnego ekranu zniekształcona manipulatorską obróbką *„niby-rzeczywistości".*

Sytuacjoniści „zapożyczyli" z trockizmu hasło permanentnej i totalnej rewolucji, głosząc konieczność jego zastosowania w sferze codzienności. W praktyce miało ono oznaczać działania już, teraz, aktualnie zmieniające własną egzystencję i podporządkowujące ją przyszłej rewolucji. Bieżąca destrukcja była działaniem w imię i na rzecz „nowego życia".

Z kręgów artystycznych, ale także i studenckich, literackich, zaczął około połowy lat sześćdziesiątych wyrastać nowy ruch kontestacyjny, do którego przylgnęła nazwa provo. Provosami nazywano w Utrehcie młodych ludzi „okupujących" ciemne kąty bocznych ulic miasta, wałęsających się z nudów i dla przyjemności, i z tych samych powodów prowokujących burdy i awantury. Wkrótce kontestujące grupy studentów i artystów przyjęły dla siebie miano provosów. Pragnęli tym zamanifestować swój stosunek do społeczeństwa oraz uznanych wartości nauki i kultury.

Provosi odrzucali w zasadzie możliwość aktywizacji mas i ich zrewolucjonizowania. Raz dlatego, iż musieliby skorzystać ze starych, znanych metod tworzenia nowych, wielkich struktur społecznych. Tymczasem zaś provosi byli w głębi duszy anarchistami, a więc nie mogli tym samym wysuwać haseł zastąpienia jednych struktur innymi. Byli przeciwnikami struktur społecznych w ogóle. Pragnęli nadejścia rewolucji, ale głównie dlatego, że niosła ona z sobą stan anarchii, ich zdaniem jedynie godnej zaakceptowania koncepcji społecznej. Van Duyan, jeden z czołowych teoretyków i aktywistów ruchu w swoim manifeście przeciwstawiał provosów całemu społeczeństwu i to zarówno jego odłamom konserwatywnym, mieszczańskim, jak i socjaldemokratycznym i komunistycznym. Głosił, iż *„proletariat jest niewolnikiem polityków i łączy się ze swym starym przeciwnikiem — burżuazją. Tworzy obecnie wraz z nią potężną szarą masę (..) Szefowie wielkich mocarstw dyktują nam, co powinniśmy robić i co konsumować. Lecz Provotariat chce być samym sobą".*

Już wkrótce provosi zaczęli zdobywać popularność wśród młodzieży. Stawali się dla niej autorytetem, ukazując możliwość pozytywnej, a zarazem krytycznej działalności politycznej i artystycznej. Ruch ten łączył spontaniczny i emocjonalny sprzeciw wobec rzeczywistości przesyconej konformizmem, społeczności „spłaszczonej" kultury i negatywnych skutków cywilizacji technicznej, jej instytucjonalizacji ze specyficznymi i atrakcyjnymi metodami kontestacji — happeningiem, poetyckimi widowiskami, prowokacją. Spektakle te organizowane były w centrach wielkich miast Holandii, Antwerpii, Kopenhagi, Sztokholmu czy San Francisco.

W roku 1967 ruch provosów osiąga w swoim rozwoju okres szczytowy i rozpada się, a następnie ulega likwidacji. Większość provosów nazywać siebie będzie później Dziećmi Kwiatami i przyjmie formy życia hipisów. W roku 1970, Roel van Duyan, z niedobitków provo i nowej młodzieży kontestującej, utworzył Partię Krasnoludków. Można zaryzykować twierdzenie, że partia ta, jak również ruchy jej podobne — głównie poprzez silne akcentowanie programowej walki o ochronę środowiska — stała się zalążkiem funkcjonujących aktualnie w masowej skali Partii Zielonych.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, w Stanach Zjednoczonych, powstała grupa diggersów. Łączyła ich z tradycją provo walka o „wolną społeczność", a także dążenie do zmiany codzienności poprzez rewolucyjną zmianę kultury. Do nurtu provo nawiązywały także Czarne Maski. Ruch ten był jednak bliższy dadaizmowi oraz anarchizmowi (w przeciwieństwie do provo akceptował terroryzm).

4. HIPPIES

Około roku 1964—1965 pojawiły się pierwsze grupy kontestatorów na uniwersytetach amerykańskich. Wyraźnie zaktywizowała się wówczas młodzież kolorowa. Były to początki nowej fali wielkiego, masowego ruchu murzyńskiego. W tym samym okresie pokazały się w USA pierwsze grupy hippies.

Ruch hippies w swoich założeniach i stylu życia, lansowanej kulturze, czy raczej kontrkulturze, mieścił się w szerokim nurcie kontestacji, „nowej kultury" i nowej filozofii. Hipisi zanegowali takie, powszechnie uznawane wartości, jak: kariera, sukces i prestiż społeczny oraz wszystkie środki prowadzące do ich osiągnięcia. Odrzucali także rzeczy w kapitalizmie „święte", takie jak pieniądz i przedmioty budujące mieszczańską stabilizację; zakwestionowali zasadę własności prywatnej.

Charles Reich, prezentując hipisowski stosunek do świata, stwierdza, że *„charakteryzuje go dążenie do niewinności, dziecięcego zdziwienia wobec rzeczy codziennych, nabożny podziw dla przyrody, odkrywanie uroku rzeczy prostych".*

Aby świat zmieniać, należało się najpierw wyzwolić z jego wpływów, presji. Pierwszym krokiem ku tak rozumianemu wyzwoleniu było pozbycie się roli społecznej wynikającej z wieku, płci, wykształcenia, zawodu oraz przynależności do określonego środowiska i warstwy społecznej. W walce ze światem, w chęci zmieniania go odrzucali jednak hipisi czynny opór wobec aparatu władzy. Oni go po prostu podobnie jak inne instytucje społeczne i polityczne ignorowali. Jedynym sposobem tak pojętej walki było po prostu *„robić swoje"*, wyemigrować poza „normalne" społeczeństwo, żyć inaczej. Głosili przy tym, że *„aby nauczyć się świata, trzeba poznać siebie. (...) Słuchaj muzyki, tańcz, śmiej się, staraj się rozumieć przyrodę, pomagaj innym, pracuj dla innych, żyj pełnią życia w każdej chwili, ciesz się każdą spotkaną osobą i samym sobą".*

Hipisi łączyli się w komuny. Pierwsze z nich zaczęły powstawać w USA około roku 1966, głównie w Kalifornii. Już w rok później najbardziej znani przywódcy tego ruchu: Jerry Rubin, Duve Dellinger i Abbie Hoffman nawiązali kontakty z innymi organizacjami kontestującymi na świecie. Upowszechniali przy tym hasło opanowania całego świata przez „nową kulturę". Nazywali się *„szczepem"* lub *„nowym narodem"*. Poprzez te kontakty, jak również na skutek akcji prześladowczej w USA, podjętej przeciw hipisom przez środki przekazu, rozpoczęły się ich masowe wędrówki na Wschód. Ucieczka amerykańskich hipisów do Indii, Afganistanu, Iranu czy Nepalu związana była również z fascynacją i chęcią poznania religii i filozofii Wschodu.

Ruch hipisów przenosi się także do Europy, głównie do Anglii i Holandii.

Po odejściu z komun diggersów, pasywni hipisi nie bardzo potrafili rozwiązać swoje problemy życiowe. Sytuacja w komunach zaostrzała się, a kiedy do Haight-Ashbury napłynęły tłumy ciekawskich Amerykanów z aparatami fotograficznymi, hipisi postanowili zmienić swoją zewnętrzną formę. Na początku 1968 roku urządzili wielką demonstrację, swój własny pogrzeb, paląc akcesoria ruchu.

Wiosną 1968 roku policja, podczas likwidacji komuny Haight—Ashbury brutalnie zaatakowała nie stawiających oporu hipisów. Doszło na tym tle do walk. W wyniku tych akcji policyjnych pacyfistycznie bierni hipisi, zostali zmuszeni do użycia siły w obronie własnej.

Można powiedzieć, że był to koniec hipisów, koniec ruchu hippies w jego „klasycznej" formie.

5. YIPPIES

Ruch hippies przekształcił się w ruch yippies, tworzący Youth International Party.

Grupy młodzieży objęte nazwą hippies—yippies, biorą już udział w wielu akciach politycznych, stają się ruchem aktywnym społecznie i politycznie. Równocześnie członków grup yippies i ich sympatyków, spotkać wówczas było można na wielu masowych imprezach kulturalnych, jak festiwale muzyki w Woodstock.

Trzeba przyznać, iż część młodzieży YIP wykoleiła się. Skutki o nędznej sytuacji materialnej, popadania w narkomanię, stoczyła się na tzw. społeczny margines. Niestety, to właśnie ci długowłosi, niechlujnie ubrani młodzi ludzie o niewykwintnych manierach, frustraci i niewolnicy nałogu pozostali, szczególnie w starszym, niechętnym hippisom pokoleniu synonimem ruchu hippies—yippies.

Jednakże przeważająca część młodzieży skupiona w ruchu poszukiwała nowych form wyrażenia sprzeciwu wobec systemu. Rozwija się ruch komun artystycznych. Ale jak wspomniałem, młodzież ta nie stroni od swoiście pojmowanej walki politycznej. Jedną z największych tego typu akcji było zorganizowanie latem 1968 roku w Chicago, w czasie odbywającej się w tym mieście konwencji Partii Demokratycznej kontrimprezy — Festiwalu Życia. Policja amerykańska zgotowała wówczas yipisom wyjątkowo brutalną odprawę. Zginęło kilku młodych ludzi, a setki uczestników „Festiwalu Życia" zostało rannych.

Po tych wydarzeniach yipisi konsolidują się i jako organizacja schodzą „do podziemia". Policja zaś coraz bardziej nasila i zaostrza działania zmierzające do likwidacji tego ruchu. Prezydent Nixon postanowił zlikwidować kontestację. Była ona władzom amerykańskim niewygodna. Była „sumieniem Ameryki", udzielając masowego wsparcia ruchowi pokojowemu, przeciwnikom wojny wietnamskiej.

W latach następnych ruch yipisów, podobnie jak i hipisów kieruje się w stronę mistycyzmu, poszukiwań nowej religii i sensu życia w tradycji filozofii Wschodu.

Ruch hipisów i yipisów wywarł wielki wpływ na subkulturę młodzieżową w wielu krajach, w tym bardzo silny w Europie. Styl życia upowszechniony przez ten nurt kontrkultury, stał się atrakcyjny dla rzesz ówczesnego młodego pokolenia i to nie tylko młodzieży kontestującej. Wiele wątków sprzeciwu oraz propozycji *„nowego stylu życia"* podjętych przez hipisów odnaleźć można jeszcze i dziś w postawach współczesnych kontestatorów.

6. KONTESTACJA — ALTERNATYWA CZY UTOPIA?

Pod potocznym rozumieniem „kontestacji" zamyka się sfera poglądów, postaw i rodzaj aktywności, czynnego sprzeciwu wobec określonej rzeczywistości cywilizacji technicznej. Ta postawa oznacza również zakwestionowanie sensu i modelu życia.

Do objawów postaw kontestacyjnych zalicza się ogromnie różne rodzaje zachowań często przeciwstawnych. Zachowanie tego typu to: demonstracje i strajki studenckie, imprezy happeningowe i ucieczki z domu. Tworzenie małych społeczności, kształtujących nowy styl życia i normy niemożliwe do zaakceptowania w „normalnych" układach społecznych. Ale do potocznego pojęcia „kontestacja" przylgnęły także takie dewiacje, jak narkomania czy przestępczość, włóczęgostwo, akty przemocy grup anarchistycznych i proterrorystycznych oraz rezygnacja prowadząca do samobójstwa, nihilizm i *„robienie nic"*. Kontestacja jednak to także intensywny, intelektualny i społecznie użyteczny wysiłek.

Tym, co wspólne, spajające ten niejednorodny ruch w pewną całość — pisze A. Jawłowska — jest totalne zwątpienie w racjonalność otaczającej rzeczywistości, połączone z niezachwianą wiarą, iż kształty rzeczywistości nowej tkwią wewnątrz ruchu i wyłaniają się same w momencie zniesienia krępujących i sprzecznych z naturą form życia społecznego.

W tej swoistej filozofii kontestacji tkwi źdźbło utopii. Z owego źdźbła w sytuacji konfliktu, zderzenia z nieustępliwą rzeczywistością, wyrastały niczym bujne chwasty postawy nihilizmu, zwątpienia, rezygnacji i ucieczki albo powrotu do rzeczywistości, która nie skapitulowała. Te momenty rozczarowań, klęsk i zagubienia ujawniały zakres nieprzystosowalności ruchów do agresywnych i nieustępliwych instytucji państwowo-politycznych cywilizacji technicznej. Przesłanką utopijności tych ruchów było także to, że kwestionując rzeczywistość społeczną, walcząc z nią kontestatorzy w zasadzie nie stworzyli alternatywnego kompleksowego modelu społecznego. Zawsze jednak kontestatorom o coś chodziło — albo pragnęli zmieniać świat, albo stworzyć tylko kontrkulturę, albo tęsknili za tym, aby stworzyć „nowego" człowieka, lub tylko, sprzeciwiając się wrogiemu światu, poszukiwali nowych form dla pełniejszego wyrażenia problemów drażniących i niepokojących młodych ludzi.

Kontestacja to także specyficzna, zwykle nieagresywna forma buntu, sprzeciwu, manifestacji. To poszukiwanie krain lepszego świata, szczęścia, satysfakcji; to wychowywanie lepszego człowieka. Bywa też kontestacja ucieczką od świata (w narkotyk, religię, samotność), kiedy okazuje się, że nie daje się ani go zmienić, ani dalej w nim żyć. Może też być kontestacja rodzajem dobrowolnego nieuczestnictwa, czy jakby to modnie powiedzieć „wewnętrznej emigracji".

Są takie chwile w życiu człowieka, szczególnie młodego, że przyjęcie postawy kontestującej pomaga żyć i wbrew pozorom dodaje mu sensu. Całe jednak życie przepędzić w kontestacji i nie zmarnować go, to rzecz niezmiernie trudna.

■

Zygmunt Wójcik

☆ ☆
✶

Annie Nadherze

Dobre były dla nas każde słowa
i każda melodia
A najbardziej dziecko nucące
Śpiewało czas sześcioletni
jak droga od Dunaju do Dunaju
Nic mu nie podpowiadaliśmy
żaden ptak bijący skrzydłami
po postrzale
nie wystraszył jego głosu
a jednak zamilkło
Teraz tylko liczy liczy
nasze popękane przysięgi
chce nas wyliczyć
z każdej chwili
głupiego zapomnienia
słów odzianych w blachę mrozu
z palących ran
z których nikt nie chce
nas nawet ograbić
A my ciągle zawieszamy ten obraz
— spływa z ciebie wąska strużka krwi
którą idiota-strażnik ginekologii
otworzył bagnetem bezczelności.

List do A. N.

Każdy może mieć słabe serce
ale twoje chce
być moim najsłabszym
Chociaż nigdy cię nie raniłem
Biegłem z lęku o Ciebie
by się nie dać zabić umarłemu
Włożyli ci dziecko do szuflady
i rzekli: te dwa tysiące
to na codzienne potrzeby
Teraz nawet gdy każdy widzi
moją starą bliznę
i pyta jak żyjesz —
odpowiadam z krzykiem
— szuflada ciągle otwiera
się sama i
wyłamuje zamki.

☆ ☆
✶

Tak zbrukani zmęceni że już każdy widzi
Tak słabi gdy cyniczni
trzeba się wieki wstydzić

Był w twoim brzuchu gwiazdą
muśniętą z miłości
Teraz jak słońce zaszło
Czeka brzuch jak na gości

Utytłana po ranach
Życie jak wulkan skamieniało
Krzyk poszedł górą nawy
Nam głosu nie stało.

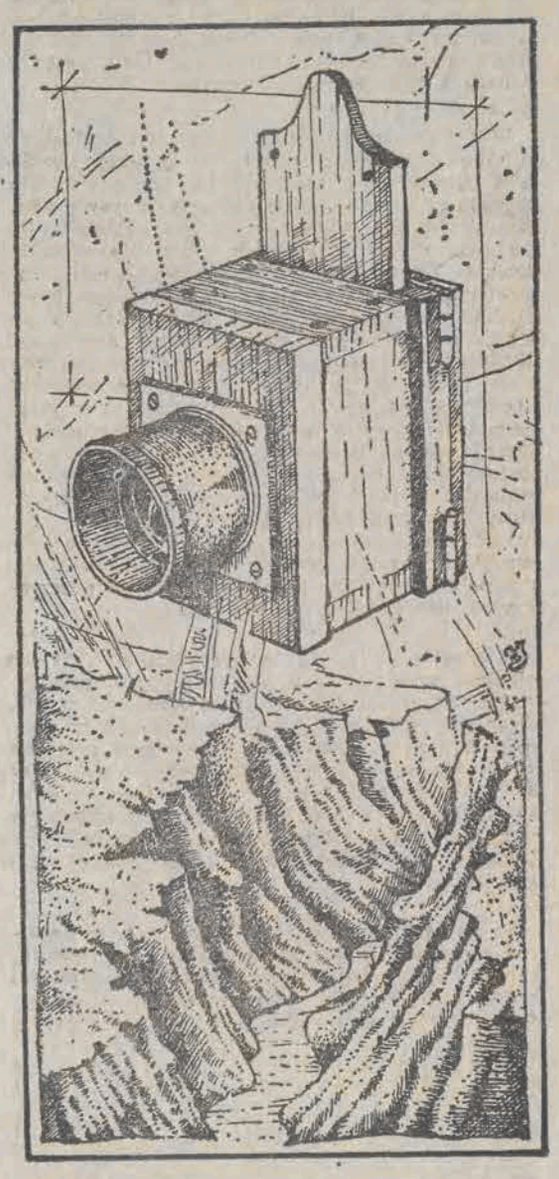

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Oswajanie Brechta

Komu zdarzyło się zetknąć po raz pierwszy w 1952 roku ze sztuką sceniczną Bertolta Brechta w czasie wizyty w Polsce zespołu Berliner Ensemble, tego mogła ona zafascynować odmiennością swojej poetyki od obowiązującego wówczas realizmu socjalistycznego. Kiedy bowiem Helena Weigel — ciągnąca swój wóz markietanki Matka Courage — i jej znakomici partnerzy: Ernst Busch (bard antyfaszystowskich brygad niemieckich z wojny domowej w Hiszpanii), Edwin Geschonneck (więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, cudem uratowany ze storpedowanego przez niemiecką łódź podwodną więźniarskiego statku) przerywali swoje namiętne antywojenne kwestie i zwracali się z songami wprost do widowni, zawieszając w ten sposób działanie scenicznej iluzji, nikt nie mógł mieć wątpliwości, że kosztuje smak owocu z drzewa dotychczas zakazanego.

Spłoszeni recenzenci główkowali intensywnie, jak by tu przekazać czytelnikom swoją aprobatę dla ideowej wymowy dzieła, spełnić wymóg kurtuazyjnej pochwały dla artyzmu aktorów niemieckiej lewicy, z autorem sztuki na czele, nie podpadając przy tym w kolizję z normami żdanowowsko-bermanowskiej estetyki. Ten i ów zastanawiał się nad tym, jak to się stało, że tak surowe w całym naszym obozie estetyczne rygory zelżały wcześniej u naszego zachodniego sąsiada, a stało się to zapewne w znacznej mierze dzięki trafnej i całkowicie uzasadnionej decyzji uznania Brechta przez politykę kulturalną demokratycznych Niemiec za „swojego", z całym dobrodziejstwem kłopotliwego inwentarza. Na podobnej chyba zasadzie, jak — już w ponadpaństwowej skali — doszło do ostrożnej z początku akceptacji estetyki twórczości Picassa w uznaniu jego ideowo-politycznej opcji. To dwa bodaj najznamienniejsze przypadki, kiedy ustrzeżono się pochopnego wylania dziecka z kąpielą i wiele temu do dziś zawdzięczamy.

Nie bez powodu odwołuję się do tych okoliczności, ponieważ uważam za nieobojętną jednoznaczność w sprawie — czyje dziedzictwo stanowi dramaturgia Brechta, a ma to swoje konsekwencje dla scenicznej realizacji. Ogólnoludzkie? Z pewnością — jak każda sztuka wybitna, ale już w „Operze za trzy grosze" ma ona swój wyraźny adres. Jest w niej, jak sądzę, już „cały Brecht" ze swoją antyburżuazyjną postawą i zarazem z praktycznie zastosowanym programem antymieszczańskiego teatru. Wtedy przecież, w 1928 roku, kiedy adaptował twórczo wcześniejszą o dwa wieki angielską „Operę żebraczą" Gaya, przechodził tak ważną dla swojej przyszłej drogi ewolucję od anarchizującego buntu do chłodnej analizy społeczeństwa w duchu ideologii socjalistycznej.

I w związku z tym przypomnijmy, że gdy w następnym roku sztuka grana była w Warszawie, spotkała się z mocno rozbieżnymi opiniami recenzentów, a wolno sądzić, że ich oceny nieraz zależne były nie tyle od estetycznych gustów, ile od ideowych postaw, o czym mogłoby świadczyć zupełne niezrozumienie sensu sztuki przez tak wybitnego przecież znawcę literatury i teatru jak Antoni Słonimski: **„Oglądać taką bandę łajdaków można pod warunkiem, że jest zabawna i że nie nudzi".** Ale nie chodziło krytykowi o samą realizację przedstawienia przez Leona Schillera i tylko o grę aktorską (w znakomitej zresztą obsadzie), w innym bowiem miejscu pisze on: **„Toteż gdy całe bractwo mówi nam: „Najpierw dajcie żreć, a potem gadajcie morały", mamy lekką pretensję, iż mimo że obżerają się na naszych oczach, nam właśnie prawią morały. Nie, tu nie ma żadnej krzywdy proletariackiej, są natomiast szumowiny, którym się dobrze powodzi, a jest to widok niezbyt wzruszający".** Trudno o większe nieporozumienie, jak przypisywanie Brechtowi, że ów świat przestępczy utożsamia on z proletariatem. Bardziej wnikliwa okazała się ówczesna cenzura, sukcesywnie okrawająca tekst.

Ta kwestia właśnie, kim jest Mackie Majcher i jego ludzie, kim bogobojny Peachum oraz — jaka relacja zachodzi pomiędzy ich nielegalnym procederem a usankcjonowanym prawnie ładem społecznym stanowi nie tylko o trafnym odczytaniu dzieła, ale i o konsekwencjach artystycznych, o właściwym zarysowaniu postaci. Oczywiście, że i rzecz trafnie odczytaną można artystycznie spaprać. Oczywiste także, że uzasadniona propozycja polemiczna może wyjść obronną ręką, a nawet święcić triumfy.

W przedstawieniu na scenie Teatru im. Jaracza mieliśmy do czynienia z odczytaniem połowicznym, jakby usiłującym godzić oskarżycielskie znaczenie utworu pod adresem określonej formacji społecznej z oczekiwaniami tej części naszej opinii, której dogadza teza, że świat, który krytykował Brecht już dawno się rzekomo odmienił, byłoby więc błędem traktować sztukę jako nadal jednoznaczną politycznie. Czyż nie lepiej podciągnąć nastrój całości do melancholijnej, ponadczasowej refleksji: **„Człowiek hołduje chętniej dobru niźli złu, ale warunki nie sprzyjają mu"?** Słowem — udzielić powszechnego rozgrzeszenia w duchu uniwersalnego humanizmu?

Tej zmiany filozoficznej optyki utworu nie przeprowadził reżyser brutalnie, dokonał jedynie minimalnych skrótów tekstowych, nie całkiem jednak obojętnych dla ogólnego sensu (jak o tym świadczy m.in. porównanie z późniejszym przedstawieniem warszawskiej szkoły teatralnej), inaczej tylko rozłożył akcenty, powodując zmianę ogólnego klimatu sztuki — z demaskatorskiego społecznie na pogodnie-sceptyczne moralizatorstwo o ułomnościach natury człowieka, co jednak kłóci się z sensem wielu songów, wskazujących praprzyczynę zła, a w konsekwencji utrudnia kreowanie spójnych postaci.

No bo dlaczego **Mackie Majcher** (grał go **BOGUSŁAW SOCHNACKI**), krwawy i cyniczny rzezimieszek „ma prawo" zyskiwać sobie sympatię dla swojego knajackiego fasonu i swoistej „rycerskości"? Tylko dlatego, że nie znajduje moralnej alternatywy w systemie wartości wyznawanym przez istniejący porządek społeczny, w którym prześladowani w imię prawa nie są mniej warci od prześladowców, bo tu i tam, na górze i na dole, żeby żyć, trzeba gnębić i wyzyskiwać drugiego, a przestępcy są na tyle częścią systemu, że nie działają przeciw niemu „wywrotowo", dążą jedynie do uszczknięcia dla siebie swojej „doli".

Owszem, zachowano to w tekście, lecz zgubiono w scenicznej konwencji wskutek tego, iż songi — wbrew intencjom autora — wtopiono zbyt „realistycznie" w przebieg akcji, zamiast, jak w parodiowanej operowej sztampie, „antyiluzyjnie" je eksponować, jako „epicki" komentarz o świecie (w cudzysłowach określenia Brechta).

Właściwie usprawiedliwiłem już pośrednio wykonawców, którzy w większości nie zdołali znaleźć klucza do postaci, bo nie sądzę, żeby rzecz sprowadzała się głównie do nietrafnego obsadzenia ról, niezgodnego z emploi aktorów. Przyjaźń **Komisarza policji (STANISŁAW JASKÓŁKA)** z szefem gangu nie jest, oczywiście, wiernością byłych kombatantów, lecz sitwą sięgającą korzeniami brudnych ekspedycji wojskowych, deprawujących moralnie, i tak to trzeba widzieć, żeby postacie miały swój format i wymiar. Liryczno-romantycznym uczuciom **Polly (BOŻENA ROGALSKA)** odbiera wiarygodność jej kupieckie wyrachowanie wobec ojca i kochanka, na coś trzeba więc się decydować, jako na motyw wiodący, czyli najpierw znaleźć wspólny mianownik dla poczynań osób działających.

Najlepiej wybronił się **SŁAWOMIR MISIUREWICZ** jako **Peachum**, po części też **ALICJA ZOMER**, — jako jego żona **Celia**, mimo wpadania w ton opery buffo; bardzo obiecująco spisywał się **MARIUSZ SANITERNIK** jako **Śpiewak podwórzowy.** Córkę komisarza, **Lucy**, grała **KAMILA SAMMLER**, **Pastora — ZBIGNIEW JÓZEFOWICZ**, wreszcie sugestywną postać **Jenny** stworzyła **MAŁGORZATA ROGACKA-WIŚNIEWSKA**, której song sprawił silne wrażenie.

Na ogół jednak, pełne wyrazu songi Weilla nastręczały wykonawcom sporo kłopotów intonacyjnych i rytmicznych, mimo wsparcia sprawnie prowadzonego zespołu instrumentalnego. Zabrakło więc wiele z tego, co składa się na stylistykę teatru Brechta i stanowi do dziś o sile oddziaływania sławnego musicalu.

JERZY KWIECIŃSKI

Bertolt Brecht i Kurt Weill „Opera za trzy grosze". Reżyseria — **Bogdan Hussakowski**, scenografia — **Jacek Ukleja**, choreografia — **Ewa Wycichowska**, kierownictwo muzyczne — **Piotr Hertel**. Premiera w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi.

Jak nie zostałem członkiem elitarnego Klubu

Nie tak dawno w drugim programie Tv, na antenie ogólnopolskiej, emitowano rozmowę łódzkich księgarzy na temat książki w ogóle, a pracy księgarskiej w szczególności. M.in. poruszono także temat, popularnej niegdyś, a dziś zarzuconej, dekady książki społeczno-politycznej „Człowiek — Świat — Polityka". Padły słowa pełne otuchy i zachęty informujące słuchaczy, że skoro umarła śmiercią naturalną ogólnopolska „Dekada", to Dom Książki w Łodzi powołał dla miasta i trzech województw ościennych **Klub Miłośników Książki „Człowiek — Świat — Polityka" 1983.** Na listę organizatorów wpisano oprócz P.P. „Domu Książki" w Łodzi także Stowarzyszenie Księgarzy Polskich Okręgu Łódzkiego, ośrodek Tv w Łodzi oraz księgarnię „Współczesną" w Łodzi, jako że właśnie ta placówka posiada charakter księgarni o profilu książek społeczno-politycznych.

Na zakończenie audycji padły słowa zachęty, by kto żyw spieszył zapisać się do wzmiankowanego Klubu, gdyż proponuje się jego członkom dość atrakcyjne tytuły, m.in. Aleksandra Bocheńskiego **„Dzieje głupoty w Polsce"**; książki nie wznawianej od 35 lat, Jerzego Cepika **„Wspomnienia z przeszłości"**, **„Dwieście lat USA — Ideały i paradoksy historii amerykańskiej"**, Elinde Mirces **„Joga"**, Zygmunta Freuda **„Wstęp do psychoanalizy"**, Bolesława Limanowskiego **„Historia demokracji"** itp. W sumie aż 22 pozycje, których przeciętny śmiertelnik nigdy nie ujrzy w żadnej księgarni.

Nazajutrz pobiegłem do księgarni „Światowid" przy ul. Piotrkowskiej 86. Postanowiłem się zapisać. Niestety. Księgarnia otrzymała zaledwie 6 (słownie: sześć) talonów! Pewnie jakieś niedopatrzenie organizacyjne, pomyślałem, i popędziłem do „Współczesnej", do kierownika **Ryszarda Kosela.**

— Chciałem zapisać się do Klubu Miłośników Książki „Człowiek — Świat — Polityka".

— **Nic z tego, nie mamy już talonów.**

— Jak to? Jeszcze wczoraj w telewizji...

— **Owszem, ale mieliśmy raptem do dyspozycji 550 talonów.**

— Na cztery województwa?!

— **Na cztery.**

— Więc po co ten cały cyrk?

— **A po to, żeby zmusić wydawnictwa, by zamiast 10 lub 20 tysięcy drukowały co najmniej 100 tysięcy egzemplarzy. I aby ilość tych książek trafiała do Łodzi proporcjonalnie do ilości jej mieszkańców. Może idea naszego Klubu przerwie wreszcie złą passę przydziałów książek dla naszego przedsiębiorstwa. Klub przecież gwarantuje to, że żadna z książek nie trafi w niepowołane ręce, że otrzymają ją ci, którym na niej zależy, a nie spekulanci i wszelkiego rodzaju pośrednicy giełdowi.**

W taki oto sposób nie zostałem członkiem Klubu Miłośników Książki **„Człowiek — Świat — Polityka".**

Na zakończenie taka refleksja: to dobrze, że taki Klub powstał, będzie on tamą, może teraz niewielką, ale skuteczną, dla odpływu atrakcyjnych książek na tzw. „czarny rynek". Po drugie: może wreszcie ktoś w Warszawie, kto zajmuje się rozdzielnikiem książek, uzmysłowi sobie wreszcie, że Łódź jest drugim co do wielkości miastem w kraju i z tego faktu wynikają konkretne potrzeby. Wreszcie po trzecie: może nasi wydawcy zadbają nie tylko o zwiększanie ilości wydawanych przez siebie tytułów, ale zajmą się także wzrostem nakładów. Tym bardziej, jak powiada Jan Dobraczyński, **„że książka i chleb są potrzebne człowiekowi w równej mierze".**

E. IW.

Z półki recenzenta

PŁATONOW

W cyklu „Sylwetki pisarzy" ukazała się monografia **Wiktorii i Rene Śliwowskich „Andrzej Płatonow".** Polski czytelnik dość dobrze zna twórczość tego niezwykłego autora (Żołnierskie serce, Osada Pocztylionska, Dżan i inne opowiadania, Czarodziejski pierścień, Gliniany dom i in.). Droga Płatonowa (właściwe nazwisko Andriej Płatonowicz Klimientiew) do literatury była, jak na owe czasy, dość typowa: początkowo pracuje jako odlewnik, potem jest pomocnikiem maszynisty lokomobili, prowadzi pociąg pancerny w czasie Rewolucji Październikowej. I pisze: wiersze, opowiadania, artykuły, felietony, sztuki teatralne, scenariusze filmowe. Swoje intensywne, niespokojne życie wypełnia pracą. Mimo faktu, że jest poważnie chory na gruźlicę, nie rezygnuje. Jego utwory są przepojone humorem, często ciętą satyrą, styl odznacza się prostotą, a jednocześnie dynamiką, ludzie i zdarzenia są poddani wnikliwej analizie. Zmarł w 1951 r. na gruźlicę.

W. R. Śliwowscy: Andrzej Płatonow. Czytelnik. 1983. Str. 170. Cena 70 zł.

TADEUSZ BREZA

Zapoczątkowana przed laty przez PIW seria „Portrety współczesnych pisarzy polskich" cieszy się niesłabnącym popytem. Pozycja, którą prezentujemy, jest osiemnastą z kolei. Mieczysław Dąbrowski rzetelnie przedstawił nam autora „Spiżowej bramy" i jego zawiłą drogę do literatury. Tadeusz Breza urodzony w 1905 r. na Wołyniu w latach młodości skłania się raczej ku życiu klasztornemu, a nawet odbywa półtoraroczny nowicjat u ojców Benedyktynów w Lophen w Belgii. Debiutuje powieścią „Adam Grywałd" dopiero w 1936 r., choć już wcześniej próbował pisać opowiadania i wiersze, zdobył nawet nagrody w konkursach literackich. Ale żywot Brezy-pisarza liczy się od 1936 r. Potem powstają kolejno: „Mury Jerycha" — 1946, „Niebo i ziemia" — 1949—1950, „Uczta Baltazara" — 1952, „Jokkmokk" — 1953, „Spiżowa brama" i „Urząd" — 1960 oraz „Zawiść" — 1973 r.

Dziś nie sposób wyobrazić sobie naszej literatury bez książek Tadeusza Brezy.

M. Dąbrowski: Tadeusz Breza. PIW 1982. Str. 214. Cena 70 zł.

„GRANICA" NAŁKOWSKIEJ

Sp. Wyd. „Czytelnik" wydaje **„Dzieła"** Zofii Nałkowskiej, na które złożą się powieści, opowiadania, utwory dramatyczne, eseje, wspomnienia, szkice z podróży, dzienniki i varia. Należy sądzić, że zanim wyjdą wszystkie tomy, upłynie sporo czasu, bowiem spuścizna autorki „Granicy" (już choćby same „Dzienniki") jest spora.

Aktualnie ukazała się wspomniana „Granica", powieść, która weszła na stałe do leksykonu najlepszych powieści polskich. Pierwsze wydanie ukazało się w 1935 r. w firmie Gebethnera i Wolffa, w nakładzie 5 tys. egz., co w owych czasach nie było mało. Jan Gebethner wspomina: „Był to wtedy, jak na pierwsze wydanie, duży nakład, ale okazał się za mały, rozszedł się w ciągu niespełna roku". Sukces „Granicy" był wielki, a dziś książka Nałkowskiej jest zaliczana do obowiązujących lektur szkolnych dla liceów ogólnokształcących.

Obecne wydanie jest już 28 z kolei.

Z. Nałkowska: Granica. Czytelnik. 1982. Str. 316. Cena 120.

NON OMNIS MORIAR

Otrzymaliśmy wstrząsający dokument: pamiętnik z getta warszawskiego Ireny Birnbaum. I dobrze się stało, że wydano tę książkę teraz, bo właśnie obchodzimy 40 rocznicę zrywu bojowego Żydów zamkniętych w getcie. Jest to przyczynek do historii ostatniej wojny, jeden z tragicznych jej dokumentów spisanych ręką kogoś, kto przeszedł piekło barbarzyństwa, ludobójstwa, bestialstwa — i przeżył.

Może ktoś mieć pretensje do autorki, że swoje wspomnienia publikuje dopiero teraz, kiedy rany zabliźniły się, kiedy coraz mniej jest świadków tamtych wydarzeń. Sądzę, że Irena Birnbaum nie umiała się wyzwolić od „czasów pogardy" i mimo upływu lat, żyła w upiornej scenerii niespotykanego w dziejach ludzkości, ludobójstwa.

I. Birnbaum: Non omnis moriar. Czytelnik. 1982. Str. 152. Cena 45 zł.

PIRANDELLO

Seria „Powieści XX wieku" ukazuje się już dobrych kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat. Wszystko, co liczy się w literaturze światowej zostało udostępnione polskiemu czytelnikowi. Teraz otrzymaliśmy Luigi Pirandella „Świętej pamięci Mattia Pascal" w nowym przekładzie Stanisława Kasprzysiaka. Autora książki nie trzeba przedstawiać: znany jest w Polsce przede wszystkim ze swoich sztuk dramatycznych, choć wyszły także dwa tomy jego nowel.

„Świetej pamieci Mattia Pascal" była już raz tłumaczona w 1928 r., jako „Cień Macieja Pascala" i od tego czasu nie wznawiana. Jest to właściwie powieść o samym autorze. Wścibscy krytycy odnaleźli dość kluczy, aby każda z występujących tu postaci utożsamić z kimś z otoczenia Pirandella.

Jako ciekawostkę należy podać, że książka była pisana z odcinka na odcinek dla „La Nuova Antologia", nocami, w czasie czuwania przy łożu chorej żony, a mimo to całość jest dość spójna, wartka i jednorodna.

L. Pirandello: Świętej pamięci... PIW. 1983 r. Stron 306. Cena 130 zł.

Wielka płyta „zacierką" kryta...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Najbardziej w nowym mieszkaniu zdziwił mnie jednakowy, „jodełkowy" lenteks we wszystkich pomieszczeniach i ściany wyklejone papierem. Pod tapety. Lenteks nie gnił, a margiel ze ściany nie strzelał. Dopiero później dowiedziałem się, że blok czekał parę tygodni na wizytę sejmowej komisji. Stąd ten papier i prawidłowo wysuszone podłogi. Tylko z obudową zlewozmywaka w kuchni było trochę kłopotów. Była pomarańczowa i taka nam do reszty kuchennych mebli pasowała. Ale po paru dniach ktoś nam drzwiczki na zielone podmienił. Poszedłem więc do szefa budowlańców, co się jeszcze po okolicy kręcili i grzecznie poprosiłem o pomarańczowe.

Pan Kazio ustosunkował się do prośby pozytywnie. Ale tuż przed przeprowadzką okazało się, że mamy dla odmiany drzwiczki — „drewnopodobne". Tym razem, po dłuższej już rozmowie, pan Kazio wezwał młodego pomagiera i powiada:

— *Jasiu, leć na piętnastkę, tam obudowy przywieźli, podmień panu drzewniane drzwiczki na oranża...*

Gdym zaś młodzieńcowi po drodze nieśmiało zwrócił uwagę, że lepiej może dźwigany pod pachą element choć w papier owinąć, ofuknął mnie krótko:

— *Coś pan psychiczny! Myślałyby, że ukradłem a tak, jak se luźno niosę, to wszyscy wiedzą, że na usterkę...*

Znamy to? Znamy! W iluż to wypadkach odbiór nowego locum czy remont starego wiąże się nieodmiennie z wizytą na budowie? Gdzie można liczyć na pomoc, gdy w sklepach nie uświadczysz cementu, olejnej farby, cegły czy uszczelki? Budowlańcy pomogą, u nich zawsze się coś zaoszczędzi. A z drugiej strony, jak kiepskie metki przylgnęły do nich od lat wyświechtane słowa — szablony: niegospodarność, marnotrawstwo, partactwo, nie dotrzymane terminy, usterki, fuchy i fuszerki. I dowód, najbardziej widoczny i odczuwalny, ich winy — wciąż wydłużające się terminy oczekiwania na mieszkanie. Jeszcze niedawno — kilka, obecnie już — kilkanaście lat smętnego oczekiwania na własne M-ileś tam, ze świadomością, budowaną przez liczne opowieści i gazetowe enuncjacje, że pierwszą rzeczą, jaką po odebraniu kluczy powinno się zasadniczo we własnym zakresie wykonać jest... generalny remont.

Spróbujmy spojrzeć na temat oczami nie członka spółdzielni czy użytkownika mieszkania, nie dyrektora przedsiębiorstwa czy ministra Kukuryki, ale właśnie budowlańca. I tak sprowokowałem do rozmowy *TADEUSZA WITKOWSKIEGO*, brygadzistę murarskiego, od kilku miesięcy na emeryturze, ale przez blisko 32 lata śpiewającego przy robocie: „— *Budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom...*"

— Podśpiewywał pan czasem panie Tadeuszu?

— *Po robocie tak, zwłaszcza jak się coś wypiło...*

— Jak pan trafił do murarki? Zawód przeszedł pewnie z ojca na syna.

— *Niezupełnie. Urodziłem się we wsi Jasień koło Rogowa i na 4 morgach było nas dziesięcioro rodzeństwa Ciężkie to były czasy i my dzieciaki musieliśmy też tęgo pracować by ojcu pomóc tyle gęb wyżywić. Jak mówię — żyło się ciężko, ale zgodnie i życzliwość sąsiedzka była. Nie to co dziś, znieczulica na każdym kroku, że jeden drugiego by ugryzł. A szacunku do pracy to mnie w domu skutecznie nauczyli, gdy trzeba było — to i pasem.*

— Jako harcerz we wrześniu ruszył pan bronić Warszawy...

... *ale nie zdążyłem. W Sinolęce trafiliśmy na Niemców, razem z grupą rówieśników dostaliśmy się do prowizorycznego obozu. Byłem ranny, ale po trzech dniach udało mi się wraz z trzema łodziakami zwiać. W marcu 40 roku urządzili we wsi żandarmi łapankę na chłopaków, których wywieziono „na roboty" Głodny i chory po tygodniach wożenia w nieludzkich warunkach trafiłem wreszcie do bauera w takiej sporej wsi koło Drawska, dziś się Piaski zwie. I tam wkrótce poznałem murarkę. Panie, jak ten majster — Niemiec porządku na budowie pilnował! Żadnej fuszerki nie puścił, narzędzia po robocie musiały być umyte i taczki stały na baczność.*

— A po wyzwoleniu...

— *Zjechałem w 47 roku do Łodzi, już z żoną, którą poznałem w Czaplinku (też z całą rodziną na roboty była wywieziona) i najstarszą córką. Trzeba się było usamodzielnić, choć w takiej ponurej norze na Jaracza, gdzie było pierwsze nasze mieszkanie zaczynaliśmy bez własnego krzesła i łyżki.*

— Dwa lata pracował pan w zakładach chemicznych...

— *A od 1950 roku zostałem budowlańcem. To znaczy początkowo byłem robotnikiem, z czasem dopiero przechodziłem wszystkie szczeble: betoniarz, brygadzista betoniarski, zbrojarz, murarz, brygadzista murarski.*

— Pamięta pan pierwszą łódzką budowę, swoją budowę?

— *Pewnie, to była piekarnia na Artyleryjskiej. No, tam to jeszcze niewiele umiałem, a te stare murarskie wygi miały swoje tajemnice i wiedziały jak ich strzec, by się młodziak za szybko nie podszkolił. To ja panie zawsze ostatni wychodziłem, śniadanie poświęcałem i ich podglądałem, jak to kładą mur „na zakładkę", jak te filarki ciągną...*

— Jak się wtedy budowało? Inne były przecież materiały inne technologie?...

— *No, nie ma porównania z dzisiejszą murarką. Lepiej się budowało, materiałów było pod dostatkiem, a ludzie byli naprawdę chętni do roboty Pracowali ile mieli sił, wielu pochodziło ze wsi, do ciężkiego chleba byli przyzwyczajeni, ale nikt nikogo nie musiał poganiać, premiami ani medalami kusić. A z czego brał się ten pęd do roboty, to zacietrzewienie? Myślę, że po tych tragicznych przeżyciach wojennych każdy chciał by jemu i jego dzieciom za parę lat żyło się lepiej, spokojniej, dostatnio. Nie żałowali więc sił, zdrowia, czasu. Nie przypominam sobie, by mnie czy moich ówczesnych kolegów trzeba było jakoś specjalnie namawiać do roboty po godzinach, czy w soboty.*

— Na pomysł z „wielką płytą" jeszcze nikt wtedy nie wpadł, budowało się wyłącznie z cegły?

— *Początkowo tak, ale potem, chyba jeszcze w latach 50-tych weszła „metoda Madalińskiego". No wie pan: betonowe pustaki z tyłu, od frontu szły na 12 centymetrów suporeksy, w środek beleczki wzmacniające. Zalewało się to betonem, było bardzo mocne i ciepłe. To była dobra technologia. Stawiałem w niej, pamiętam m.in trzy wieżowce przy 10 Lutego. Ile razy tam przechodzę — to lubię przystanąć, popatrzeć. Ładne domy, stoją zdrowo, ani rysy, czy pęknięcia nie widać.*

— Dzisiejsze warunki pracy nazywa pan cieplarnianymi...

— *A bo i takie są: umywaleczka, ciepła woda, przerwy na posiłki, nowe ubranko, ciepłe butki. Panie, jadło się w biegu często, a jak chłody przyszły to w gumiaki papier z worków po cemencie się kładło. I do roboty. Darliśmy do przodu, ile wlezie, ale to była satysfakcja, jak się widziało efekty, ile ten mur poszedł w górę, a ludzie przychodzili i popatrywali, jakby czekali, kiedy skończymy te mieszkania.*

— Gdzie to panu cegły do rąk przymarzały...

— *A, to jak robiliśmy na Skrzywana, takie 3-piętrowe, tradycyjne. Faktycznie zimno już było, ale co tam. Brało się ciepłą wodę na zaprawę, dodawało chloru i się jechało do przodu. Mur stoi i świetnie trzyma. Jak się będziemy tak na budowach pieścić, to niedługo i 20 lat na mieszkanie czekać przyjdzie!*

— Zastanawiał się pan kiedyś, ile tego było, do ilu łódzkich domów dołożył pan swoją cegiełkę?

— *Próbowałem kiedyś zliczyć, z ołówkiem w ręku. Wszystkich przez te lata człowiek nie wspomni, ale ponad 1300 budynków to murowane moja robota.*

— A niech pan przypomni choć niektóre z nich...

— *O rany, dużo tego było, takie na przykład bloki na Krzemienieckiej, Fornalskiej, Żeromskiego, domy przy Narutowicza, Lindleya, szpital przy Spornej, bursa na Żeromskiego, magazyny przy Pryncypalnej, biurowiec Centralnego Laboratorium Włókiennictwa, fabryka domów na Wedmanowej, Teatr Wielki, a w ostatnich latach — bloki przy Świerczewskiego, Głównej, no i SDM.*

— Czyli po „Madalińskim" przyszła „wielka płyta"...

— *Tak, jako jedno z pierwszych w tej technologii budowaliśmy chyba to studenckie osiedle przy Lumumby. Wie pan, „płyta" to wyłącznie przyspieszenie produkcji. W sumie jedyny efekt — zamiast postawić blok w rok, stawiamy w powiedzmy 4 miesiące. Ale co to za blok. Te wszystkie płyty powinny być z idealnego materiału, dokładnie odlane. Płyta nie powinna być ani gładka, ani tłusta, bo wszystko od niej odpadnie — tynk znaczy się. A jakie dostajemy na budowy — wszyscy doskonale wiedzą, czasem to i obtłuczone przywiozą i krzywe także.*

— Budynki z płyty chłodniejsze są jakieś...

— *I cóż w tym dziwnego, skoro ściana ma zaledwie 18—20 centymetrów grubości. Jak się jeszcze dokładnie narożу nie uszczelni i dodatkowo nie ocieplі, to temperatury są w mieszkaniu niskie.*

— Tynków to już chyba się w ogóle teraz nie kładzie, takie to cienkie, nierówne, byle jakie...

— *No kochany, krótki kurs jest widzę niezbędny. Front powinien być zawsze cementowy, wapienka dajemy tylko trochę, by łatwiej było „zatrzeć". A od środka dobry tynk to powinien mieć trzy warstwy: „szpryc", „narzut" i „gładź" czyli „szlichtę". Ale kto tak dziś robi?! Pędzlem trochę rzuci, zacierkę „filcową" zrobi i po kłopocie.*

— I tynk odpada, margiel pryska, a ściany wyglądają, jakby z karabinu maszynowego strzelał...

— *Bo wszystko do kupy się składa: kiepskie wykonawstwo i kiepski materiał. Wiesz pan, że przed wojną wapno zagaszone w ziemi musiało mieć trzy lata? Tłuste musiało być. A dziś? Kto się tam zastanawia nad jakością piasku na przykład? I to tempo: byle szybciej, byle więcej, bo terminy naglą, „goście" zjadą, więc trzeba oddać wyznaczonego dnia. A jakie są efekty takiego wpychania na siłę przedsiębiorstwu do planu dodatkowych budynków...*

— Ale dużo też zależy od samych budowlańców. Ileż to znamy przypadków pozostawiania fuszerek w nowo oddawanych do użytku mieszkaniach. Szkoda papieru na wyliczenie...

— *Też racja, bo tę robotę trzeba lubić, trzeba do niej się przykładać; odwalona byle jak, wcześniej czy później na nas się odbije. Ja, jak już byłem brygadzistą, miałem taki zeszyt, gdzie pisałem sobie co który z moich chłopaków danego dnia robił. I po zakończeniu roboty sprawdzałem każdego — nie było przypadku bym w razie „lewizny" nie kazał poprawiać, nawet kilka razy. Tylko za prawdę to się każdy teraz gniewa.*

— ???

— *A, szkoda wspominać; na Krzemienieckiej kiedyś zwróciłem uwagę kolegom z innej brygady, że byle jak parapety wstawili. Zamiast uszczelnić pakułami, „olkitem" i dać jeszcze „karamzytu", to podparli kołkami i obrzucili lichą zaprawą. Panie, jak by tamtędy wiatr hulał! Zrobili w końcu po mojemu, ale obrażeni byli na mnie jeszcze długo.*

— Wiem, że kiedyś, bodajże przy Głównej jakieś ściany wewnętrzne stawiał pan po swojemu, niezupełnie tak jak przewidywała to dokumentacja.

— *No, może nie do tego stopnia. Ale według planu ściana wchodziła w okno dokładnie. Medytowali jak to przerobić, bo im się teoria z praktyką nie bardzo zgadzała. Naszkicowałem odręcznie jak ja to widzę, fragment ściany takim uskokiem poprowadzić, no i panowie inżynierowie przyznali mi rację.*

— Najbardziej nietypowa pana budowa, to...

— *Chyba jednak SDM. Ze względu na wysokość przede wszystkim, w końcu dwadzieścia cztery piętra, góra gładka jak stół, a tu narożniki trza „odsadzać". Każdego dnia robiłem chłopakom małą pogadankę („Ja do więzienia pójdę, ale ty będziesz kaleką..."). A że zawsze byłem ostrożny, to i przez 32 lata ani ja, ani ludzie co ze mną robili najmniejszego wypadku nie mieli. A jak już który przyszedł do roboty na kacu, to i na górę nie puszczałem.*

— Zna pan powiedzenie „Czy się stoi, czy się leży..."? Do budowlańców to jakoś dziwnie przylgnęło...

— *Wie pan, co człowiek to inna natura. A wystarczy, że się paru opieprza i opinia o wszystkich idzie w świat. Na mnie firma (popularna „jedynka", czyli obecnie kombinat „Śródmieście") zawsze mogła liczyć. Po godzinach, w soboty, trzeba było — to i w niedzielę. Ale w ostatnich latach to już coraz gorsi ludzie do zawodu trafiali. Bez tej chęci do roboty, bez tego szwungu. Byle odfajkować te osiem godzin, przebierze się i już wielkie panisko. A zwróć mu pan uwagę, to się obrazi, zwymyśla starego, słowem niepotrzebnym rzuci.*

— Coś za różowo to pan tej budowlanej przyszłości nie widzisz?

— *Nie, niestety. Surowce, materiały, dobra organizacja roboty — to jedna strona medalu. Ale ludzi się u nas nie docenia. Ilu starych fachowców, jak i ja, odeszło na emeryturę. Mogliśmy jeszcze pracować, ale już tego żaru nie stało. Jakoś się człowiek wypalił. Bo co ja mam po tych 30 latach budowlanej orki? Liche mieszkanie, 6 tysięcy emerytury i oprócz Srebrnego Krzyża Zasługi parę jakichś blaszek. I przez ten czas trzy razy byłem z żoną na wczasach — zawsze Witkowski był na miejscu, na budowie potrzebny. Panie, rok na emeryturze jestem. Za wyjątkiem starych kompanów z budowy, to nikt z firmy nawet tu nie zajrzał, by choć zapytać: — Jak żyjesz stary dziadu? Czasem aż tak za serce ściska...*

Witkowski wstaje, podchodzi do okna. Milczymy. Po chwili gospodarz odwraca się do mnie już w lepszym nastroju.

— *No, nie ma się co roztkliwiać, takie czasy i cześć. Coś panu pokażę...*

Przynosi wyciągniętą gdzieś z pawlacza kielnię.

— *To moja, na pamiątkę sobie wziąłem. Ta jest niemiecka, kolega z NRD przywiózł, patrz pan, porządna, „ciągnięta", z jednego kawałka, nie to co te nasze, składane, pokrzywione. Nawet takich drobiazgów nie umiemy zrobić, a co tu mówić o porządnym wykonawstwie. O, patrz pan tam* — wskazuje na widoczny za oknem szczyt bloku mieszkalnego z pięknym liszajem po tynku. — *Kochany to zawsze będzie odpadać. Dopóki te nieszczęsne płyty będą takie śliskie i gładkie. Jak by to miało jakieś rowki, było po prostu szorstkie — to by tynk trzymał. Proste to, wszyscy o tym wiedzą, a robi się po staremu, szybko, byle jak, byle więcej. Powiedz pan, dlaczego tak u nas jest?...*

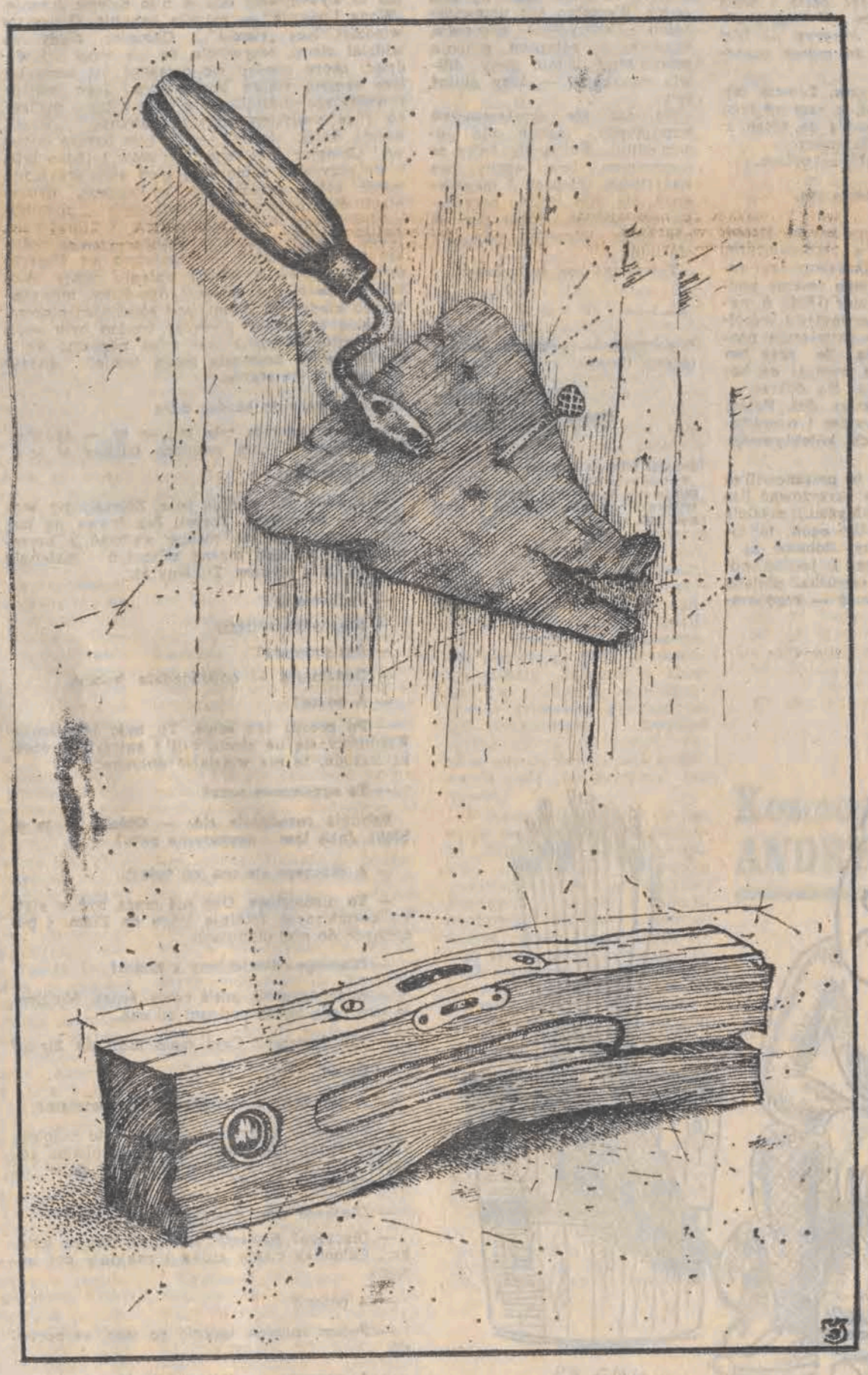

Rys. Janusz Szymański-Glanc

W kręgu fantastyki

STAR-CLUB

Deficytowy ogon

MICHAIŁ PUCHOW

Jestem pracownikiem handlu, ale mam rodzinne powiązania z nauką.

Mam szwagra inżyniera, genetyka. Spotykamy się całymi rodzinami w niedzielę. Kobiety — ledwo drzwi na zasuwę i już babskie ploty. O szmatkach, o fryzurach, no i o mężczyznach. O nas, znaczy się.

A my — siedzimy, pojadamy i prowadzimy filozoficzne dysputy. Szwagier gada niezrozumiałym językiem o różnych problemach, a ja słucham, dopóki mi się nie znudzi. Znudzi się — zadaję głupie pytanie. Na przykład takie:

— Po polsku — pytam — nie można?

— Co? — dziwi się szwagier. — Co takiego?

No to tłumaczę mu, że jego kierunek naukowy znalazł się w ślepej uliczce. Dawno zauważyłem, że uczeni, właśnie gdy znajdą się w takiej uliczce bez wyjścia, wymyślają słowa, których nikt — prócz nich samych — nie rozumie.

— Odrywacie się od praktyki — mówię mu. — A to bardzo źle.

— Jak? — pyta. — Jak to?

— A tak. Na przykład ja już dawno nie spotkałem się w pracy z płodami twojej genetyki. To znaczy, że się odrywacie.

Szwagier strasznie się oburza i któryś raz z rzędu zaczyna o rolnictwie. Wszystkie produkty, niby, które jemy, już od dwudziestu lat nie są takie same, jak były dwadzieścia lat temu. Na przykład koledzy mojego szwagra przeszczepili zbożom geny jakichś motylkowych. W rezultacie pszenica pobiera azot z powietrza, a nie z gleby, jak poprzednio. Jakość chleba nic na tym nie traci, a oszczędza się nawozy azotowe.

— Mam wątpliwości — mówię. — Nie pamiętam, jaki smak miał chleb wcześniej, ale niech będzie. Powiedz lepiej, co robią z tymi zaoszczędzonymi nawozami?...

Przy pomocy takich pytań zabijam dumę szwagra. Ludzie! Mało, że siedzą w ślepej uliczce i wyrażają się przy pomocy niezrozumiałych słów, to jeszcze zatkali sobie uszy i nie rozumieją potrzeb potencjalnego nabywcy. Dla mnie, jako pracownika handlu, jest oczywiste, że wszystkie towary dzielą się na dwie kategorie: towary deficytowe i cała reszta. Czego potrzebuje kupujący? Deficytu. Cała reszta — proszę bardzo, kurzy się w magazynach nikomu niepotrzebna. A deficytowy towar wyrzucili, rozchwytali i dalej go nie ma. A oni — chleb z powietrza robią! A przecież chleb nie jest towarem deficytowym...

Ogólnie — bałagan. Handel interesuje się nauką, a gdzie powiązania w drugą stronę? W tym momencie po raz któryś z kolei opowiada o kawiorze. To ostatnie osiągnięcie mojego szwagra i jego zespołu.

Jakieś dziesięć lat temu zrobili tak, żeby wszystkie ryby miały ikrę taką jak łosoś. Albo ziarnistą — jak kto woli. Nawet żaby składają teraz czerwony, ziarnisty skrzek. Na oko — normalny kawior. Smakowo — w porządku. Pozostałe parametry handlowe też odpowiadają normom. Tylko, że z tej ikry wyrastają nie gorbuszki *), a kijanki. I nikt tego kawioru rzecz jasna, nie kupuje, choć magazyny są nim zapchane. Trzeba uwzględniać psychologię. Towar niedeficytowy i koniec.

— Dobrze — mówię — załóżmy. Ale przecież ten kawior już dawno jest zrobiony. A gdzie nowe osiągnięcia w dziedzinie deficytu?

Dobiłem któregoś dnia tym pytaniem mojego szwagra. Zerwał się, włożył palto i woła swoją połowicę.

— Żono — krzyczy. — Idę! Okazuje się, że muszę pracować.

I zostałem sam. Zawsze tak — powiesz coś, a sam od tego ucierpisz. Dzwonię do niego w poniedziałek do pracy.

„Co słychać?" — pytam.

„Myślimy".

Dzwonię wieczorem.

„Myślimy".

Wiem o czym myślą. Byłem u szwagra w laboratorium. Mają tam mikroskop jak rakieta, a do niego jeszcze podłączony komputer IBM. A naokoło siedzą: szwagier i współpracownicy — rozwiązują problem. Obliczają ile razy ten mikroskop jest większy od badanego obiektu. No dobrze.

Tak przez kilka dni. Potem przyjechał szwagier i przedstawia płody ich kolektywnego rozmyślania.

Okazuje się, że postanowili za pomocą genów skrzyżować lisa z jaszczurką. Myśleli, myśleli i odkryli, że lisi ogon, to towar deficytowy. Robione są z niego kołnierze. I jeszcze odkryli, że jaszczurka posiada cenną właściwość — regenerację organów. Urwiesz jaszczurce ogon — wyrośnie nowy.

— Wyobraź sobie — cieszy się szwagier — jak będzie dobrze! Ciach — obciąłeś lisowi ogon. Na kołnierz. A nazajutrz już wyrósł nowy, jak u jaszczurki.

I to się nazywa rozumieć kupującego! W ogonie najważniejsze to — futro; ciepło, puszystość. A któż będzie sobie szył kołnierz z jaszczurczego ogona? Chyba jakiś nienormalny. No i klimat nie ten.

— Nic z tego nie wyjdzie — mówię i wszystko tłumaczę szwagrowi.

— Ale nam chodzi tylko o regenerację! — cieszy się szwagier. — Ogon będzie lisi, tylko odrastał będzie jak u jaszczurki! Przeszczepić lisowi jaszczurczego ogona akurat nie umiemy. Ten problem naukowy na razie nie rozwiązany.

I ucieka, żeby lisom przeszczepiać geny regeneracji. Sprawa posuwa się naprzód niezależnie od moich wątpliwości. Jestem w kursie, szwagier o wszystkim mi opowiada. Przez telefon, teraz nie ma głowy do spotkań. Praca u nich wre. Najpierw przeszczepiają geny. Potem hodują zarodki. Milion lisich zarodków. „Żeby od razu był efekt przemysłowy — tłumaczył szwagier. — Po gospodarsku".

Zarodki stopniowo rosną i przekształcają się w sympatyczne lisięta. Jedne rudziutkie, inne czarne, bure — do wyboru. Wreszcie następuje moment kulminacyjny — lisięta wyrastają na lisy.

Ale rację miałem ja. Oczywiście, coś tam osiągnęli. Wyhodowali milion listów z odrastającymi ogonami. Obcinasz ogon — na drugi dzień wyrasta nowy. Wszystko jak przewidywano. Uskrzydleni sukcesem, szwagier z kolegami próbują przeszczepić listom geny żółwia morskiego — żeby dłużej żyły.

No tak, ale zainteresowań kupujących jednak nie uwzględnili. Kurzą się teraz te nieszczęsne lisie ogony we wszystkich sklepach i magazynach, ale nikt ich, to oczywiste, nie kupuje. Komu tam są one teraz potrzebne, powiedzcie sami!

Towar nie jest deficytowy!

*) gorbusza — gatunek łososia (przyp. tłum.)

Tłumaczenie: EWA MILERSKA

Źródło: Michaił Puchow „Zwiezdnyje dożdi" Biblioteka Sowietskoj Fantastiki Wydawn.: „Młoda Gwardia", Moskwa 1982 r.

Rys. Dariusz Wąż

Łąka

KAREN A. SIMONIAN

Tego dnia chłopczyk przyszedł ukradkiem do tej części statku kosmicznego, która nazywała się łąką. Panował tu półmrok i nie było nikogo. Obejrzał się jeszcze raz, a upewniwszy się, że jest sam, mimo strachu ruszył naprzód.

Znalazł się wśród delikatnej zieleni i niezwykle jaskrawych kwiatów.

Przy końcu wędrówki usłyszał kroki, więc przybrał obojętny wyraz twarzy i usiadł na ławce, którą, nie wiadomo dlaczego, nazywano na statku kosmicznym „drewnianą". Chociaż nigdy nie widział drzewa, jednak wiedział, że tej ławki z niego nie zrobiono. Na tym statku nie było nic drewnianego, jedynie materiały sztuczne. Na każdym kroku. Żeby chociaż ta jedyna ławka ustawiona w izolowanej części statku była naprawdę drewniana. Wiedział, że ta łąka jest ulubionym miejscem mieszkańców statku. Budziła w nich mgliste, dalekie wspomnienie z rodzinnej Ziemi. Ludzie przychodzili tu w chwilach wielkiej radości lub smutku...

Chłopiec wraz z kilkoma swymi rówieśnikami i rówieśnicami uczył się wielu przedmiotów, które w przyszłości powinny były pomóc mu przedłużyć podróż kosmiczną do dziesiątków, a może i setek lat.

Zawsze z niecierpliwością oczekiwał na tę chwilę, kiedy babcia będzie miała wolny czas i opowie mu bajki z Ziemi, która została gdzieś daleko — daleko w głębi Wszechświata... Bajek było dużo: o górach i bezgranicznych równinach, o nieprzejrzanych oceanach, jeziorach wysokogórskich, o drzemiących dżunglach i miastach. Najbardziej lubiła opowiadać o ukochanej górskiej okolicy, którą uważała za swój kraj rodzinny. Często w opowiadaniach używała słów, których chłopiec nie znał, mimo to wywoływały one w nim dziwne drżenie. „Woda i ziemia" — mówiła babunia. O wodzie wiedział, lecz „ziemia"... Chłopiec nigdy nie widział ziemi, oczywiście, że nie mógł jej widzieć, skoro urodził się dziewięć lat temu na tym samym statku kosmicznym. Jego rodzice również nie widzieli nic z tego, o czym marząco i ze smutkiem mówiła babunia: „Wiatr, deszcz, śnieg, słońce" — to było bardzo dziwne... Chłopiec znał sens tych słów tylko o tyle, o ile przyswoił sobie sens tych abstrakcyjnych pojęć, które wyrażały się w liczbach, działaniach matematycznych i reakcjach chemicznych... Woda — związek tlenu z wodorem. Wiatr — ruch powietrza. Słońce — najpospolitsza gwiazda, jakich jest mnóstwo we Wszechświecie. Słowa o tym brzmieniu miały swój własny świat dla babek i dziadków, mieszkających kiedyś na Ziemi, pod błękitnym niebem. A jakie to niebo? Również trudno było sobie wyobrazić. W ogóle nie mógł pogodzić się z myślą, że w kosmosie mogą istnieć światy większe niż ich statek.

Tak, bajek było bardzo dużo.

— Kiedy miałam tyle lat, co ty — opowiadała babcia — całą gromadą szliśmy w pole.

— Na łączkę?

— Prawie. Na wielkie pole. Zbieraliśmy tam sindz — to roślina. Trawa. Jak trawa na naszej łączce. Jeśli tę roślinę wyrwać z korzeniami, to na nich można zobaczyć maleńkie pęcherzyki z płynem. Żuliśmy to.

— Jedliście je?

— Nie, tylko żuliśmy.

— Bez przerwy?

— Godzinami — odpowiadała babcia.

— A po co?

— Po prostu tak sobie. To było przyjemne. Kładliśmy się na ziemi, żuli i patrzyli w obłoki. Szkoda, że nie widziałeś obłoków.

— To zgęszczona para?

Babunia roześmiała się. — Obłoki — to obłoki. Jaka tam zgęszczona para?

— A dlaczego nie ma ich tutaj?

— To niemożliwe. One nie mogą być w statku kosmicznym. Istnieją tylko na Ziemi i podobnych do niej planetach.

— Dlaczego odlecieliśmy z Ziemi?

— Ażeby znaleźć jakiś nowy świat. Możliwe, że tam będą ludzie podobni do nas.

— Ale dlaczego? Czyż mało ludzi na Ziemi?

— Du-żo!

— A czy Ziemia jest niedobrym światem?

— Ziemia — wzdycha babunia — to najpiękniejszy świat. Nie wiem, czy kiedykolwiek zobaczę inny świat, który miałby choć słabe podobieństwo do Ziemi.

— Dlaczego więc odlecieliście z Ziemi?

— Dlaczego? Niestety, taka jest natura ludzka... Człowiek ciągle szuka i znajduje coś nowego.

— A potem?

— Potem zaczyna tęsknić do tego, co porzucił.

— A potem? — pytał niecierpliwie chłopiec, ponieważ nie interesowały go zbytnio te rozważania. — Co robiliście potem na polu? Żuliście tylko?

— Potem zbieraliśmy kwiaty.

— A jak?

— Zrywaliśmy je z krzaków, układaliśmy z nich bukiety i przynosiliśmy do domu.

— Po co?

— Wkładaliśmy je do wazonów — wspominała babcia — żyły przez parę dni i w pokoju pachniało polem.

— A czy można było je zrywać? — pytał chłopiec.

— Naturalnie. Na Ziemi — można. Było ich dużo. A na statku kosmicznym kwiatów zrywać nie można.

— A czy ja kiedy zobaczę Ziemię? — dopytywał się chłopiec.

— Na pewno. Jeżeli ta podróż uda się.

— Chyba chciałabyś, żeby w twoim pokoju był teraz bukiet — mówił chłopiec.

— Oczywiście — odpowiedziała babcia głosem drżącym ze wzruszenia. I wzdrygnąwszy się dodała:

— Nie trzeba rwać kwiatów na łące. Nawet myśleć o tym nie należy.

— Dlaczego? — spytał, nie wiadomo już który raz, chopiec.

— Ta łąka jest jedynym miejscem, gdzie astronauci czują się jak na rodzimej planecie. To jedyna cząsteczka prawdziwej przyrody, którą przywieźliśmy z Ziemi. A teraz wyobraź sobie gdybyśmy — ja i twoi rodzice — zrywali te kwiaty, to ty i twoje dzieci nigdy nie zobaczylibyście tej łąki. Prawda?

— Prawda! — potwierdził chłopiec.

— Tę łąkę powinniście zachować dla swych dzieci i wnuków, żeby nie wygasł ogień w ich duszach, żeby wiedzieli skąd przybyli i dokąd mają powrócić.

Chłopiec siedział na ławce, którą nie wiadomo dlaczego nazywano „drewnianą". Czekał, aż ścichną kroki.

Potem wstał szybko i zaczął chodzić po łące. Rozchodziła się tu niezwykła woń. Nigdzie więcej na statku kosmicznym nie było takiego miłego, oszałamiającego i niepokojącego zapachu, tylko na łące.

Kwiaty były jaskrawe i różnorodne, z maleńkimi i wielkimi liśćmi. Były takie, które dochodziły chłopcu do pasa. I takie, które były ledwie widoczne w trawie.

Zaczął pospiesznie zrywać największe z nich i najbardziej jaskrawe. Nie umiał robić bukietów — ale to nieważne. Schowawszy naręcze kwiatów pod kurtkę, opuścił łąkę i pobiegł do pokoju babuni.

Drzemała, siedząc w fotelu... Kiedy wszedł, spytała nie otwierając oczu:

— Przyszedłeś?

Chłopiec położył naręcze kwiatów na jej kolanach i powiedział:

— Popatrz, co ci przyniosłem!

Babcia otworzyła oczy i momentalnie zakryła twarz rękami.

— To z łąki — wyznał chłopiec. — Dla ciebie, żeby w twoim pokoju zawsze pachniało polem.

Babcia powinna rozgniewać się, nakrzyczeć na wnuka, ukarać go. Kwiaty zostały zerwane z łąki po raz pierwszy w ciągu pięćdziesięciu ośmiu lat. Lecz babunia po raz pierwszy po pięćdziesięciu ośmiu latach miała kwiaty w rękach tak, jak wtedy na Ziemi, w czasie zbierania sindzu. Babcia zanurzyła twarz w naręcze kwiatów.

Potem ręce jej osłabły z rozpaczy i bukiet upadł na podłogę.

— Coś ty narobił? Coś ty narobił? — jakby z oddali doszedł jej głos.

— Chciałem, żeby w twoim pokoju pachniało polem.

— Precz! Precz!

Chłopiec obrażony, że go wypędzają, podbiegł do drzwi. Otworzywszy je, poczuł nieprzyjemną woń spalonej gumy.

Zatykając nos szedł pustym korytarzem. Było mu ogromnie smutno. Chciał zrobić przyjemność babuni, a tymczasem. Wiedział, że babunia nie wypędziłaby go, gdyby kwiaty były jak należy. Nie wiedział natomiast, że babcia zasmuciła się i rozgniewała dlatego, że odkrył tajemnicę tajemnice łąki. Tę właśnie tajemnicę, którą znało zaledwie kilku ludzi na Ziemi, budujących ten statek kosmiczny.

Łąka również była sztuczna, jak wszystko na tym statku. Okazało się, że sztuką było również i to, że babcia i pozostali astronauci przez dziesiątki lat uważali łąkę za jedyne ogniwo łączące ich z rodzimą planetą, pozostawioną daleko, daleko w nieskończoności Wszechświata.

Ze zbioru nowel fantastyczno-naukowych „Łąka" wyd. „Hajastan", Erewań 1968.

Z ormiańskiego przełożył: BOHDAN GĘBARSKI

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Olsztyńskie spotkania z filmem s-f

ROMUALD SZOKA

Dla większości miłośników gatunku fantastyka naukowa to przede wszystkim literatura: Lem, Strugaccy, Dick, Harrison, kilku innych. Przeciętny fan nie wychodzi często spoza tego kręgu. Jego spotkania z pozostałymi dziedzinami sztuki, na których gruncie s-f przyjęła się i zdrowo owocuje, są nader okazyjne, przypadkowe.

Na przykład film. Zadajmy pożeraczowi Van Vogtów, Tolkienów, czy kolejnych tomów „Spotkań w przestworzach" pytanie: „Jakie widziałeś filmy s-f?" Do pięciu tytułów doliczy bez większych kłopotów obowiązkowo serwując „Gwiezdne wojny". A co z resztą?

Prawdą jest, że polskie kino fantastyczno-naukowe praktycznie nie istnieje, dewiz na zakup tego, co produkuje się na świecie nie ma, a wtedy gdy były — filmy s-f nie cieszyły się wielką popularnością. A przecież science-fiction jest najmodniejszym obecnie na całym niemal globie gatunkiem filmowym! Co w tej sytuacji robić? Są dwa (może ktoś znajdzie więcej?) wyjścia: po pierwsze — kupić sobie magnetowid i kilka kaset, a następnie nagrywać i oglądać do znudzenia niemal wszystko, co dostępne na rynku, po drugie — cieszyć się z tego, co jest.

Niewielu jest ludzi, którzy są w stanie zrealizować pierwszy wariant, niewielu też potrafi wykorzystać wyjście drugie. Ale są tacy, są! I chwała im za to, co robią. Prawdziwymi czarodziejami okazali się olsztyńscy popularyzatorzy filmu z Ośrodka Kultury Filmowej Wojewódzkiego Domu Kultury. Z filmów fantastyczno-naukowych dostępnych w kraju zmontowali program niecodzienny i całkiem atrakcyjny. W dniach 25—28 marca odbyło się bowiem w Olsztynie seminarium filmowe pn. „Wielki spektakl na niebie".

DKF „Za", gospodarz imprezy, znany jest w Olsztynie z przeglądów filmowych mocno trzymających się ziemi, podejmujących najbardziej trudne i drażliwe tematy społeczno-polityczne, jak rasizm, wojna w Wietnamie, czy najnowsza historia Polski. Co zatem przyczyniło się do zerwania z ustalonym schematem i podjęcia nowych prób nowych poszukiwań? Wydawać by się mogło, że to samo, co powoduje wciąż rosnący popyt na literaturę s-f i powstawanie przy Polskim Stowarzyszeniu Miłośników Fantastyki wciąż nowych fanclubów, czyli — dostrzeżenie w fantastyce naukowej istotnej roli dydaktycznej, wartości poznawczych i walorów dobrej, intelektualnej rozrywki. A jednak nie. Jednym, nieprzemyślanym stwierdzeniem na łamach seminaryjnego biuletynu organizatorzy stracili u fanów wiele z zyskanej za „Wielki spektakl..." sympatii. Czytamy tam: „No cóż, dziś inne czasy, inne filmy, inny kierunek poszukiwań DKF „Za". Jedynym wyjściem jest organizowanie imprez czysto filmowych gdyż tylko takie można w pełni zrealizować. Lepiej zatem organizować dobre merytorycznie imprezy poświęcone ewolucji westernu, twórczości A. Hitchcocka, A. Kurosawy, J. Forda, czy właśnie... science-fiction" A więc s-f „zapchaj-dziurą?" Niech i tak będzie, trudno. Najważniejsze, że seminarium, sądząc po frekwencji i reakcjach widowni, osiągnęło swój cel: przysporzyło fantastyce nowych zwolenników i udowodniło, że wciąż jeszcze lekceważony gatunek może również być podniesiony do rangi sztuki.

„Wielki spektakl na niebie" rozpoczęła w piątkowe popołudnie projekcja pierwszego filmu fantastycznego, zrealizowanego niemal od A do Z przez jednego człowieka, genialnego prekursora kinematografii z Montreuil, Georges'a Meliesa O tym pochodzącym z roku 1902 filmie, jak i wyświetlonej tego samego wieczoru „Odysei kosmicznej" Stanleya Kubricka pisałem już na łamach naszej kolumny (vide — „Odgłosy" nr 9/83 i nr 13/83), toteż mimo wielkiej rangi obu tych obrazów, poprzestanę tylko na podaniu ich tytułów.

Warto natomiast zatrzymać się chwilę przy „Solaris" Andrzeja Tarkowskiego, filmie prezentowanym przy pustej niemal sali, a będącym udaną próbą (co się rzadko zdarza) przełamania kanonów komiksowości s-f i potraktowania tematu poważnie. Przekładając powieść Stanisława Lema na język filmu Tarkowski słusznie zrezygnował z wiernego kopiowania literackiego pierwowzoru i wydobył zeń to, co na ekranie mogło liczyć na właściwy odbiór widza. A więc ciągłe powroty Bertona do minionych na zawsze wydarzeń, swobodne manipulowanie czasem narracji, katusze Harey i lodowe oblicze Sartoriusa. Film trwa może zbyt długo, ale gdy od samego początku poddamy się niezwykłemu klimatowi tajemnicy i fatalizmu, czas przestaje dla nas istnieć. Jedynie miejscami, zwłaszcza w ostatnich sekwencjach, patetyczne i nie pasujące do filmu monologi, których reżyser nie ustrzegł się również w „Stalkerze", powodują że z powierzchni „serdecznej" Solaris powracamy nagle do ciemnej sali, gdzie za plecami terkocze projektor i niecierpliwie czekamy, aż Snaut skończy wreszcie swą kwestię.

Tego samego dnia organizatorzy seminarium przygotowali projekcję czeskiego filmu animowanego, nad którym pracował znakomity francuski rysownik, Ronald Topor. Miłośnicy jego twórczości znajdą w „Dzikiej planecie", bo o ten film chodzi, wspaniałe baśniowe wizje innego świata, szereg dowcipnych i zaskakujących rozwiązań plastycznych, zaś wszyscy miłośnicy s-f — zgrabną wartką akcję operującą symboliką zarówno klasycznej „science-fiction", jak i coraz popularniejszej „fantasy".

Rzecz w tym, że na pewnej planecie ludzie znajdują się we władaniu łysych i do tego chabrowoskórych olbrzymów, Drogów. Są dla nich szkodnikami, które należy tępić. Tylko przez przypadek narrator-człowiek zostaje udomowiony i ratuje swe życie. Dzięki niezwykłej pracowitości potrafi wiele nauczyć się od olbrzymów a swą wiedzą dzieli się z „dzikimi" ludźmi, do których ucieka. Razem budują statki kosmiczne i uciekają na sąsiednią planetę Tam odkrywają sposób na pokonanie Drogów i niszczą ich Film kończy optymistyczna wizja zjednoczonego, ludzko-drogowskiego społeczeństwa

„Zemsta kosmosu" (tytuł oryginalny: „The Quatermass Experiment") Vala Guesta znalazła się na pokazie w miejsce NRD-owskiej „Milczącej gwiazdy" Choć oba filmy są raczej miernych wartości artystycznych, to jednak „Zemsta" dystansuje ekranizację „Astronautów" brawurową akcją w stylu przedwojennych dreszczowców z monstrami Film nakręcono w Anglii w 1955 roku

Powraca na Ziemię rakieta kosmiczna Z trzech członków załogi pozostaje jednak tylko jeden. Victor Carroon, dwaj zaś „dematerializują się" w nie wyjaśnionych okolicznościach. Autor eksperymentu profesor Quatermass, umieszcza znajdującego się w głębokim szoku psychicznym Carroona w szpitalu, skąd „wykrada" go żona. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie jest to faktycznie jej mąż, lecz monstrum z kosmosu ukryte w jego ciele, przekonujemy się o tym wcześniej widząc, jak potwór (ulegający stopniowej przemianie w pozaziemski organizm) morduje siostrzeńca pani Carroon. Policja ma teraz niełatwe zadanie: odnaleźć wędrujące po ulicach Londynu monstrum i zabić je zanim zacznie się rozmnażać, gdyż to groziłoby zagładą ludzkości. W ostatniej niemal chwili potwór zostaje zlokalizowany w Westminster Abbey i zniszczony prądem. Jakby nie pomiętając o dopiero co zakończonych wypadkach profesor Quatermass zapowiada kontynuowanie badań kosmosu.

Kolejny z prezentowanych filmów fantastyczno-naukowych, „Alphaville", to dzieło samego Jean-Luc Godarda, jednego z czołowych przedstawicieli francuskiej „nowej fali". Bohaterem filmu jest Lemmy Caution vel Yvan Johnson, tajny agent przybywający do Alphaville z odległych o miliony lat świetlnych „światów zewnętrznych" jako korespondent dziennika „Figaro-Prawda" Jego zadaniem jest odnalezienie wygnanego ongiś z Ziemi szalonego naukowca, profesora Nosferatu. W Alphaville Nosferatu znany jest jako profesor von Braun, konstruktor komputera Alpha-60 zarządzającego miastem według żelaznych reguł logiki. Ludzie nie potrafiący się przystosować skazywani są na śmierć, a egzekucje są efektownym widowiskiem dla elity. Caution, jak każdy przybysz „z zewnątrz" poddany zostaje badaniom przez komputer. Okazuje się niebezpieczny dla istniejącego porządku i grozi mu śmierć. Udaje mu się jednak zbiec, zniszczyć Alphę-60, zamordować profesora i wraz z jego córką, Natašzą von Braun, opuścić umierające bez komputera miasto.

Dużą zasługą Godarda jest tu fakt, że wraz z autorem zdjęć Raoulem Coutardem, potrafił nie uciekając się do kosztownych dekoracji, niezbędnych do produkcji większości filmów fantastycznych, wyczarować samą tylko kamerą „pozaziemski świat", świat przyszłości. Zdjęcia, w których dominuje mocne, pulsujące, zmieniające swe natężenie światło, wykonano w nocy na ulicach Paryża.

„Alphaville" to rodzaj wróżby, czy też ostrzeżenia do czego dąży świat, to sublimacja lęku Godarda przed światem wrogim jednostce, światem, w którym komputeryzacja życia sprzyja wypaczaniu się psychiki, powstawaniu społeczeństwa pozbawionego uczuć, „Alphaville" to również nadzieja Godarda, że nie wszystko stracone. Wszak córka profesora von Brauna potrafi dostrzec wartość poezji, uczy się też obcych jej pojęć: „świadomość" „radość", „miłość"...

Prawdziwą atrakcją była projekcja rozpowszechnianego sporadycznie w DKF-ach i nie znanego szerszej widowni filmu Piotra Szulkina „Wojna światów". To dzieło dedykowane Herbertowi George'owi Wellsowi, autorowi klasycznej już dziś powieści „Wojna światów" i Orsonowi Wellesowi, twórcy słuchowiska radiowego o inwazji Marsjan, które wywołało swego czasu panikę w Stanach Zjednoczonych, ma wiele punktów stycznych z powieścią „1984" George Orwella. I choć Szulkin nie umieścił w czołówce trzeciego nazwiska jasne jest, że Orwell wpływ na niego na pewno miał; ten sam nastrój, te same rekwizyty, zbliżona symbolika. Film godzien jest osobnego rozpatrzenia, co nastąpi niebawem.

Sam reżyser, mimo zapowiedzi, nie przybył do Olsztyna, czym niezmiernie rozczarował swoich sympatyków. Zanosiło się na ciekawe spotkanie.

Powstałą w ten sposób lukę organizatorzy wypełnili „Czułymi miejscami" Piotra Andrejewa, filmem powszechnie znanym, wielokrotnie recenzowanym i przez to nie wymagającym komentarza. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że i tu, jak w opisanym już „Alphaville", z powodzeniem zrezygnowano z tworzenia w atelier nowych światów, wykorzystując niezmiernie zróżnicowaną, fotogeniczną, pełną onirycznego klimatu, architekturę Łodzi.

Ale to nie wszystko. Przed nami jeszcze kilka tytułów filmów fabularnych, filmy dokumentalne z ambasady USA o podboju kosmosu, trochę niezbyt pasujących do charakteru imprezy kreskówek. No, i zaproszeni prelegenci. Skończmy jednak z przedstawianiem filmów.

Dużą niespodziankę sprawił kinomanom i miłośnikom fantastyki Andrzej Wajda. Co prawda sprawił ją już piętnaście lat temu, ale i teraz nie każdy wie, że autor „Ziemi obiecanej", „Panien z wilka", „Człowieka z marmuru", filmów od początku do końca realistycznie i trzeźwo rysujących świat, nakręcił także i film fantastyczny. Wajda oparł się na Lemie, który jest zresztą autorem scenariusza, zaangażował do roli pechowego kierowcy rajdowego Foxa znakomitego Bogumiła Kobielę i tak powstał błyskotliwy żart filmowy pt. „Przekładaniec". Red. Andrzej Kołodyński z tygodnika „Film" stwierdził na łamach seminaryjnej gazetki, że „Wajda nie ma dobrej ręki do fantastyki. Jest to gatunek dla niego za ciężki". Możliwe. Jednak „Przekładaniec" to tylko dowcip, a ogląda się go z zapartym tchem tarzając się wprost ze śmiechu.

Programu filmowego imprezy dopełniły znane doskonale i wciąż popularne „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" Stevena Spielberga, komiksowa „Barbarella" Rogera Vadima z Jane Fondą, nieśmiertelna „Planeta małp" Franklina J. Schaffnera, „Saturn-3" Stanleya Donena i maraton „Gwiezdne wojny" + "Imperium kontratakuje". Na tym ostatnim pokazie w sobotni wieczór, było naprawdę gorąco i podobno znowu pojawiły się nie widziane w Olsztynie od dawna „koniki"

Nie wszyscy zaproszeni goście odwiedzili seminarium. Nie było Piotra Szulkina nie przyjechał red. K. Kreutzinger z „Filmu", który przedstawić miał nowości filmu s-f. Nie zawiódł natomiast redakor Kołodyński, największy w kraju spec od filmu fantastyczno-naukowego. Już pierwszego dnia, w przerwie między „Podróżą na Księżyc" a „Odyseją kosmiczną" wszedł dziarskim krokiem do sali projekcyjnej i wygłosił krótką mowę nt. poetyki filmów science-fiction oraz przedstawił swój „fantastyczny" rodowód.

W komplecie zjawiła się też ekipa redaktorów z miesięcznika „Fantastyka", liczbą delegatów opanowując całkowicie „mówioną" część seminarium. Wystąpiła na czymś w rodzaju konferencji prasowej przedstawiając genezę i działalność pisma oraz odpowiadając na pytania widowni. Z programem solowym wystąpił zaś Maciej Parowski, który zademonstrował na przykładzie s-f związki między komiksem, literaturą, a filmem oraz Andrzej Wójcik, w roli mecenasa młodej polskiej prozy s-f.

W ostatnim dniu seminarium odbył się ponadto wieczór poezji gwiezdnej Stefana Połoma oraz odczyt dr K. Schillinga z olsztyńskiego planetarium nt. „Fantastyka a rzeczywistość".

Dobrze było Mogło być lepiej, ale i mogło nie być wcale. Dlatego uważam „Wielki spektakl na niebie" za udaną imprezę. Oby znaleźli się naśladowcy!

■

Zamierzenia wydawnicze 1983

Kontynuujemy prezentowanie zamierzeń poszczególnych wydawnictw w zakresie fantastyki.

Przypominam oznaczenia:
F — fantasy
SF — fantastyka naukowa
JSF — fantastyka naukowa dla młodzieży
JF — fantasy dla młodzieży
L — pozycje o literaturze

Wykaz opracował Marek S. Nowowiejski MD.

NASZA KSIĘGARNIA

JF 1. L. Frank BAUM — Dorota u króla Gnomów (wyd. 2)
JF 2. Cecil BODKER — Jerutte z Lisiej Polany
JF 3. Lech BORSKI — Talizman z błękitnego kraju
JF 4. Jan BRZECHWA — Pan Kleks (wyd. 4)
JSF 5. Kirył BUŁYCZOW — Było to za sto lat (Klub 7 Przygód). Alicja
F 6. Gotfryd BÜRGER — Przygody Münchhausena (wyd. 3)
SF 7. Dariusz FILAR — Jeszcze jedna podróż Guliwera (Stało się Jutro)
SF 8. Gabriela GÓRSKA — Piekielny trójkąt (K7P?)
JF 9. Tove JANSSON — Lato Muminków (wyd. 4)
JF 10. Tove JANSSON — Zima Muminków (wyd. 4)
JF 11. L. J. KERN — Zbudź się, Ferdynandzie (wyd. 3)
JF 12. Maria KONOPNICKA — O krasnoludkach i sierotce Marysi (wyd. 12)
JF 13. Janusz KORCZAK — Król Maciuś Pierwszy (wyd. 9)
JF 14. Anna LEWKOWSKA — Strach w Salonie Gier Automatycznych
JF 15. A. A. MILNE — Dawno, dawno temu
JF 16. J NAWROT — A w Patafii nie bardzo
JF 17. A ONICHIMOWSKA — Duch starej kamienicy
18. Opowieści o nieumierającym świecie (ed. Stefania Wortman)
JSF 19. Joanna PAPUZIŃSKA — Wędrowcy
JF 20. Jerzy RATAJCZAK — Opowieści o początku świata
JF 21. George SAND — Mówiący dąb (wyd. 2)
JF 22. Lilius Irmelin SANDMAN — Królowa Sola
SF 23. Jacek SAWASZKIEWICZ — Mistyfikacje (stało się Jutro)
JF 24. Marta TOMASZEWSKA — O nieszczęśliwej księżniczce Irribindži, dzielnej Czoro-Moro i Peterze Piracie
JF 25. Maciej WOJTYSZKO — Saga rodu Klaptunów
SF 26. Andrzej ZIMNIAK — Szlaki istnienia (SsJ)

KAW

1. Alfa 7
SF 2. Czesław BIAŁCZYŃSKI — Miliardy białych płatków (FPR)
SF 3. Krzysztof BORUŃ — Małe zielone ludziki (FPR) 1/2
L 4. Leszek BUGAJSKI — Spotkania drugiego stopnia (Kraków)
5. Dr Jekyll i Mr Hyde (komiks, wyd. 2)
SF 6. Adam HOLLANEK — Kochać bez skóry (FPR)
SF 7. Adam HOLLANEK — Olśnienie (FPR zeszyt)
SF 8. Adam HOLLANEK — Ta płaska bomba (FPR)
SF 9. Jerzy JASIŃSKI — Tarapaty praprawnuków (Szczecin)
JF 10. Maria KRÜGER — Karolcia (wyd. 7)
JF 11. Konstanty KURBATOW — Prorok z VIIIb (Seria z Tulipanem)
SF 12. Stanisław LEM — Bajki robotów (wyd. 2)
F 13. Waldemar ŁYSIAK — MW (Kraków)
F? 14. Michał MARKOWSKI — Pajęczyna po drugiej stronie księżyca (FPR)
SF 15. Tadeusz MARKOWSKI — Umrzeć by nie zginąć (FPR zeszyt)
SF 16. Janusz i Sławomir MIL — Exodus VI (FPR zeszyt)
SF 17. Julia NIDECKA — Gonząc za słońcem (FPR)
18. Ogień nad tajgą (komiks)
SF 19. Zbigniew PROSTAK — Planeta zielonych widm (FPR)
L 20. Andrzej PRUSZYŃSKI — Budowniczowie gwiazd 2 (Francja)
SF 21. Spotkania w przestworzach 3
SF 22. Spotkania w przestworzach 4
F 23. Dorota TERAKOWSKA — Władca Lewanu (Kraków)
JSF 24. Marta TOMASZEWSKA — Niezwykłe odwiedziny
JSF 25. Marta TOMASZEWSKA — Powrót Tapatików
SF 26. Andrzej TREPKA — Końcówka (FPR)
SF 27. Stefan WEINFELD — Zamieszkała planeta (FPR)
SF 28. Marcin WOLSKI — Numer (Współczesna Proza Polska)
L 29. Andrzej WÓJCIK — Wizjonerzy i szarlatani
SF 30. Janusz A. ZAJDEL — Cała prawda o planecie Ksi (FPR zeszyt)
SF 31. Wiktor ŻWIKIEWICZ — Imago (FPR) 1/2

■

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

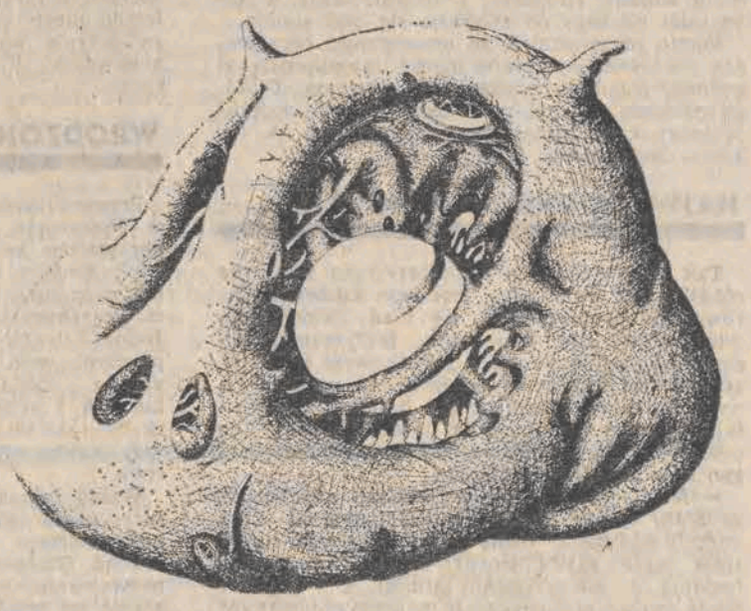

Ciało pełne tajemnic 2

Każdy może zostać mini-Harrisem

Telepatia, czy nawet telekineza czyli powodowanie myślą pewnych mechanicznych działań wydają się niezaprzeczalnymi faktami. Gdy eksperymenty telekinezyjne demonstrowano w tv, dzieci — szczególnie podatne do nauki „sztuczek" psychotronicznych — natychmiast zabierały się do niszczenia metodą mentalną ślubnych kompletów sztućców swych rodziców. Dla zabawy, metodą telekinezyjną, czyli na odległość, gnąc je.

— *Pewien chłopczyk był obecny przy moich działaniach uzdrowicielskich* — wspomina Jan Putkowski, psycho- i bioterapeuta, teleradiesteta i jasnowidz z Bełżca, jak sam o sobie powiada. — *Gdy po pewnym czasie chłopczyk ten usłyszał, że jedną z sąsiadek boli kręgosłup zaofiarował się: — ja pokażę jak to się leczy! I pokazał. W dodatku tak skutecznie, iż sąsiadka z miejsca wyzdrowiała. Kiedy przyniosła chłopcu 300 zł do skarbonki, jako dowód wdzięczności, mały poczuł się uzdrowicielem. Zaczął leczyć w szkole i w domu każdego, kto tylko wspomniał, że coś mu dolega.*

— *Można się cieszyć, że chłopiec ma takie uzdolnienia* — powiada J. Putkowski — *Trzeba jednak przestrzec jego rodziców, iż uzdrawianie bioprądami to bardzo niebezpieczne działanie dla osoby, która nie przestrzega pewnych zasad.*

BHP RADIESTETY

— *Znam przypadki, że bioterapeuci czy inni radiesteci* — mówił on dalej — *przejmowali na siebie chorobę leczonej osoby. Może to się przejawić także np. utratą czucia w ręce. Według mojego rozeznania dopiero po ukończeniu 25 lat życia można zacząć uprawianie bioterapii. I to koniecznie po odpowiednim przeszkoleniu.*

Podstawową zasadą bhp we wszelkich działaniach radiestezyjnych jest tzw. uziemienie. Ci, którzy obserwowali J. Putkowskiego na spotkaniu zorganizowanym przez redakcję „Expressu Ilustrowanego" i Poleski Dom Kultury zauważyli, iż podczas wykonywania zabiegów co chwila podchodził do ściany i uderzał w nią palcami obu dłoni. Wyjaśniał przy tym:

— *Kiedy czuję mrowienie lub dłonie zaczynają mi się pocić, wiem, że najwyższy czas uziemić przejęte od chorego bioprądy. Kto zapomina o tej czynności płaci swoim zdrowiem. Ja dodatkowo zabezpieczam się mentalnie przyjmując konwencję, że bioprądy chorego mogą dotrzeć jedynie do przegubów moich dłoni.*

Podobnie uziemia się, czyli rozładowuje różdżkę czy wahadełko. Wie o tym każdy sprawny radiesteta. Początkujący i dla zabawy eksperymentujący z różdżką lub wahadełkiem zapominają o tym podstawowym kanonie. Inny kanon z dziedziny bhp każdego radiestety, a szczególnie bioterapeuty to czuwanie, aby nadmiernie nie wyładować się z bioprądów. Jeden z łódzkich radiestetów wspomina, iż w początkach swej działalności z różdżką nadmierną usłużność wobec osób pragnących odpromieniować mieszkanie przypłacił dość długotrwałym pobytem w łóżku, tak wyczerpał się z sił.

— *Jak można w przyspieszonym tempie doładować się po nadmiernym wydatku bioprądów, każdy musi sam dojść drogą indywidualnych eksperymentów* — powiada J. Putkowski. — *Podobnie jak każdy, drogą doświadczeń, może też ujawnić swe zdolności uzdrowicielskie.*

RÓŻDŻKA ALBO DŁOŃ

— *Radiestezja to zupełnie naturalna umiejętność człowieka. Uznanie radiestezji i różdżkarstwa nie polega na wierze w siły nadprzyrodzone, lecz na stwierdzeniu faktów i zjawisk istniejących w naturze* — powiada Jacek Papiewski, sekretarz warszawskiego Stowarzyszenia Radiestetów.

A więc żadne czary. Wiele osób używa zamiennie określeń radiesteta i różdżkarz. Warto więc wyjaśnić, iż są to całkowicie różne określenia. Pierwszym z nich określa się zdolność pewnego typu promieniowania powszechnie występującego w przyrodzie. Najbardziej znanym jest promieniowanie cieków podziemnych, promieniują jednak także minerały i przeróżne przedmioty. Do ich wykrywania skonstruowano wiele odmian różdżek i wahadełek. A więc osoba posługująca się różdżką nazywana jest różdżkarzem, wahadełkiem — wahadlarzem itd.

Początkujący różdżkarze i wahadlarze przywiązują ogromną wagę do swego narzędzia. Oczywiście, w pewnych sytuacjach materiał z jakiego jest ono wykonane oraz typ odgrywają ważną rolę. Przy stawianiu pierwszych kroków jest to jednak obojętne. Jan Majewski powiada, że różdżka czy wahadełko to jakby wskazówki zegara, które co prawda pokazują czas, ale nie są mechanizmem odmierzającym go. Podobnie jest z różdżką i wahadełkiem. Są one wskazówką, że organizm radiestety zareagował na określone promieniowanie. Niektóre osoby tych przyrządów wcale nie potrzebują. Zastępuje je im ręka. Wystawiają ją do przodu jak idący ślepiec i wyraźnie odczuwają zmiany natężenia promieniowania w zależności od tego co znajduje się pod ziemią.

Warto przypomnieć, że umiejętność reagowania na promieniowanie mamy zakodowaną w genach, podobnie zresztą jak zwierzęta. Dlatego dziecko, czy np. pies instynktownie zajmują miejsca najmniej napromieniowane. A np. kot — najbardziej.

NAJWYGODNIEJ — MENTALNIE...

Tak więc aparatem radiestezyjnym jest nie różdżka czy wahadełko, lecz sam człowiek. Zarówno od predyspozycji, jak i od mozolnego wieloletniego treningu zależy, jaki stopień doskonałości osiągniemy. Jan Putkowski powiada, że jeśli już ktoś zna zasady badań radiestezyjnych, to może błyskawicznie nauczyć się mentalnie prowadzić badania terenu. Czyli po prostu od razu umysłem odbierać reakcje organizmu na promieniowanie.

— *Kiedy rozeszła się po okolicy wiadomość, że Mały Janek, jak mnie nazywano od lat, potrafi wykrywać różne promieniowania, ludzie stale mnie gdzieś wozili, żebym prowadził badania w poszukiwaniu studni, a wkrótce także miejsc niebezpiecznie napromieniowanych w ich mieszkaniach, oborach i stajniach* — wspomina J. Putkowski. — *A ja mam pod Bełżcem gospodarstwo ze sporą pasieką i trudno mi było bezustannie zostawiać wszystko na głowie żony. Co prawda teraz już się przyzwyczaiła, że moje życie to służenie bliźnim. Wtedy jednak jeszcze protestowała przeciw moim wyjazdom. Kiedy więc dostałem kolejne wezwanie od człowieka spod Włodawy cierpiącego od 15 lat na reumatyzm, usiadłem nad tym listem i głęboko skupiłem się. W myślach przeniosłem się do domu tego człowieka i krążąc — w wyobraźni — po jego pokoju przeprowadziłem badanie radiestezyjne. Następnie posłałem mu list, w którym poradziłem aby przestawił łóżko, gdyż stoi ono na skrzyżowaniu wodnych cieków. Po roku dostałem list, w którym ten człowiek dziękował mi informując zarazem, że reumatyzm już mu nie dokucza.*

To były początki. Dziś J. Putkowski zaliczany jest do grona uznanych teleradiestetów. Podobnie jak i S. Nardelli, na odległość, także telefonicznie, przekazuje on swe uzdrowicielskie bioprądy. Trzeba tu jednak zastrzec, iż teleradiestezja jeszcze bardziej wyczerpuje organizm niż radiestezja. Dlatego stosujący ją muszą wciąż pamiętać o długich, czasem wielotygodniowych, przerwach na odpoczynek.

TELERADIESTETA STAWIA PYTANIA

Na świecie są już uczelnie, w których można zdobywać wiedzę psychotroniczną. Najwyższy stopień wtajemniczenia każdy musi jednak osiągnąć sam. Tylko wtedy metody badań będą optymalne dla danej osobowości. Podobnie jak radiesteta, tak i teleradiesteta może posługiwać się różnymi technikami. Niektórzy wodzą różdżką czy wahadełkiem po planie terenu lub sylwetce człowieka szukając odpowiedzi na postawione sobie pytanie, czy to o żyłę wodną, czy o miejsce ukrycia zwłok, czy też wreszcie o lokalizację choroby. Inny znów teleradiesteta długo koncentruje się z zamkniętymi oczyma, a następnie wolno wodzi dłonią po mapie i po chwili oznajmia: tu jest najlepsze miejsce na studnię.

Oczywiście nie zawsze takie ekspertyzy sprawdzają się. Zależy to od bardzo wielu czynników, o których uprzednio była już tu mowa. J. Putkowski powiada jednak, że jego zdaniem jeszcze bardziej od mentalnej może być myląca technika polegająca na użyciu wahadełka. Tłumaczy to tym, iż praktycznie niemal każdy człowiek, który weźmie w rękę wahadełko spowoduje, iż będzie ono reagowało. Mało doświadczony nie uświadomi sobie jednak, iż ta reakcja jest wynikiem sugestii, której eksperymentator nie potrafił wyeliminować.

Podobno łatwiej jest bez żadnego narzędzia doprowadzić umysł do idealnej koncentracji, która umożliwi postawienie właściwej diagnozy. Tak przynajmniej twierdzi Putkowski. Ale jednocześnie zastrzega się, iż nigdy nie można być przesadnie pewnym siebie. Dlatego radzi bezustannie kontrolować wyniki, tak jak i on to czyni przy każdej nadarzającej się okazji.

Radiestezyjne, jak i teleradiestezyjne badanie chorego człowieka odbywa się na podobnej zasadzie, jak np. badanie jakiegoś terenu. Tyle, że badając człowieka wodzimy wahadełkiem lub choćby tylko myślą po jego ciele i pytamy sami siebie, które organy ma chore. Odpowiedź zależy od pytającego. Niektórzy otrzymują ją w formie np. mrowienia. S. Nardelli i J. Putkowski powiadają, że dotykając chorego organu badanej przez siebie osoby odczuwają u siebie ból tego organu. Czołowi uzdrowiciele, ci którzy na co dzień współpracują z lekarzami i klinikami powiadają, iż te informacje o diagnozie pozostawiają dla siebie. Pouczają tych którzy dopiero rozpoczynają działalność bioterapeuty: chorego o jego dolegliwościach niech zawsze informuje lekarz, ty masz go jedynie wspomóc swoimi uzdrowicielskimi bioprądami. Nigdy nie staraj się wyręczać lekarza.

WRODZONE UZDOLNIENIA

Przewodniczący Stowarzyszenia Radiestetów w Warszawie, znany eksperymentator i autor poczytnych książek z dziedziny psychotroniki, Lech Emfazy Stefański powiada, że uzdolnienia paranormalne wcale nie stanowią rzadkości. Przyrównuje je do uzdolnień artystycznych. Jedne i drugie ujawniają się nieoczekiwanie u pewnych osób często już w dzieciństwie. Rozwijane i kształcone uzdolnienia paranormalne, tak jak i artystyczne, osiągają coraz większą skalę — aż do wirtuozerii. Natomiast puszczone samopas pozostają wciąż na szczeblu amatorstwa.

Warto jednak wspomnieć także o pewnej różnicy: uzdolnienia paranormalne w pewnych okolicznościach mogą w jednym momencie zaniknąć. Czasem powodem może być silne zdenerwowanie, u kobiety zanik taki może nastąpić po urodzeniu dziecka. Nie jest to jednak bezwzględną zasadą, stwierdzono też przypadki powrotu utraconych na pewien okres uzdolnień, zaliczanych do psychotroniki.

W psychotronice, która operuje w nieznanych wciąż pokładach ludzkiego organizmu trzeba liczyć się z przeróżnymi niespodziankami. Niektórzy uczeni powiadają, iż właśnie z tej przyczyny parapsychologii wciąż nie uznają za gałąź nauki — eksperymenty nie zawsze są powtarzalne. Inni uczeni replikują, że organizm ludzki to zbyt skomplikowany twór, aby działał niezmiennie, jak zaprogramowany automat.

Lech E. Stefański — w oparciu o swe bogate doświadczenie stwierdza, że każdy może zostać mini-Harrisem na użytek domowy. Ci, którzy zechcą to brać dosłownie, niech jednak wezmą poprawkę zgodnie z wyłożonymi wyżej zastrzeżeniami. Zdaniem L. E. Stefańskiego bez trudu można nauczyć się usuwania bólów głowy.

Nie każdy może natomiast zostać wybitnym uzdrawiaczem — wywodzi dalej L. Stefański. Jeśli zaś ktoś okaże się wybitnie utalentowany, to musi bardzo uważać, by nie dać się uwieść powodzeniu, zwłaszcza finansowemu. Trzeba więc mieć także mocny kręgosłup moralny — konkluduje prezes stołecznych radiestetów — gdyż łatwo ześliznąć się z drogi pomocy ludziom na działalność wątpliwą etycznie.

Na potrzebę skromności i bezinteresowności w służeniu ludziom cierpiącym zwracają także uwagę wszyscy wybitni bioterapeuci. Znany już łodzianom ze spotkań w Poleskim Domu Kultury Jacek Papiewski powiada wręcz, że przystępując do jakichkolwiek działań radiestezyjnych należy w myśli przyjąć założenie, iż służymy dobru. Gdybyśmy zechcieli używać radiestezji, aby szkodzić ludziom — organizm zbuntuje się.

To samo zastrzeżenie czyni też Jan Putkowski. Zaleca on także, abyśmy przed rozpoczęciem właściwego biozabiegu sprawdzili czy łączy nas z pacjentem „linia sympatii". Czyli — jak to określają inni — zbadali zgodność bioprądów. Można to uczynić różdżką, wahadełkiem lub po prostu mentalnie.

Publikowane od czasu do czasu w „Odgłosach" moje „Tajemnice ludzkiego ciała" czy też rubryka w „Expressie" zatytułowana „Radiestezja na własny użytek" nie są absolutnie podręcznikiem uzdrowicielstwa czy radiestezji. Mają one służyć jedynie zaspokojeniu ciekawości tych, którzy osobiście nie są w stanie słuchać i podpatrywać w działaniu psycho- czy bioterapeutów, a zagadnienia te fascynują ich. Jeśli ktoś sam zechce stać się mini-Harrisem na domowy użytek — niech eksperymentuje.

UZDRAWIAJĄCE ODPROMIENIOWANIE

J. Putkowski — jak sam to podkreśla — swe działania uzdrowicielskie rozpoczyna zawsze od odpromieniowania. Najpierw odpromieniowuje mieszkanie, w którym ma uzdrawiać, a następnie chorego lokatora tego mieszkania. Już po takim podwójnym odpromieniowaniu bardzo często ustępują na zawsze dokuczliwe bóle głowy i inne dolegliwości.

O odpromieniowywaniu mieszkania, na przykładzie sali, w której odbywało się spotkanie, była mowa już wcześniej. Odpromieniowanie chorego J. Putkowski przeprowadza w następujący sposób:

Prawą rękę radiesteta trzyma z tyłu głowy osoby siedzącej swobodnie z zamkniętymi oczami. Dłoń radiestety jest rozprostowana, palce zwarte. Jednocześnie różdżką trzymaną w lewej ręce bioterapeuta trzykrotnie zatacza koło nad głową chorego. Czwarte koło nie zostaje zamknięte. Putkowski wyjaśnia, że kierując koniec różdżki na zewnątrz „wyprowadza prądy".

— *Jeśli po takim działaniu wasz pacjent przestanie uskarżać się na ból głowy czy inną dolegliwość będziecie mieli dowód, że posiadacie pewne uzdolnienia uzdrowicielskie* — stwierdza J. Putkowski. I zaraz przestrzega: — *Pamiętajcie jednak, że nie można ot tak, wejść do kogoś i z miejsca rozpocząć leczenie bioprądami. Niezbędne jest odpowiednie przygotowanie psychiczne — zarówno leczącego, jak i leczonego.*

— *Gdyby pomimo takiego odpromieniowania ból głowy nie minął, należy postąpić następująco* — poucza J. Putkowski: — *odpowiednio skoncentrowani krzyżujemy dłonie — lewą nad prawą — i zawieszamy je na wysokości około pół centymetra nad głową chorego. Jeśli emanujemy odpowiednio silne bioprądy, chory będzie twierdził, że czuje, iż położyliśmy mu dłonie na głowie, choć wcale go nie dotykamy. Odczucia są zresztą indywidualne. Inni pacjenci powiadają, że czują, iż włosy stają im na głowie, a jeszcze inni stwierdzają, iż drętwieje im cała głowa.*

Czasem takie ułożenie rąk trzeba powtórzyć kilkakrotnie zanim chory odczuje jakieś reakcje. Należy wówczas, jak zresztą zawsze podczas eksperymentowania z bioprądami, pamiętać o bhp radiestezyjnym tzn., aby po każdym ułożeniu rąk uziemić je uderzając palcami o ścianę. A także systematycznie „doładowywać się", o czym już wcześniej była mowa.

— *Jeśli nasz pierwszy pacjent orzeknie nagle, że dokuczliwe migreny na stałe minęły, nie wyciągajmy z tego wniosku, że już jesteśmy „uzdrowicielem"* — przestrzega J. Putkowski. — *To dopiero początek drogi.*

BIOTERAPEUCI TYLKO WSPOMAGAJĄ LEKARZY

Do wkraczania na tę drogę nie zachęcam nikogo. Z inicjatywy „Expressu" przy Poleskim Domu Kultury w ubiegłym roku powstał Klub Medycyny Niekonwencjonalnej. Około 200 lekarzy, felczerów, pielęgniarek i innych pracowników służby zdrowia poznaje i analizuje różne techniki tzw. medycyny naturalnej. Niektórzy z nich pewne metody już wypróbowują aplikując zamiast nieobojętnych dla organizmu leków przeciwbólowych, np. pozycje BSM. Są to jednak wciąż tylko eksperymenty, mające jedynie wspomagać uznane metody leczenia. Tak również traktują swą rolę bioterapeuci o których była mowa — uważają się za sojuszników lekarzy w przynoszeniu ulgi ludziom cierpiącym na różne dolegliwości...

WALDEMAR UCHMAN

Wycinanki

BUTY

„Stomil" nie nadąża z produkcją obuwia gumowego. Rolnik boso odbywa stumilowy bieg do sklepu, aby stwierdzić, że na półce nie ma „stomilowych" butów, a zamiast latarki do oświetlania furmanek świeci lampa Alladyna. W związku z tym chłopi z Adamowa w woj. zamojskim sami zaczęli sklejać gumiaki z pasków gumy po dętkach i ze zużytej watoliny. Reforma na trzy „S" zbudzi z letargu niejednego Piasta Kołodzieja.

ZMIANA

Bar „Mak" w Makowie ogłasza w gazetach, że zmienił profil sprzedaży. Zamiast sety czystej pod śledzia proponuje: koniaki, winiaki, wódki wyższych gatunków, wina importowane. Ze względu na ceny jest to profil postępowy, czyli antyinflacyjny.

KURCZĘ Z CEGŁĄ

„Chłopska Droga" ostrzega: „Nie należy pisklętom podawać cegły!" Kiedyś, tartą cegłę nasączoną spirytusem, podawało się wszom i pijane insekty wybijały się gruzem. Dziś natomiast krucho ze spirytusem, więc nie chodzi o bójki wśród piskląt, ale raczej o oszczędność deficytowych materiałów budowlanych.

TELEKSY

Po reformie administracyjnej w każdej gminie założono teleks, żeby wojewoda wiedział na bieżąco, co w trawie piszczy. Jak podaje PAP, w woj. miejskim krakowskim na 500 teleksów większość jest niesprawna, gdyż zapchane są makulaturą akt sprawozdawczych, butelkami po wódce, brudnymi szklankami, częściami damskiej bielizny oraz myszami, które podgryzają kable. Jedni ludzie wymyślają teleksową reformę, drudzy niszczą, swawolą, ale winne są myszy.

SEKS W GABLOCIE

„Tygodnik Piotrkowski" wzbogacił się o sensacyjny cykl pt. „Z kapuściska". Ostatnio prosto z kapuściska wjechała na łamy „taksówka pełna chcicy", w której — jak relacjonuje Mariola Jurewicz — trochę się ogólnie obmacywali do tego stopnia, że zapachniało nudą; jeden pociągał filozoficznie piwko, nie chcąc poprawiać po kumplu, drugi fantazjował jak prawdziwy Francuz i zasnął. A wszystko dlatego, że samica „trochę się wstydziła, bo była łysa... po skrobance". Jeśli to się wzięło z autopsji, zachodzi podejrzenie, że autorka ma brodę i wąsy, a na mózgu perukę.

TANDETA

W Łasku, przy ul. Warszawskiej, oddano blok, w którym korytarze są nie malowane, grzejniki zardzewiałe, schody bez glazury, prześwity z mieszkań na zewnątrz (czyli dziury), brak listew podłogowych i wybałuszone ściany. Mieszkańcy narzekają, że spółdzielnia nie miała czasu na dozór przy odbiorze bloku. Chodzi raczej o obniżenie standardu i oszczędność materiału. Ale za to wille wokół Łasku wykańcza się zgodnie z recepturą.

WYJAŚNIENIE TAJEMNICY „ROZWAŻAŃ NAD SKORUPĄ ORZECHA"

Zgodnie z obietnicą chcemy teraz wyjaśnić, na czym polegała tajemnica związana z artykułem zatytułowanym: „Rozważania nad skorupą orzecha". Otóż tekst ten był od początku do końca żartem „na inteligencję". Również nazwisko autora było fikcyjne. Jak doszło do napisania tego totalnego pustosłowia? Po prostu przed kilkoma laty czterech studentów Uniwersytetu Łódzkiego postanowiło systemem „każdy kolejno dyktuje jedno zdanie nawiązujące do poprzedniego" stworzyć beztematowy artykuł publicystyczny, który w gruncie rzeczy do niczego nie prowadzi. Miała to być parodia pseudofilozoficznych dywagacji zalewających niejednokrotnie łamy prasy kulturalnej. Po trzech godzinach wytężonej pracy „dzieło" było gotowe. Na swoją „premierę" musiało jednak kilka ładnych lat poczekać...

Czy test czterech młodych ludzi udał się — niech osądzą sami Czytelnicy. My zaś dodatkowo podajemy tabelkę z ocenami. Jeśli Czytelnik już po pierwszym czytaniu zorientował się, że „Rozważania nad skorupą orzecha" to żart — otrzymuje ocenę bardzo dobrą. Gdy myśl taka dopadła go podczas drugiego czytania — zasłużył na ocenę dobrą. W wypadku zdania sobie z tego sprawy za trzecim razem: ocena dostateczna. Natomiast ci wszyscy Czytelnicy, którzy głowili się nad sensem „Rozważań...", aż do dzisiaj — zostali ukarani, musieli bowiem celem wyjaśnienia nabyć kolejny numer „Odgłosów". Ale, bądźmy szczerzy, czy rzeczywiście jest to kara? Chyba raczej nagroda za jedyne piętnaście złotych. I był to jeden z nielicznych konkursów, w którym nikt nie przegrał.

POCZTÓWKA DO AJENTA

TEKST ZAMIESZCZONY NA ODWROCIE

Dla przeciwdziałania skandalom, niniejsze wchodzi z dniem ogłoszenia:

JEDYNYMI, AUTENTYCZNYMI, O NIEZBYWALNYCH PRAWACH WŁAŚCICIELAMI „SUPER BAZARU" SĄ: NUL FULL — RADIO STARS. Inskrypcja na extra-wartościowym materiale, przy którym dopuszczono się zamieszczenia nieznanych pseudonimów równie nieznanych osobników winna brzmieć:

Radio Łódź
Nul Full
presents
SUPER BAZAR
edycja II

1 Zdarzenia i zwierzenia

List

Nie powiem, żebym specjalnie się zdziwił listem „Polonistki z Łodzi", publikowanym i komentowanym niedawno w „Odgłosach". Do komentarza Lucjusza Włodkowskiego chciałbym wszakże dodać parę słów.

Jako „jaskrawy przykład podziału" podaje Polonistka fakt, że Eugeniusz Iwanicki twierdzi, iż Zarząd Główny ZLP został wybrany „na skutek manipulacji i niedopuszczalnych poczynań" — ja natomiast piszę, że ZG ZLP „został wybrany legalnie".

Jakaż tu sprzeczność? Czy legalność wyklucza manipulację? Wręcz przeciwnie, manipulację stosuje się wówczas, gdy pragnie się pozostać w ramach legalności właśnie. Trzeba — jak widać — nie tylko umieć czytać, ale i rozumieć to, co się czyta. Są to umiejętności dla każdej polonistki podstawowe.

„Niedobrze, panie redaktorze — pisze Polonistka — trzeba uzgadniać, koniecznie uzgadniać'. I kto to mówi? Bojowniczka demokracji? Czy nie wpadło jej do głowy, że mogą być różne opinie, a także po prostu różne interpretacje tego samego zjawiska... Zdarza się to na przykład w historii literatury, czego jeszcze w szkole nauczyła mnie moja polonistka.

W mojej szkole na lekcjach polskiego i historii — a były to lata 50, wobec których obecny zawieszony stan wojenny przypomina kinderbal, można było wygłaszać poglądy najbardziej niemiłe wykładowcom i były te poglądy szanowane, jeśli tylko uczeń potrafił je uzasadnić. Obawiam się, że uczniowie „Polonistki z Łodzi" są pod tym względem w gorszej sytuacji.

Najwięcej refleksji dostarcza jednak „post scriptum". Cały list jest bowiem względnie normalny. „Polonistka z Łodzi" ma przecież pełne prawo do niezgody na to, co piszą dwaj literaci na temat własnego związku. „Polonistka z Łodzi" — pani zapewne w towarzystwie bardzo kulturalna — ma prawo obrzucać inwektywami w anonimowym liście. To też jest przecież „norma krajowa". „Polonistka z Łodzi" ma także prawo — jak każdy — nie podpisać się pod listem. Anonimy są równie stare jak pismo.

Tylko to „post scriptum". Lucjusz Włodkowski twierdzi — że zawiera ono pogróżkę. Nie wyciągałbym aż takiego wniosku.

Jest to po prostu wyraz postawy pielęgnującej pewien mit, wyrażający się w przekonaniu: „Mam rację, mam argumenty, ale *nie pozwalają* mi z otwartą przyłbicą głosić moich poglądów".

Jest to — jak powiadam — mit. Jeśli autorka listu czyta to wszystko, co się *legalnie* i pod nazwiskiem publikuje w Polsce ze stanowiska opozycji, to powinna dostrzec już dawno, że „pozwalają". Mogę się osobiście nie zgadzać z poglądami głoszonymi np. w niektórych wydawnych *legalnie* czasopismach, ale szanuję ich autorów, że mają odwagę głosić swoje. Otwarcie.

Przekonanie zatem, że dopiero kiedyś „przyjdzie czas" na odwagę własnych poglądów jest dla autorki listu parawanem, za którym kryje się zarówno miałkość argumentów, jak i niedostatek charakteru.

JERZY WILMAŃSKI

2 Lewym okiem

Zbroja wojownika

Znana jest i często przytaczana anegdota o tym, jak to Antoni Słonimski na pytanie: — „Jak uczynić ludzi bogatszymi?" — odpowiedział: „Po prostu dać im więcej pieniędzy".

Taka odpowiedź to oczywiście dowcip, a nie program. Pamiętam z czasów mojej pracy w przemyśle, a i teraz nierzadko można się z tym spotkać, uchwalanie różnych programów działania, raz „kompleksowych", to znowu „odcinkowych" lub „docelowych". Przymiotniki są autentyczne, chociaż zapewne nikt nigdy nie wiedział, co to jest „program docelowy". Taki był język, a teraz chodzi o to żeby go uczłowieczyć i uprościć.

A jeszcze bardziej chodzi o to, żeby „program" nie był zwiewną mgiełką utkaną ze słów, które nic nie znaczną, i żeby nie był prymitywną tautologią. Jeżeli uchwalimy w programie punkt: „Usprawnić organizację przedsiębiorstwa", albo „Dostosować wynagrodzenie do pracy", albo „Ograniczyć marnotrawstwo surowców" — to na takie uchwały szkoda czasu. Wystarczy przecież raz na zawsze powiedzieć sobie i wszystkim: „Robić tak, żeby było dobrze".

Program powinien być konkretny, wtedy daje rzeczywistą podnietę do działania, może wzbudzić entuzjazm i wyzwolić wielkie siły tkwiące w zbiorowości. Dla przykładu podaję taki bardzo konkretny program, pod którym sam podpisałbym się oburącz i myślę że wielu czytelników także. Wrodzona przekora historii dodaje do niego pointę, z ujawnieniem której poczekajmy do końca tego felietonu. Oto niektóre najważniejsze punkty programu, dotyczącego nie byle czego, by systemu rządzenia w państwie:

„2. Decentralizacja władzy wykonawczej: administracja autonomiczna dzielnic i gmin przez ich własne ciała ustawodawcze. Suwerenność ludu, wykonywana drogą głosowania powszechnego, równego i bezpośredniego, przez wszystkich obywateli płci obojga przy czym lud zachowuje sobie prawo inicjatywy przez referendum i veto.

3. Usunięcie policji politycznej. Wybór sędziów niezależnie od władzy wykonawczej.

6. Wolność opinii i nauki, religii, zrzeszania się i prasy.

7. System wychowania ogólny i dostępny dla wszystkich.

11. Zakaz pracy dzieci poniżej lat szesnastu. Ośmiogodzinny dzień pracy.

12. Reorganizacja produkcji według zasad spółdzielczych i bezpośredniego udziału robotników w zyskach.

13. Zniesienie tajnej dyplomacji".

Otóż — i to jest właśnie owa przekora historii — program ten proklamował... Benito Mussolini w roku 1922, w chwili marszu na Rzym. (Podaję za tygodnikiem „Epoka" nr 19 z 7 maja 1933 r.). To były hasła włoskich faszystów, dzięki którym władza tak stosunkowo łatwo przeszła w ich ręce na długie lata. Oczywiście, nic z tego później nie było realizowane i o żadnym ludowym veto ani referendum nie mogło być mowy. Już Platon nauczał przecież, że „polityka jest sztuką mamienia ludu", a niedawno czytałem w jednym z naszych czasopism, jakże błyskotliwe stwierdzenie: „Żaden wojownik nie pozostaje długo w zbroi, w której wyruszył do boju".

Tak to szperanie w zakamarkach historii i chwytanie za słowa różnych przywódców ludzkości prowadzi nieuchronnie czasami do cynizmu, a zawsze — do sceptycznego na świat spoglądania. Co nie przeszkadza mi podtrzymać postawionego na początku postulatu: jeśli formułuje się program, który ma stać się pobudką do działania, a nie biurokratyczną legitymacją dla istnienia jakiejś parkinsonowej instytucji, to musi on zawierać łatwo wyobrażalne, konkretne cele, zrozumiałe dla każdego uczestnika zbiorowości, objętej danym dokumentem.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Spojrzenie znad szachownicy

Złoty pierścionek

Tak się jakoś narobiło w powszechnym zamęcie lat minionych, że zostaliśmy — my, dziennikarze — wykolegowani z nagrody Złotego Pierścienia za najciekawsze osiągnięcie aktorskie, którą ongiś przyznawał wspólnie Wydział Kultury i Sztuki UMŁ pospołu z Oddziałem Łódzkim SDP, a praktycznie rozsądzało jury złożone w większości z recenzentów.

Przyczyn było wiele, a każda inna. Po pierwsze Wydział Kultury wykładał gotówkę, zajmując się nadto stroną techniczną sprawy, my zaś wykłócaliśmy się jedynie, strojąc przy tym mądre i uczone miny. Po wtóre — zabrakło SDP, zaś spadkobierca czyli SD PRL w gorącym okresie organizacyjnym miał inne i może nawet poważniejsze sprawy na głowie. Po trzecie, powinno być bowiem jakieś „po trzecie", nasze stowarzyszenie nie opływa póki co w materialne dostatki, gdy trzeba wysłać list do Warszawy prezes nic, tylko rozgląda się za umyślnym posłańcem, bo go na znaczek nie stać...

W tej niewesołej sytuacji trudno fundować jakiekolwiek nagrody, a jednak żal i słyszę nawet gniewne głosy zachęcające do tak zwanych — mówiąc wykwintnym językiem dyplomatów — retorsji.

Brzmi to równocześnie groźnie i ładnie, zawsze jednak byłem za porozumieniem, nawet z Wydziałem Kultury i Sztuki, zwłaszcza, że zamieszane w sprawę panie są zbyt ładne i sympatyczne, iżby się można było na nie serio obrażać, a po nowo mianowanym dyrektorze Ryszardzie Czubaczyńskim obiecuję sobie wiele, tak, iż byłoby wprost bez sensu zaczynać od małodusznych waśni.

Coś jednak zrobić trzeba, co jednak?

2.

Skoro odpada obraza, odpadają i retorsje, z góry tedy uprzedzam, że się do żadnych ewentualnych sankcji nie przyłączę. Rozegramy to elegancko, niby Jose Raoul Capablanca y Gruypera, mistrz świata w szachach w latach 1921—27, który słynął z tego, iż ogrywał partnerów z uroczą miną niewiniątka.

ZŁOTY PIERŚCIEŃ jest już zajęty, o ileż jednak bardziej atrakcyjny jest ZŁOTY PIERŚCIONEK, ten „od kataryniarza jedyny", „na szczęście" i w ogóle prosto z piosenki. Nie liczę wprawdzie, iżby na podobny ekspens udało się naciągnąć nasze ubożuchne stowarzyszenie, ani nawet Wydawcę, bo ten — choć prawie magnat — najprawdopodobniej nie znajdzie stosownego paragrafu, z którego można by kupować precjoza. Trzeba będzie zapewne zadowolić się lichą imitacją, prawdę powiedziawszy — byle czym, istotne jest jednak opakowanie, sam fakt, że paskudne recenzenckie szakale chcą komuś, nieprawdaż, zrobić przyjemność.

Formułę nagrody przedyskutujemy w najściślejszym gronie, a nazwisko laureata do ostatniej chwili utrzymywać będziemy w tajemnicy. Wydział Kultury, chcąc zabłysnąć, będzie oczywiście wprost ze skóry wychodził, iżby w tę najciekawszą, bezsporną, budzącą powszechne uznanie kandydaturę utrafić. Chcąc jednak, iżby nazwisko laureata trafiło na łamy, będzie je musiał kiedyś tam wydukać, a my wtedy — niby rzeczony Capablanka, albo inny mistrz szachowy — przedyskutujemy po cichu wszystkie warianty i strzelimy swoim pierścionkiem.

Oni mężczyźnie, my — kobiecie. Oni grubemu, my — chudemu. Oni za całokształt, my — za konkret. Oni tak, my — siak. Oni na dole, my — na górze, ale już jednak nie odwrotnie.

Już widzę oczyma duszy te zwody, te podchody, te zachody prawie że miłosne, a nade wszystko usilne starania, iżby nieomylnie utrafić w dziesiątkę i przelicytować konkurencyjne jury w głębokim znawstwie sztuki aktorskiej. Może wyjść z tego zabawa wcale przystojna i zacna, do której szczerze zachęcam, bo to i rok szybciej zbiegnie, i z większą ochotą będziemy biegali do teatru.

3.

Słowem — rzuciłem pomysł, a wy go, moi przezacni koledzy po recenzenckim piórze, społem łapcie. Nie tak znów nas wielu w Łodzi, palców u obu rąk starczy, żeby się policzyć. Pierwsze organizacyjne spotkanie proponuję na pierwszej premierze od dnia ukazania się tego felietoniku licząc. Miejsce spotkania: palarnia. Stroje dowolne, ale za to obowiązuje absolutna dyskrecja. Na widok ludzi z wiadomego Wydziału milkniemy, bądź zręcznie przechodzimy na wiecznie aktualny temat pogody, jaka by ona tego dnia nie była.

Dla utrzymania pełnej konspiracji o rolach udanych mówimy (a nawet w miarę możności piszemy) źle, no i odwrotnie. Nie klaszczemy, żeby się czasem nie wydało, albo też — jeżeli ktoś woli — oklaskujemy wszystko bez wyjątku. Innymi słowy przez rok udajemy absolutnych baranów, za których poniektórzy i tak nas zresztą uważają, iżby potem wszystkich zauroczyć i zaskoczyć. Punkt, czyli kropka. I więcej o tym ani słowa, przynajmniej w druku.

JERZY P.

4 Sport

Dziś w Turynie

Dziś — to jest w środę, 6 kwietnia 1983 roku. Dziś piłkarze RTS Widzew grają z Juventusem w Turynie mecz półfinałowy Pucharu Europy. Kiedy Czytelnicy „Odgłosów" wezmą ten numer do ręki, będą już albo znali wynik tego meczu, albo to stanie się za kilka godzin. Jaki to będzie wynik? Gdybym potrafiła to przewidzieć, to zbiłabym fortunę jako jasnowidz. Kiedy piszę ten felieton wiem natomiast, że Widzew pokonał ŁKS 3:1.

Teraz będzie więc o Łódzkim Klubie Sportowym. Na rok 1983 przypada 75-lecie tego klubu. I zawodnicy ŁKS ładnie ten jubileusz obchodzą. Najpierw koszykarki ŁKS zdobyły mistrzostwo Polski. Teraz dokonały tego siatkarki. Również piłkarze — pod opieką Leszka Jezierskiego i Jana Tomaszewskiego — wolno, bo wolno, ale zmierzają do zdobycia tego zaszczytnego i wymarzonego tytułu. Czy tylko Widzew na to pozwoli? Ale wszak nie jeden Widzew na przeszkodzie. Nie będzie więc to łatwe, choć możliwe. Albo — jak to czasem mówią trenerzy piłkarskich drużyn — leży to w zasięgu możliwości. Wprawdzie po derbach Widzew wyprzedził ŁKS, ale wszystko jeszcze może się zdarzyć. Do końca rozgrywek ligowych sporo czasu, a piłkarze Widzewa muszą rozegrać trudne mecze z Juventusem.

Teraz o Widzewie piszą wszyscy. Piszą różnie. Ryszard Niemiec w „Życiu Literackim" nie może wyzbyć się błędów. Nie może zapamiętać, że RTS jest skrótem od ROBOTNICZEGO TOWARZYSTWA SPORTOWEGO, mającego dużą tradycję, znaczne osiągnięcia i silnie siedzącego w widzewskiej dzielnicy Łodzi. Niby drobiazg, ale dla Ryszarda Niemca RTS — to Robotniczy Klub Sportowy. Pisanie o sporcie w „Życiu Literackim" nie zwalnia od znajomości rzeczy. Znowu niby drobiazg, ale kapitanem drużyny Widzewa jest nie Rozborski, ale Włodzimierz Smolarek. Nie trzeba nawet z Krakowa dzwonić do Łodzi, aby wiedzieć, co się dzieje nowego w Widzewie, wystarczy czasem obejrzeć ich mecz w telewizji.

Piłkarze Widzewa stali się popularni, bo wyeliminowali drużynę z Liverpoolu i weszli do półfinału Pucharu Europy. Tylko, że z Bałtykiem zaraz potem zremisowali, a z Lechem w Poznaniu sromotnie przegrali. Nie było to miłe dla kibiców widzewskiej drużyny. Nie dziwię się więc, że tu i ówdzie rozległy się głosy usprawiedliwiające piłkarzy RTS Widzew.

„Zarówno bowiem tracąc punkt z Bałtykiem — napisał w „Rzeczypospolitej" Michał Tomczak — jak i przegrywając z Lechem, Widzew grał dobrze. Im więcej drużyna zwojuje w rozgrywkach zagranicznych, tym trudniejsze ma życie w lidze — to prawidłowość".

A oto opinia „Expressu Wieczornego":

„...widzewiacy po pasjonujących pojedynkach z Liverpoolem mają prawo przejściowo być w słabszej formie...".

Boję się, że tu nie tylko o formę chodzi. Zacytuję więc jeszcze opinię Władysława Żmudy po meczu z poznańskim Lechem:

„Widzew zagrał dzisiaj słabo... Po utracie dwóch bramek nie potrafiliśmy uporządkować gry. Myśmy się szarpali i nadziewaliśmy się na skuteczne kontry Lecha... Na naszą grę nie bez wpływu jest sukces odniesiony z Liverpoolem. Wywiady telewizyjne i tym podobne rzeczy przeszkadzają w pracy. Czas przestać świętować i zabrać się do ciężkiej roboty".

Święte słowa!

Oni są już dziś w Turynie i będą grali z Juventusem. Nie piszę więc dla nich, ale dla kibiców. Władysław Żmuda powiedział to, o czym myśleli i mówili trzeźwi kibice — oby tylko piłkarzom Widzewa woda sodowa nie uderzyła do głowy! Bo to najgorsze niebezpieczeństwo. Któż z nas nie chciałby, aby piłkarze z Widzewa zremisowali w Turynie i wygrali u siebie? Każdy po cichu o tym marzy. Ale marzenia nic tu nie znaczą. I nie pocieszajmy się, że Juventus też przegrał i w 5 minutach strzelono Dino Zoffowi 3 gole. To nic jeszcze nie znaczy. W Italii — jak to przekazuje telefonicznie Zbigniew Boniek — ogromna jest presja na drużynę z Turynu, aby zdobyła mistrzostwo mistrzów krajowych czyli Puchar Europy. Na przeszkodzie do tego stoi w tej chwili Widzew. Więc włoscy piłkarze będą robili wszystko, aby pokonać piłkarzy RTS Widzew. Mam tylko nadzieję, że Widzew też będzie robił wszystko...

I tak wróciłam do meczu Widzew — Juventus, który właśnie dziś rozgrywa się w Turynie. Jeśli Czytelnik miał nadzieję, że spróbuję przewidywać, jaki będzie wynik tego meczu, to się rozczaruje. Owszem, zapisałam na kartce moje typowanie, kartkę wsadziłam w kopertę, szybko o wyniku zapomniałam. Kopertę zalakowałam. Wsadziłam w drugą i chciałam schować na strychu, ale w bloku nie ma strychu. Więc ją spaliłam nad gazową kuchenką, popiół wyrzuciłam z balkonu i czekam teraz na transmisję z Turynu.

A propos, zastanawiam się, czy Widzew znów pomogł finansowo telewizji, aby mogła kupić transmisję. Byłby to kolejny wydatek, bo głupota łódzkich kibiców kosztowała Widzew 6 tysięcy franków szwajcarskich.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olchnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glane (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wroń ska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pasasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 80 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 847. L-5.

Niespodziewane skutki rewolucji seksualnej (1)

32-letni Richard B., kawaler nie stroniący od damskiego towarzystwa, nie przywiązuje nadmiernej wagi do wierności swych przyjaciółeczek. Z każdą łączy go stosunek partnerski. Do tego stopnia, że ostatnio trzy znajome dziewczyny zwierzyły mu się ze swych kłopotów z „dolnymi partiami". Richard zaraz skierował je do specjalistycznego ośrodka schorzeń płciowych w Instytucie Alfred-Fournier, którym kieruje dr André Siboulet, ordynator oddziału chorób dróg moczopłciowych w szpitalu Saint-Louis w Paryżu.

Okazało się, że jedna z młodych przyjaciółek Richarda B. miała zapalenie pochwy, druga zapalenie szyjki macicznej, trzecia zaś saplingitis, czyli zapalenie jajowodów. Choroby te określano niegdyś jako weneryczne *(warto przypomnieć, że uchodziły one za takie tylko na zachodzie Europy* — przyp. red.), obecnie zaś noszą wspólne skrótowe miano MST *(maladies sexuellement transmissibles, czyli choroby przekazywane w czasie stosunków płciowych).* U każdej z dwóch pierwszych pacjentek wykryto inne bakterie, trzecia zaś była nosicielką dwóch różnych rodzajów bakterii.

Dr André Siboulet zatelefonował niebawem do Richarda, aby go powiadomić o wynikach badań, a jednocześnie dyskretnie wypytać o jego własny stan zdrowia.

— *Ja nigdy w życiu na takie coś nie chorowałem!* — zawołał Richard. — *Owszem, od czasu do czasu spotykam się z tymi dziewczętami.*

— *Niech pan do mnie wstąpi* — powiedział doktor. — *Ta historia mnie intryguje.*

Richard zgodził się na pobranie wymazu. Po raz pierwszy w życiu poddawał się takiemu zabiegowi.

— *Robię to dla pana spokoju* — powiedział lekarzowi śmiejąc się.

Badania wykazały, że z wyjątkiem krętka syfilisu, w „dolnych partiach" Richarda zadomowiły się wszystkie „złośliwe żyjątka" zanieczyszczające przewody moczopłciowe — najróżnorodniejsze pasożyty i bakterie, poczynając od gonokoków i candida albicans, a kończąc na chlamydii i „popularnym" rzęsistku.

Ten człowiek jest niebezpieczny lub przynajmniej był takim (obecnie się leczy), lub będzie znowu, jeśli nie będzie stosował środków ostrożności i nie będzie się regularnie kontrolował. Do tej pory rozsiewał MST na prawo i lewo, nic o tym nie wiedząc. Ten podrywacz jest zdrowym nosicielem zarodków chorób wenerycznych. Sam nie choruje, ale może zarażać innych. Tego rodzaju ukryta poliinfekcja u mężczyzny jest przypadkiem wyjątkowym, ale świadczy o groźnej ewolucji chorób przekazywanych drogą płciową.

MAŁO GROŹNA BAKTERIA

Oto np. gonokok, bakteria, którą przez wiele lat uważano za głównego sprawcę blenorragii, czyli zapalenia cewki moczowej. Zarażony tą infekcją mężczyzna przez kilka dni odczuwał pieczenie przy oddawaniu moczu. Panowie pokpiwali sobie z tego, a nawet niekiedy się tym chwalili, tym bardziej, że po drugiej wojnie światowej, dzięki antybiotykom dolegliwość szybko ustępowała i w 97 procentach przypadków pacjent był natychmiast wyleczony. Obecnie wszystko się zmieniło. Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła apel do rządów, ostrzegając przed niebywałym upowszechnieniem się gonokoków odpornych na antybiotyki. Blenorragia wywołana przez gonokoki ujawnia się wcześnie tylko w 37 procentach przypadków. W przypadku 8 proc. mężczyzn okres inkubacji trwa od tygodnia do dwóch, u innych od dwóch do trzech tygodni, a przynajmniej w 10 proc. przypadków choroba nie ujawnia się w ogóle, co nie przeszkadza, że pacjent staje się niebezpieczny.

U kobiet ewolucja choroby jest jeszcze bardziej złożona. 50 do 70 proc. nosicielek zakaźnych gonokoków nie odczuwa żadnych symptomów. Pewna lekarka ginekolog opowiada, że swego czasu przyjaźniła się z małżeństwem, które lubiło się bawić w wymianę partnerów. Kiedyś zaproponowali jej taką zabawę i nawet gotowa była na to przystać, ale w końcu oparła się pokusie.

— *Wiem aż nadto dobrze, co ryzykuję* — oświadczyła przyjaciołom, którzy wyśmiali ją i nazwali hipochondryczką, twierdząc, że od pięciu lat uprawiają ten sport i nigdy nie mieli żadnych kłopotów.

Pani ginekolog odpowiedziała:

— *Nie każdy zaraża się grypą.*

Mogłaby dodać:

— *Nie wiadomo, czy wy już nie jesteście chorzy i czy będziecie mogli mieć dziecko, jeśli go zapragniecie.*

Ciekawą historię opowiada dr Francois Catalan, dyrektor laboratorium ośrodka MST w Instytucie Alfred-Fournier:

— *Pewnej środy zgłosiło się do mnie dwoje ludzi. Mieli wszelkie powody do niepokoju — u mężczyzny wystąpiła ostra blenorragia, kobieta nie odczuwała żadnych dolegliwości, ale wiedziała, że może być zarażona. Badania wykazały silne zakażenie gonokokami zarówno u mężczyzny, jak i u kobiety.*

Dr Catalan oświadczył wręcz:

— *Trzeba przełamać łańcuch zakażenia. Czy wiedza państwo, od kogo jedno z was mogło się zarazić, zapewne nie wiedząc o tym?*

Pacjenci dr Catalan byli wyjątkowo szczerzy. Przyznali się, że często bywają w pewnym zamku w okolicach Paryża, gdzie spotykają się różne pary. Byli tam właśnie przed trzema dniami. Ilu było uczestników imprezy? Dużo — około stu. O, to gorzej, niełatwo będzie znaleźć sprawcę. Czy zechcieliby i mogliby odnaleźć towarzyszy zabawy, uprzedzić możliwie najwięcej spośród nich o grożącym niebezpieczeństwie? Owszem, byli gotowi współdziałać z lekarzem w tej sprawie.

W ciągu następnego tygodnia do Instytutu zgłosiło się 27 mężczyzn i kobiet, zawiadomionych przez wyżej wspomnianych ludzi. Dwunastu spośród nich było nosicielami gonokoków. U pięciu występowały objawy kliniczne; siedmiu pozostałych (5 kobiet i 2 mężczyzn) nie miało żadnych symptomów, ale także byli chorzy. Gdyby nie zostali uprzedzeni, nadal chodziliby z chorobą i zarażali innych.

Wspomnieliśmy o przypadkach szczególnej rozwiązłości nie po to, aby kogokolwiek szokować. Jest przecież wiele mężczyzn i kobiet dość lekkich obyczajów, chociaż nie muszą koniecznie uprawiać wymiany partnerów. W tym zakresie nie ma żadnych statystyk. Niektórzy twierdzą, że 1/3 stałych par — zarówno małżeńskich, jak i wolnych — ściśle dochowuje sobie wierności. W innych przypadkach bywa

MST

różnie — często się zdarza, że żona jest wierna, ale mąż pozwala sobie niekiedy na „skoki w bok", czasami praktykuje się wymianę partnerów, czasami obie strony mają swoje odrębne życie. Czy pan, który jest związany z jedną tylko partnerką, może być pewny jej wierności? Czy młoda kobieta ufająca swemu jedynemu kochankowi może mieć gwarancję, że nie ulega on pokusom? Niech nam wybaczą te słowa wszyscy ci, których wzajemna wielka miłość wyklucza jakąkolwiek zdradę.

Teraz, kiedy kupcy i przemysłowcy dużo podróżują po świecie, kiedy kwitnie turystyka (Air France naliczyło 17 mln pasażerów w 1980 roku), kiedy mnożą się kluby wakacyjne i ośrodki rozrywkowe, przyjemności nie trzeba daleko szukać. Ale czy nie pozostawia to śladów?

MŁODZI SĄ BARDZIEJ ZAGROŻENI

Zwłaszcza wśród ludzi młodych seks stał się swego rodzaju „musem". Nie ma już żadnych barier, żadnych tabu. Pigułka i ustawa o przerywaniu ciąży zlikwidowały wszystkie przeszkody. Ci młodzi są bardziej niż starsi zagrożeni osobliwym zjawiskiem.

— *Ta sama bakteria choroby wenerycznej staje się coraz silniejsza w miarę jak przechodzi z jednego osobnika na kilku innych* — mówi dr Aldo Farl, biolog kierujący jednym z laboratoriów paryskich. — Co więcej, *doświadczenia in vitro wykazały, że te infekcyjne czynniki mają tym większą szybkość rozmnażania się im młodszy jest osobnik, z którego zostały pobrane.*

Foto: M. Zajdler

Oto dlaczego konsekwencje są groźniejsze, gdy MST występują u ludzi w wieku poniżej 25 lat. Młodzi nic prawie o tym nie wiedzą. Przygotowując pracę doktorską na temat MST — obronioną przed dwoma laty w Lariboisiere-Saint-Louis — dr Bernard Plouhinec przeprowadził ankietę wśród tysiąca mieszkańców Finistere w wieku od 12 do 25 lat (uczniów szkół średnich, rekrutów i młodych marynarzy), aby sprawdzić ich wiadomości z tego zakresu. 35,3 proc. respondentów nic nie wiedziało o tych chorobach; 50,8 proc. miało o nich blade pojęcie; tylko 13,9 proc. było dobrze poinformowanych. Wśród tych ostatnich byli niemal wyłącznie marynarze i uczniowie klas socjomedycznych, którzy przechodzą specjalne kursy uświadamiające. Gdyby przeprowadzono ankietę wśród dorosłych, wskaźnik dobrze poinformowanych nie byłby zapewne dużo wyższy.

Większość ludzi nie zna podstawowych symptomów, jak pieczenie przy oddawaniu moczu i wydzielina z cewki u mężczyzn, a upławy, podrażnienia pochwy i ból przy stosunkach płciowych u kobiet. Nie wiedzą, że wystąpienie tych objawów powinno skłonić nie tylko do zasięgnięcia porady lekarza i zaprzestania wszelkich stosunków seksualnych aż do całkowitego wyleczenia, ale także do poinformowania o tym partnera czy partnerów, przekonania ich, że powinni natychmiast udać się do lekarza, nawet jeśli nie odczuwają żadnych dolegliwości.

Ktoś może powiedzieć, że jeśli obie strony dochowują sobie wierności i nie cierpią na żadne choroby, nic złego nie może się wydarzyć. Owszem, może. To, co powiedzieliśmy o gonokokach, dotyczy także wielu innych bakterii wenerycznych. I tak np. w przypadku chlamydii, mikroskopijnej bakterii, od niedawna uznanej za groźną, okres inkubacji jest nieznany w 70 proc. przypadków; nie jest również ustalony w przypadku bardzo rozpowszechnionego żyjątka, trichomonas, czyli rzęsistka występującego u obojga płci.

Dotyczy to również syfilisu, który jest wciąż aktualny, ale który daje się szybko opanować dzięki antybiotykom, oczywiście, jeśli jest wcześnie wykryty. Syfilis, który dawniej ujawniał się w 15 do 20 dni po zarażającym stosunku płciowym, obecnie może wystąpić dopiero po sześciu tygodniach, a nawet po trzech miesiącach. Co więcej, jego aspekty kliniczne zmieniają się i mogą być mylące, zwłaszcza u kobiet.

— *Coraz rzadziej stwierdza się szankier u kobiet* — mówi dr Siboulet — *w 95 proc. przypadków choroba nie jest wykryta w fazie początkowej.*

KOBIETOM GROZI TO BEZPŁODNOŚCIĄ

Oczywiście nie ma stuprocentowego ryzyka zarażenia się. Ale kobiety są bardziej zagrożone niż mężczyźni.

— *Od początku mojej praktyki, czyli od roku 1950 aż do lat 70 nie miałem do czynienia z przypadkami zapalenia jajowodów, z wyjątkiem zapaleń spowodowanych rzeźnickimi operacjami, jakimi były potajemne sztuczne poronienia* — mówi prof. Roger Henrion ze szpitala położniczego Port-Royal w Paryżu. A przecież w okresie studiów przerabiał „temat" zapaleń jajowodów na tle zakażenia gonokokami, które dawniej zmuszały niekiedy chirurgów do okaleczania kobiet.

Dlaczego przez tyle lat MST nie dawały objawów u kobiet, dla których te choroby są najbardziej groźne? Być może przyczyniło się do tego szafowanie antybiotykami w przypadku wszystkich chorób infekcyjnych. Antybiotyki do połowy lat 40 przepisywane bez ograniczeń przez większość lekarzy przytłumiły na jakiś czas działanie bakterii wenerycznych. Później jednak stany zapalne jajowodów wystąpiły z nową ostrością, zwłaszcza u kobiet bardzo młodych. Na sto kobiet w wieku poniżej 25 lat przynajmniej dwie chorują raz do roku na saplingitis.

— *Najgorzej jest w piątek wieczorem* — mówi profesor Henrion. — *Wówczas zgłaszają się do nas młode kobiety, 18, 17, a nawet 16-letnie dziewczyny, które próbowały jakoś „przetrzymać" cały tydzień, ale wreszcie pod wpływem ostrych bólów postanowiły szukać ratunku. Nie operujemy ich już jak dawniej. Operacji dokonujemy tylko w bardzo ciężkich przypadkach, których jest mniej więcej 9 proc. Stosujemy natomiast celioskopię czyli przez powłokę brzuszną wprowadzamy do wnętrza wąski peryskop ze światełkiem, przez który mogą przejść cienkie narzędzia. W ten sposób drenujemy ropę, czyścimy i dezynfekujemy zakażony obszar. Antybiotyki zapewniają szybkie wyleczenie, owszem. Ale jakie mogą być konsekwencje! Serce nam się kraje, gdy musimy uprzedzać pacjentki, że w 15 proc. grozi im bezpłodność. A jeśli zachorują po raz drugi i trzeci — ryzyko wzrośnie do 30, a nawet 75 proc. A przecież na każde dziesięć pacjentek osiem nie miało jeszcze dziecka.*

Jak wynika z ankiety przeprowadzonej w 1974 roku przez Państwowy Instytut Zdrowia i Badań Medycznych, liczbę przypadków bezpłodności spowodowanej saplingitis oceniono wówczas na 13.000 rocznie. A przecież od tego czasu liczba zachorowań na saplingitis zwiększyła się o co najmniej 10 proc. rocznie. Kobieta, która przeszła saplingitis może nie tylko stać się bezpłodna, ale w przypadku zapłodnienia grozi jej ciąża pozamaciczna. Liczba tych przypadków, w których nie ma innego wyjścia jak tylko okaleczenie kobiety w ciągu ostatnich 10 lat wzrosła dwukrotnie w szpitalu Port-Royal, a trzykrotnie w innych szpitalach.

— *Gdy zaczęła się ta eksplozja, byliśmy naprawdę zrozpaczeni* — mówi dr Jeanine Henry-Suchet, ginekolog i chirurg ze szpitala w Sevres, wybitna specjalistka w zakresie badań nad infekcjami wenerycznymi. — *Na każde 10 przypadków zakażenia, w trzech nie wykrywaliśmy mikrobów w ropie.*

NOWE ZAGROŻENIE — CHLAMYDIA

Czy dotychczas mylnie sądzono, że tylko gonokoki są sprawcami zakażeń? Obecnie stwierdza się, że tylko 15 proc. przypadków saplingitis i 20% zapaleń cewki moczowej jest spowodowanych mikrobem, który uważano za najbardziej szkodliwy. Cóż się więc stało? Czy gonokoki zostały zastąpione przez inne bakterie, niegdyś niegroźne? Czy też po prostu nie potrafiono dawniej dokładnie ujawnić bakterii, wywołujących obecnie niepokój na całym świecie? Weźmy, np. bakterie chlamydii, maleńkie bakterie nie większe od wirusa i podobnie jak wirusy rozwijające się wewnątrz zakażonych przez nich komórek. Bakterie chlamydii przenoszą trachomę, chorobę oczu prowadzącą najczęściej do ślepoty. Przez 15 lat bakterie te zostały ujawnione w przypadku niektórych zapaleń cewki u mężczyzn. W roku 1976 szwedzki badacz Weström i członkowie jego ekipy wykryli chlamydię w jajowodach kobiet cierpiących na ostrą saplingitis. Odkrycie szwedzkiego naukowca potwierdziła dr Jeanine Henry-Suchet, a nawet poszła jeszcze dalej. Operowała metodą mikrochirurgii wiele kobiet dotkniętych bezpłodnością (30 do 40 proc. przypadków bezpłodności u kobiet spowodowanych jest niedrożnością jajowodów i zrostami pozapalnymi). Ale mikrochirurgia, mimo bezspornych postępów, tylko w co drugim przypadku zapewnia wyleczenie z bezpłodności.

— *W ośmiu przypadkach na dziesięć bezpłodność jest pochodzenia infekcyjnego* — mówi dr Henry-Suchet. — *A tymczasem tylko połowa z tych kobiet była w przeszłości lub powinna była być leczona na saplingitis. Druga połowa nie przypomina sobie żadnych dolegliwości. Do niedawna jeszcze sprawa ta była zagadkowa. Ponieważ klasyczne posiewy nie dawały rezultatów, lekarze przypuszczali, że chodzi tutaj o chroniczne stany zapalne jajowodów, itp.*

W 1979 roku Jeanine Henry-Suchet zaczęła poszukiwać bakterii chlamydii w komórkach jajowodów pacjentek, które jak twierdziły, nie przechodziły żadnych infekcji i nie odczuwały dolegliwości, ale których miednica mała wyróżniała się szczególnymi cechami zewnętrznymi. W bardzo wielu przypadkach, dzięki skomplikowanej technice posiewów komórkowych, wykryto u chorej bakterie chlamydii. Również pobranie krwi u tych pacjentek dało w 60 proc. przypadków wynik pozytywny. Prace dr Henry-Suchet znalazły potwierdzenie w laboratoriach innych krajów. Okazało się, że chlamydia wywołuje ostre, a także bardzo często ukryte i chroniczne zapalenia jajowodów. W 30 procentach przypadków powoduje bezpłodność na tle zarośnięcia światła jajowodów w wyniku infekcji. Tej bakterii przypisuje się też wiele przypadków zapalenia spojówek i zapalenia płuc u noworodków, gdy pochwa matki jest zakażona.

Badania bardzo szybko posunęły się naprzód. Obecnie ocenia się, że większość MST wywołana jest bakterią chlamydii. U mężczyzn powoduje ona 50 proc. zapaleń cewki pochodzenia niegonokokowego, które nie są tak ostre jak blenorragie wywołane przez gonokoki. Nie leczone zapalenia mogą ustąpić po 6 do 8 tygodniach, ale w 7 przypadkach na 10 następuje recydywa, nieraz z poważnymi powikłaniami, jak prostatitis (zapalenie gruczołu krokowego), schorzenia stawów, itp.

Chlamydia jest w wysokim stopniu zaraźliwa. Zakaża 85 proc. partnerek mężczyzn chorych na MST. U kobiet jednak w 90 proc. przypadków zapalenie dróg rodnych przebiega w pierwszej fazie bezobjawowo. Kobiety te poddają się leczeniu dopiero wtedy, gdy ich partnerzy wykryli u siebie chorobę i nakłonili partnerki do równoczesnego podjęcia kuracji.

— *Gwałtowne wtargnięcie chlamydii do sfery doznań miłosnych jest poważnym ryzykiem dla współżyjących ze sobą par* — mówi dr Siboulet.

Ryzyko to byłoby stosunkowo łatwo zmniejszyć, istnieje bowiem skuteczna metoda leczenia za pomocą cyklinów syntetycznych, antybiotyków odmiennych od tych, które oddziaływują na krętki, gonokoki i inne bakterie. Ale nie wszyscy lekarze doceniają powagę niebezpieczeństwa, o czym świadczy m.in. przykład 38-letniego przemysłowca, Pierre D.

Po powrocie z podróży Pierre D. poradził się lekarza, który stwierdził blenorragię i automatycznie niejako przepisał klasyczne leczenie, czyli antybiotyk o tzw. szerokim zakresie oddziaływania, zwalczający kilka kategorii mikrobów. Nie zalecił jednak żadnych badań laboratoryjnych. Pierre D., uspokojony, wyjechał nazajutrz na Bliski Wschód. Ale dolegliwości nie ustępowały. Dopiero po dwóch tygodniach udał się ponownie do lekarza. Tym razem konsultant skierował pacjenta na badania do wysoko wyspecjalizowanego laboratorium. Rezultat był ujemny, ale w laboratorium uprzedzono Pierre D.:

— *Może pan być nosicielem pewnego typu mikrobów, które nie zostały zniszczone, ale w wyniku leczenia antybiotykami mogą być na razie niewykrywalne w analizie. Proszę więc przyjść za dwa tygodnie.*

Pierre D. jeszcze miesiąc chodził ze swoją chorobą zanim znalazł czas, aby pójść na badania. Tym razem wykryto chlamydię. Musiał się poddać leczeniu, które powinno być skuteczne.

— *Nigdy nie należy ordynować leczenia dopóki nie przeprowadzi się odpowiednich badań* — mówi dr Catalam z Instytutu Alfred Fournier. — *Oczywiście nie należy od razu poszukiwać chlamydii, ale jeśli laboratorium nie wykryje ani gonokoków, ani innych łatwo wykrywalnych mikrobów, lekarz powinien zaaplikować pacjentowi dłuższą kurację za pomocą cyklinów, aduż tylko one mogą zwalczyć chlamydię, a także inne mniej niebezpieczne czynniki, jak grzybki.*

Opracowano na podstawie artykułu MADELEINE FRANCK z „LE POINT"